

ESTERA FLIEGER

PROSTY MAGISTER
HISTORII s. 14



ANDRZEJ SZAHAJ

PYTANIE PO POWODZI:
CZYJA JEST POLSKA s. 12



ANDRZEJ ZOLL

BRZYDKIE RZECZY
NA SUMIENIU SĘDZIÓW s. 28

 RZECZPOSPOLITA



Plus Minus

RP.PL/PLUSMINUS 35063X WYDANIE W1 NR 227 (12988) PLUS MINUS 39 (1643)

SOBOTA-NIEDZIELA 28-29 WRZEŚNIA 2024



TEMAT NUMERU

CZY MASZYNY ODUCZĄ NAS MYŚLEĆ



917702081913068 3 9

CENA 13,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

KSIUDA



BOGUSŁAW CHRABOTA

AMERYKAŃSKIE PIEKŁO I POLSKI RAJ

Jedziemy samochodem przez najbardziej chorą część miasta. Zamykam oczy ze zgrozy. Jest południe. Namioty, kartony, góry śmieci. Poskręcani ludzie na fentanylu. Tu i tam w poprzek chodnika leży ludzkie ciało. Martwy czy odurzony?

Truma czy Kamala? Kamala czy Trump? Nie ma ważniejszego pytania w amerykańskiej polityce, niezależnie od tego, czy jest się na zachodnim, czy na wschodnim wybrzeżu. Nawet w Kanadzie, która przeciętnemu mieszkańcowi USA kojarzy się z terytoriami nieco tylko na południe od bieguna, w kręgach ludzi choć minimalnie interesujących się polityką nie rozmawia się o niczym innym niż o amerykańskich wyborach. Bo tu, w Toronto czy Vancouver, wszyscy rozumieją, że kraje po obu stronach granicy to naczynia połączone. To niemal jedna gospodarka, z porażającą przewagą sąsiada z południa, jedna społeczność, jedna polityka. Każda decyzja Waszyngtonu odbija się echem na północy, każda zmiana kursu Waszyngtonu rezonuje zmianą kursu w Ottawie, każda cywilizacyjna zmiana błyskawicznie przypełza do Kraju Klonowego Liścia i to się raczej nie zmieni.

Może niegdyś Kanada była bardziej izolowana, wierna swojej Koronie. Dziś królują tu amerykański kapitał, inwestują amerykańskie firmy, nawet przemysły filmowe zrosły się tak bardzo, że znaczna część produkcji sygnowanych przez Hollywood powstaje w Kanadzie. Dlatego wybory gospodarza domu nad Potomakiem są tak ważne. Przez to komentarze wyborcze słychać z każdego kąta kanadyjskiej sfery publicznej.

Więc Kamala czy Trump? Trump czy Kamala? Wybór fundamentalny, ale czy naprawdę istotny? Bo przecież, niezależnie od finału wyścigu o Biały Dom, mało kto wierzy, że ten, kto zasiądzie w gabinecie owalnym, poradzi sobie z problemami, które dręczą Amerykę. A to nie zwykłe problemy, ot takie sobie problemki, ale wyzwania, z jakimi ten kraj nigdy dotąd się nie zmagał. To przede wszystkim kryzys tradycyjnych wartości, na których fundowano amerykański mit. Skończył się etos pracy. Skończył szacunek do wiary. Prywatny biznes ustępuje kartelom, w tym temu największemu. Czy wiesz, że amerykański rząd to największy pracodawca na świecie? – pyta mnie przyjaciel, przedsiębiorca, dobrowolny emigrant z Polski sprzed ćwierć wieku. Amerykańska armia się kurczy, brakuje chętnych do służby. Za to rośnie liczba migrantów. Na ulicach San Francisco czujesz się, jakbyś był w Santiago de Chile. Ludność hiszpańskojęzyczna zaczyna dominować, a jej liderzy głoszą, że odbijają ukradzioną kiedyś Meksykowi Kalifornię.

Ale co tam zmiany etniczne. – Widziałeś ulice San Francisco, Portland, Seattle? – Mieszkałem kiedyś w Portland – odpowiadam. Na początku lat 90., piękne, eleganckie miasto. Coś pomiędzy Skandynawią a Toskanią. Z tą pierwszą kojarzyły mi się morski, chłodny klimat i drewniane domy z przedmieść. Z tą drugą – bogata, niemal śródziemnomorska przyroda. I słońce, dojrzałe, syjące, dające poczucie bezpieczeństwa.

– Nie ma już tego Portland – słyszę. Całe centrum opanowane jest przez bezdomnych.

Namioty i koczowiska w całym downtown. Narkotyki, wszechobecny fentanyl i ludzie zombi. Leżą pokotem na chodnikach. Defekują publicznie. Witryny sklepów zabite dechami. Stacje benzynowe z dyktą zamiast szyb. Podobnie w części Frisco, jeszcze gorzej w Seattle. Ucieka stąd biznes, firmy, bardziej przedsiębiorczy ludzie. Władze miejskie kompletnie nie radzą sobie z problemem. W koczowiskach bezdomnych królują gangi handlarzy narkotyków. Rośnie przestępczość. Gwałty, kradzieże. Kilka lat temu bezdomni z centrum Seattle ogłosili „strefę wolną od policji”, swoistą republikę przemocy, do której nie wpuszczano służb porządkowych, a od kierowców karetek jadących do chorych pobierano myto. Przetwała kilka miesięcy. W tym mieście nie da się żyć. Centrum umiera – mówią ludzie, którzy jak ja pamiętają Portland i Seattle sprzed dekad.

Dobrze, to Ameryka – upieram się – ale czy w Kanadzie, w tym raj, jakim jest Vancouver, jest tak samo? – Chodź. Pojedziemy – słyszę. Jedziemy samochodem przez tę najbardziej chorą część miasta. Zamykam oczy ze zgrozy. Jest południe. Namioty, kartony, góry śmieci. Poskręcani ludzie na fentanylu. Tu i tam w poprzek chodnika leży ludzkie ciało. Martwy czy odurzony? Nie wiadomo. Setki ludzi kucają przy ścianach. Feter. Bieda. Ktoś sobie coś wstrzykuje, nawet się z tym nie kryjąc. Wobec dramatów, z jakimi mierzą się Seattle czy Portland, Vancouver to ponoć mały problem. Tu tej biedy jest dużo mniej. Poza tym nie puszcza się jej do centrum. Ale Ameryka, ten wielki i arcybogaty kraj na południu, aż napuchła od tego nieszczęścia. Permisywizm, na jaki sobie pozwolono, zabija, a przede wszystkim dzieli ten kraj. Bo jest i druga strona. Konserwatywne i wierne dawnym wartościom południe oraz centrum. Gardzą tym, co się dzieje na wybrzeżu, nie chcą mieć z tym nic wspólnego. Oskarżają liberałów, lewicę, zasady równościowe czy BLM (Black Lives Matter) o zdradę Ameryki. O to, że ciągną ten kraj jak konie jeźdźców Apokalipsy na dno.

– A czy mają świadomość, ile w tym ich winy? – pytam. Czy zapomnieli o realnym apartheidzie, segregacji sprzed ledwie pięciu dekad? Zapomnieli o mordowaniu ludności tubylczej? Wynarodowianiu? Wydziedziczeniu z ziemi, tradycji, obyczajów? To setki lat dominacji białych. Równie okrutne po obu stronach granicy. Dziś to rewanz, brutalny rewanz.

– Tak, nie da się temu zaprzeczyć – słyszę w odpowiedzi. Tyle że bolesna przeszłość nie umniejsza wagi dzisiejszych problemów. Niezależnie od przyczyn dzisiejsza Ameryka zmagająca się z problemami, które mogą ten kraj rozsądzić od środka. I pewnie rozsądzą – mówi mi niemal każdy.

Trump więc czy Kamala? Jedni są za Trumpem, który obiecuje zrobić porządek. Drudzy za Kamalą, która ma zbawić Amerykę od radykalnego populizmu. Większość nie wierzy politykom, którzy żerują na fobiach i strachu. I to trzeci, pewnie najważniejszy aktor życia publicznego w kraju, który wciąż razi oczy urodą i bogactwem. Dobrze macie nad Wisłą – słyszę. Porządny, spokojny, bezpieczny kraj bez podziałów. Przynajmniej tych głębokich, nie do przeskokowania. Przełykam ślinę z pewną ulgą. Z tej perspektywy Polska to przedsiónek raj. Już za kilka dni w domu. Na szczęście. /©

DANIE GŁÓWNE

4 Sprytny zamach na mózg

ARTUR BARTKIEWICZ Aplikacje mobilne przeniknęły wszystkie elementy rzeczywistości, ułatwiając nam życie jak chyba nic innego. Zbyt rzadko zastanawiamy się jednak nad tym, co robią z nami te niewinnie wyglądające ikonki

8 ChatGPT to nie jest wszechwiedzący Bóg

ROZMOWA Z JULIUSZEM STRASZYŃSKIM, SPECJALISTĄ OD SZTUCZNEJ INTELIGENCJI Nigdy nie będzie tak, że dzięki sztucznej inteligencji absolutnie niczego nie będzie się od nas samych wymagać. Zawsze będziemy musieli coś wiedzieć

10 Umysł wyciekający

OLGIERD SROCYŃSKI Tak jak nie wyobrażamy sobie życia bez elektryczności, tak niedługo nie będziemy w stanie wykonywać nawet najprostszych czynności bez pomocy narzędzi, które będą myślały za nas

CYWILIZACJA

12 Czyja jest Polska

ANDRZEJ SZAHAJ Może oficjalnie ogłoszono, że Polski nie ma, i oddajmy reszki naszej wspaniałej przyrody we władanie tych, którzy dadzą za nią więcej? Niech dalej zabudowują najcenniejsze krajobrazowo fragmenty kraju, przy okazji mając w nosie względy bezpieczeństwa zbiorowego

14 Prosty magister historii

ESTERA FLIEGER Premier Donald Tusk nie jest wrogiem kultury i nauki, ale w jego świecie muszą znać swoje miejsce

16 Kultura w kraju zimnej wojny domowej

PIOTR ZAREMBA Czy cięcie równo z trawą wszystkich głów, które nie są do końca „nasze”, to żelazna zasada resortu kultury? I kto ją wymyślił?

18 Bałuty przełomu wieków

BŁAŻEJ CIARKOWSKI Jeszcze w XVIII w. było tu wszystkiego parę chatup, karczma, targowisko i dwór

KULTURA

20 Kulturę po 1989 roku potraktowano tak jak robotników

ROZMOWA Z PAWŁEM KOWALEWSKIM, ARTYSTĄ Straszne, że sprawdziła się moja przepowiednia z „Symulatora totalitaryzmu” z 2012 r. Musimy zrozumieć, że naszym sąsiadem jest psychopata zdolny do wszystkiego

22 „Plus Minus” poleca

REKOMENDUJE Krzysztof Bochus, dziennikarz, pisarz; **MUZYKA** „Romance”, Fontaines D.C.; **FILM** „Lisa Frankenstein”, reż. Zeldia Williams; **KSIĄŻKI** „Historia sztuki bez mężczyzn”, Katy Hessel; „Księżniczka Diuny”, Brian Herbert, Kevin J. Anderson; **GRA** „Klink”

24 Tutejsi, ale swojscy

BARBARA NAŁĘCZ-NIENIEWSKA

Białorusini identyfikują się z tym, co wydarzyło się na ich ziemi. Najważniejszą tożsamością jest dla nich bycie „stąd”

SPORT

26 Żółty szklany liść

KRZYSZTOF RAWA Ceniony przedsięwzięcia Arkadiusz Muś, organizując turniej Rosa Challenge Tour, spełnił tęsknoty polskich miłośników szkockiej gry

ZA KULISAMI III RP

28 Demokracja jest albo jej nie ma

ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM ZOLLEM, PRAWNIKIEM, W LATACH 1993–1997 PRZESESEM TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO Jarosław Kaczyński przez osiem lat rządów PiS dyktował, co się ma w Polsce dziać. Bez podstawy prawnej

NAUKA

30 Denna wiadomość dla poszukiwaczy życia

MAGDALENA KAWALEC-SEGOND Naukowcy odkryli, że tlen może powstawać bez udziału organizmów żywych. Skoro tak, to nie ma co go wypatrywać w kosmosie w nadziei, że naprowadzi nas na ich ślady

32 Do nauki trzeba mieć nie tylko głowę

BOGUSŁAW NIERENBERG Wniosek o uhonorowanie na UJ wybitnej polskiej uczzonej utknął na lafa. O tym, że sprawa w końcu ruszyła, nie przesądził światowej miary dorobek owej badaczki, lecz argument, że honorowe doktoraty otrzymuje zbyt mało kobiet. Co nam to mówi o polskim środowisku naukowym?

TEKA HERODOTA

36 0,02 milimetra, czyli siła precyzji

SIMON WINCHESTER Padły opinie, że kopiując komponenty broni, rusznikar nie może dać wyrazu swojemu kunsztowi, więc równie dobrze można by powierzyć to zajęcie niewykwalifikowanej sile roboczej

SIEŁA WYŻSZA

38 Ostrą jak brzytwa granią

BOŻENA SZAYNOK Sześć dekad temu Sobór Watykański II dokonał kopernikańskiego przewrotu w katolickim myśleniu o Żydach.

KRÓTKIE FORMY

34 Kulturalne dzieciobójstwo

JAN MACIEJEWSKI W kontrapunkcie

35 Od nadużyć do uzdrowienia Kościoła

TOMASZ P. TERLIKOWSKI Kronika przepowiedzianej katastrofy

40 Jeleń i wielka woda

MARIUSZ CIEŚLIK Plusy ujemne

40 Witamy w piekle

KATARZYNA SADŁO Kataryna

RYSUJE MIROSŁAW OWCZAREK



MICHAŁ SZULDRZYŃSKI
SZALEŃSTWA
TEGO ŚWIATA

NIE BĘDZIEMY MĄDRZEJSI

Nie przestaje mnie zadziwiać debata – czy raczej produkt debatopodobny – która foczy się przy okazji strasznej powodzi, jaka nawiedziła Dolny Śląsk.

Jak dowiedzieliśmy się z danych kolektywu badawczego Res Futura, to, co dzieje się w mediach społecznościowych w czasie powodzi, nie jest żadnym lustrem rzeczywistości, ale krzywym zwierciadłem zniekształcającym prawdziwą debatę. Bo choć w realu tak naprawdę rozmawiamy o tragedii powodzi, współczujemy im, pomagamy, to w internecie wydaje się, że interesuje nas głównie polityka.

Dlatego wcale nie byłem zdziwiony, gdy tematem numer jeden stały się bobry. O tym, że niszczą wały przeciwpowodziowe, wspomniał w zeszły weekend premier Donald Tusk. Ale dopiero na początku kolejnego tygodnia temat został podchwycyony – duża w tym rola środowisk wobec rządu krytycznych – i stał się główną inspiracją dla autorów memów. W końcu z bobrowego dylematu Tuska materiał zrobił nawet wpływowy brukselski serwis Politico. Ale czy rzeczywiście chcemy dyskutować o bobrach przy tej okazji? Jak zauważyła Estera Flieger, to nie one odpowiadają za zmiany klimatyczne, które sprawiają, że ekstremalne zjawiska pogodowe występują coraz częściej. Można się z premiera pośmiać, ale co z tego wynika na przyszłość?

Okazję na ciekawą debatę straciliśmy też po słynnej już wypowiedzi Jacka Żakowskiego, który w jednym z programów na antenie TVP Info przyrównał transmitowane przez media posiedzenia sztabu kryzysowego, na których premier ruga urzędników, do putinady. Sympatycy obecnej władzy tak się oburzyli, że stacja skasowała filmik z tą wypowiedzią z serwisu X, co doprowadziło do jeszcze większej politycznej jatki. Żakowski moim zdaniem grubo przesadził, ale dotknął sprawy bardzo poważnej. Jeśli bowiem premier na dwa tygodnie przenosi się do Wrocławia, by osobiście zarządzać kryzysem powodziowym, bo boi się, że jeśli go nie będzie, państwo zawiedzie, to wystawia temu państwu jak najgorszą notę. I obciąża to w równej mierze jego gabinet, rządu PiS, ale i wcześniejsze rządy PO – i tak przez trzy dekady. Jeśli państwo działa tylko wtedy, gdy na wałach stoi premier, to znaczy, że mamy poważny problem z jego działaniem. Państwa, a nie premiera. I to problem znacznie wykraczający poza krytykę tego czy poprzedniego rządu, poza spór PiS z Platformą.

Co mam na myśli? Otóż po pierwsze, takie sprawy jak kłeski żywiołowe nie są materią, z radzeniem z którą powinni zostawać sami obywatele czy samorządy. To, jak bardzo potrzebujemy sprawnego i nowoczesnego państwa, widać właśnie w takich sytuacjach. Ani tam, ani wałów przeciwpowodziowych nie zbudują wolontariusze. Społeczeństwo obywatelskie jest superważne, ale nie zastąpi w krytycznych sytuacjach państwa. Po drugie, widzimy, że coraz więcej problemów, które przed nami stają, ma charakter ponadnarodowy. Zmiany klimatyczne dotyczą całej planety, susze w Afryce powodują migracje ludności, temperatura Morza Śródziemnego podnosi się, wpływając, czasem tragicznie, na pogodę w dziesiątkach krajów. Muszą sobie z konsekwencjami tego radzić państwa, ale i one muszą współpracować, ponieważ problemy mają charakter globalny.

I może właśnie powódź jest dobrą okazją do tego, byśmy się nad rolą państwa zastanowili. Ale to, jak wygląda „debaty” o powodzi, taki namysł uniemożliwia. Chęć szybkiego osądu, dokopania Tuskowi za to, co zrobił teraz, czy Kaczyńskiemu za to, co zrobił wcześniej i czego zaniechał, właściwie wyklucza jakiejkolwiek wyciąganie wniosków na przyszłość. Po raz kolejny stracimy szansę, by zmądrzeć po szkodzie.

Plus Minus
 Magazyn „Rzeczpospolitej” redagują:
 Michał Szuldrzyński.....22 463 04 09
 z zespołem:
 Jakub Cegiela (szef działu), Daria Chibner,
 Krzysztof Cieślak, Marcin Kube, Jan Maciejewski,
 Michał Płociński, Mateusz Błażkow

stałe współpracują: Artur Bartkiewicz, Jędrzej Bielecki,
 Jan Bończa-Szabłowski, Jacek Borkowicz, Jacek Cieślak,
 Mariusz Cieślak, Michał Dobrowolny, Jakub Ekier,
 Robert Górski, Barbara Hollender, Janusz Kapusta,
 Magdalena Kawalec-Segond, Łukasz Kochanowski,
 Kamil Kotsut, Tomasz Krzyżak, Irena Lasota,
 Marcin Łuniewski, Jacek Marczyński, Natalia Miller,
 Eliza Olczyk, Mirosław Owczarek, Katarzyna Płachta-Kube,
 Katarzyna Sadlo, Joanna Szczepkowska, Rustan Szoszyn,
 Tomasz P. Terlikowski, Aneta Wawrzyńczak, Piotr Zaremba

- redaktor prowadzący: Jakub Cegiela
- projekt okładek: Konrad Siuda
- redaktor graficzny: Robert Wittek
- fotograf: Tomasz Nowak
- obróbka zdjęć: Tomasz Rojek
- e-mail: plusminus@rp.pl

RZECZPOSPOLITA

- REDAKTOR NACZELNY: Bogusław Chrabota
- ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: Tomasz Pietryga, Michał Szuldrzyński, Cezary Szymanek
- SEKRETARZ REDAKCJI: Tomasz Sobiecki.....22 628 81 44
- SZEFOWIE DZIAŁÓW: krajowy Tomasz Krzyżak.....22 653 01 10

zagraniczny Jerzy Haszczyński.....22 628 71 70
 opinii Michał Płociński.....22 463 03 51
 ekonomiczny Krzysztof A. Kowalczyk.....22 463 01 28
 prawa Ewa Szadkowska.....22 463 03 19
 kultury Jacek Cieślak.....22 463 03 92
 sportowy Kamil Kotsut.....22 629 65 26
 studio graficzne Robert Wittek.....22 463 01 39

WWW.RP.PL
 Michał Szuldrzyński - redaktor naczelny

ŻYCIE REGIONÓW:
 Hanna Wąrowska – pełnomocnik zarządu ds. rozwoju regionów odpowiedzialna za projekt h.wąrowska@rp.pl
 Andrzej Krakowiak – redaktor prowadzący a.krakowiak@rp.pl

ADRES REDAKCJI: ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,
 fax: 22 628 05 88
 automatyczna centrala telefoniczna: 22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01;
 internet: www.rp.pl

ISSN 0208-9130; Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów.
 Copyright © Gremi Media S.A.
 Wszystkie prawa zastrzeżone (łącznie z tłumaczeniem na języki obce).

WYDAWCA
 Gremi Media S.A.
 ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

gremi media

DZIAŁY:
 sprzedaży.....22 463 01 12
 marketingu.....22 463 03 47
 Agencja Fotograficzna.....22 463 03 07

PRENUMERATA „Rz”: www.rp.pl/prenumerata
 Bezpłatna infolinia 800 120 195
 Zamówienia na prenumeratę przyjmują jednostki Kolporter Sp. z o.o. S.K.A., Garmond Press, GLM, As Press oraz urzędy pocztowe.

PRENUMERATA ELEKTRONICZNA
 (e-wydanie, wydanie na tablecie):
 tel.: 801 15 15 15, e-mail: serwisy@platne@rp.pl
 www.rzeczpospolita.pl, www.e-kiosk.pl, www.e-gazety.pl

BIURO SPRZEDAŻY GREMI MEDIA S.A.
 tel. (+48) 22 629 86 14, (+48) 22 621 48 69
 fax (+48) 22 621 46 58, (+48) 22 625 61 57
 reklamainfo@rp.pl

Dyrektor Biura Reklamy i Ogłoszeń
 tel. (+48) 22 46 30 187, reklamainfo@rp.pl

Dyrektor Biura Konferencji i Projektów Specjalnych
 tel. (+48) 22 46 30 147, projekty@rp.pl

Dyrektor Działu Szkoleń
 tel. (+48) 22 629 86 14, (+48) 22 621 48 69
 fax (+48) 22 621 46 58, (+48) 22 625 61 57
 reklamainfo@rp.pl

Projekt Nieruchomości
 tel. (+48) 792 904 888, www.nieruchomosci.rp.pl

ZAMÓW OGŁOSZENIE, KOMUNIKAT, NEKROLOG
 tel. (+48) 22 629 86 14, (+48) 22 621 48 69
 fax (+48) 22 621 46 58, (+48) 22 625 61 57
 reklamainfo@rp.pl

NR KONTA: ING Bank Śląski S.A.
 14 1050 1025 1000 0090 3096 4259

DRUK: Agora SA, Polska Press sp. z o.o.
 Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.
 Niezamówionych materiałów i utworów Redakcja i Wydawca nie zwracają.

ARTUR BARTKIEWICZ

Aplikacje mobilne przeniknęły
wszystkie elementy rzeczywistości,
ułatwiając nam życie jak chyba nic innego.

Zbyt rzadko zastanawiamy się jednak nad tym,
co tak naprawdę robią z nami
te niewinnie wyglądające ikonki
na ekranach naszych smartfonów.

SPRYTNY ZAMACH NA MÓZG

W 2009 r. firma Apple wypuściła reklamę iPhone'a 3G, której hasłem było „jest na to aplikacja”. „Jeśli chcesz sprawdzić zaśnieżenie na górze - jest na to aplikacja. Jeśli chcesz sprawdzić, ile kalorii jest w lunchu - jest na to aplikacja. A jeśli chcesz sprawdzić, gdzie zaparkowałeś samochód - nawet na to jest aplikacja. Tak, jest aplikacja po prostu na wszystko” - przekonywał 15 lat temu lektor w reklamie, w której główną rolę grał smartfon wyglądający z dzisiejszej perspektywy jak urządzenie prehistoryczne.

Reklama ta doczekała się licznych parodii, wiele osób uznało wizję Apple'a za nadmiernie optymistyczną i myślenie życzeniowe. Po 15 latach wiemy, że firma miała rację, bo dziś rzeczywiście mamy aplikacje dośłownie do wszystkiego, nawet do kontroli czasu spędzanego w innych aplikacjach, które mają za zadanie oderwać nas choć na chwilę od ekranu smartfona.

- Już dziesięć lat temu wyszła książka „App generation” (pol. „Pokolenie aplikacji”). Jeśli już wtedy badacze tak mocno zaczęli podkreślać rolę aplikacji mobilnych, to faktycznie coś jest na rzeczy - zauważa w rozmowie z „Plusem Minusem” dr Jakub Kuś, psycholog z Uniwersytetu SWPS, który specjalizuje się we wpływie nowych technologii na społeczeństwo. Eksperti, z którymi rozmawialiśmy, są zgodni - pojawienie się aplikacji mobilnych było przełomem nie tylko technologicznym, ale też, a może przede wszystkim, społecznym.

Jak internet przeniósł się do kieszeni

Samo pojawienie się internetu zrewolucjonizowało sposób przepływu informacji i znacznie ułatwiło dostęp do różnego rodzaju treści, ale dopóki korzystanie z sieci wymagało tego, by usiąść na krześle przed komputerem, rzeczywistość cyfrowa nie

była wszechogarniająca. Stąd jeszcze na początku XXI wieku nasze życie było w dużej mierze „analogowe”, a komputer pełnił w nim rolę podobną do telewizora - korzystaliśmy z niego, gdy byliśmy w określonym miejscu i mieliśmy na to czas.

Pojawienie się smartfonów było w tym kontekście zmianą prawdziwie rewolucyjną - internet mógł nam nagle towarzyszyć w każdym momencie. Ale sama przeglądarka internetowa, na małym ekranie, raczej nie zwróciłaby naszej uwagi na możliwości, jakie stwarza dla nas ta nowa rzeczywistość. - Wersje przeglądarek różnych usług nie były wygodne, zresztą do dzisiaj takie nie są - zauważa Magdalena Bigaj z Instytutu Cyfrowego Obywatelstwa, autorka książki „Wychowanie przy ekranie” i podcastu o tym samym tytule.

Dopełnieniem owego „przeniesienia internetu do kieszeni” było pojawienie się właśnie aplikacji: skrojonych pod możliwości smartfonów programów, które w sposób równie łatwy, co - pod wieloma względami - atrakcyjny, umożliwiały zaspokajanie różnych potrzeb w dowolnym momencie. Dziś przeciętny użytkownik smartfona ok. 90 proc. czasu korzystania z niego spędza właśnie w aplikacjach (to 4-5 godzin dziennie). Programy z tej statystyki to oczywiście kategoria bardzo szeroka - wszak aplikacją mobilną jest nawet kalkulator czy notatnik - niemniej dane te dobrze uzmysławiają nam, że tak naprawdę inne funkcje, jakie pełni nasz smartfon, są co najwyżej dodatkiem do aplikacji.

- Pracowałam wtedy jeszcze w branży nowych technologii i pamiętam, jakim ogromnym przełomem było wejście aplikacji. Dla każdego właściciela serwisu czy wydawcy to było jak przekroczenie Rubikonu - wspomina Magdalena Bigaj. - Nagle znaleźliśmy się w kieszeniach naszych odbiorców - dodaje. Prezeska Instytutu Cyfrowego Obywatelstwa podkreśla, że wejście na rynek smartfonów „uzbrojonych” w aplikacje mobilne było przełomem technologicznym o „wrecz biologicznym” charakterze. - One fizycznie zmniejszyły dystans do odbiorcy. I to jest bardzo istotne - tłumaczy.

- Smartfony stają się narzędziem multidowodzenia, multinarzędziem, w którym jest coraz więcej funkcji. Dlatego też, gdy dziś zadajemy sobie pytanie, co możemy zrobić w smartfonach, odpowiadamy: wszystko. To pokazuje, że myślimy o tych narzędziach jako o czymś, co zaspokaja wiele naszych potrzeb - wtóruje jej dr Karol Jachymek, medioznawca z Uniwersytetu SWPS.

- Ja zawsze używam słowa „nieuniknioność”. Nowe media są czymś takim nieuniknionym, nie sposób przed tym uciec. Aplikacje mobilne stały się tkanką codzienności, a smartfony, dzięki nim, czymś „wszystkomającym” - mówi z kolei dr Barbara Orzeł z Uniwersytetu Śląskiego, która doktoryzowała się, pisząc o aplikacji mobilnej jako zjawisku kulturowym.

Istotne jest przy tym to, że smartfon wraz ze skrojonymi pod niego programami jest przy nas, a przynajmniej może być, w każdej chwili. Korzystanie z niego nie jest już tylko jedną z wielu czynności wykonywanych w ciągu dnia, ale staje się czymś towarzyszącym wszystkim innym czynnościom. Dlatego Magdalena Bigaj mówi, że nie zgadza się, by o smartfonie i aplikacjach mówić jako o zwykłym narzędziu, takim jak np. młotek. - Czy zna pan kogós, kto chodzi z młotkiem do toalety? - pyta retorycznie.

Po co samemu pisać do narzeczonej

Otym, że żyjemy dziś w świecie aplikacji, mówią suche liczby. Obecnie na rynku dostępnych jest nieco ponad 8,9 mln aplikacji mobilnych z czego większość - ok. 5,7 mln - dostępnych jest w dwóch źródłach, czyli w Apple App Store i Google Play Store.

Rynek takich programów jest dziś wart ok. 536 mld dol. przy dynamice wzrostu na poziomie 10 proc. rocz-



PIAŁ/ADBEISTOCK

nie. Do 2027 roku ma osiągnąć wartość ponad 756 mld dol. Dla porównania - w 2009 roku było to ok. 4,2 mld dol. Wygląda na to, że choć już wtedy mieliśmy mieć dostęp do „aplikacji na wszystko”, to i tak potrzebujemy ich wciąż więcej i więcej. A przynajmniej tak nam się wydaje.

O popycie na aplikacje świadczy fakt, że w 2022 r. codziennie - tylko ze sklepów Apple'a i Google'a - ściągano aplikacje 250 mln razy. Rocznie to ponad 90 mld pobrań z tych dwóch źródeł, a ogólna liczba pobrań jest jeszcze większa i przekracza 142 mld. Biorąc pod uwagę, że liczba mieszkańców Ziemi to dziś ok. 8 mld, łatwo obliczyć, że każdy człowiek statystycznie pobiera rocznie niemal 18 aplikacji.

Przeciętny użytkownik smartfona ma zainstalowanych na telefonie ok. 80 tych programów, ale regularnie korzysta z dziewięciu, a nieregularnie (raz w miesiącu) - z ok. 30. To, że pobieramy ich więcej niż w rzeczywistości potrzebujemy, świadczy o tym, że wyborów dokonujemy tu nie do końca świadomie, zachowując się do pewnego stopnia w sposób automatyczny. Hasło „na to jest aplikacja” zinternalizowaliśmy na tyle, że gdy pojawia się możliwość ściągnięcia kolejnej, po prostu to robimy, bo a nuż uczyni ona nasze życie łatwiejszym. Albo przyjemniejszym. W efekcie ok. 25 proc. programów mobilnych używamy tylko raz - w momencie, gdy je pobierzemy.

- Fakt, że mamy już nawet aplikacje ograniczające czas korzystania z aplikacji, wskazuje, że to jest trochę wąż polykający swój ogon - mówi dr Kuś. I dodaje: - W tej chwili trudno mi sobie wyobrazić taką sferę życia, w której nie byłoby towarzyszącej jej aplikacji.

Doktor Barbara Orzeł zaś zauważa, że „funkcja telefonu jest od dobrych paru lat ostatnią, jaką pełni smartfon”. - Mamy tyle aplikacji komunikacyjnych, że funkcja rozmowy telefonicznej jest czymś archaicznym, zwłaszcza dla pokolenia Z i Alfa - podkreśla.

Aplikacja dobra na wszystko? Rzeczywiście - mamy oto apkę, której celem jest przypominanie nam, żeby-

śmy pili wodę. „Jeśli jesteście zbyt zajęci, by pamiętać o tym, aby pić wystarczająco wiele i regularnie, nie martwcie się” - reklamują ten program jego twórcy.

Wśród milionów dostępnych na rynku aplikacji jest np. służąca do „organizacji” życia uczuciowego. To Bro-App, za pomocą której mężczyźna pozostający w związku może zaoszczędzić nieco czasu, który - w innym przypadku - musiałby przeznaczyć do podtrzymywania komunikacji ze swoją wybranką. Jak to działa? „To twój sprytny skrzydłowy” - reklamują twórcy. Wystarczy wpisać numer telefonu swojej partnerki, sformułować kilka-kilkanaście czułych wyznań pod jej adresem, a następnie ustalić, w jakich godzinach ma je otrzymać. I gotowe - teraz to aplikacja będzie dbała o to, aby ukochana nie czuła się zapomniana.

Idźmy dalej. Jeśli ktoś ma problem z przeczytaniem książki napisanej zbyt wyszukany angielskim, może skorzystać z aplikacji do upraszczania tekstu pisanego. Jeden z takich programów pozwala np. na łatwe, lekkie i przyjemne przeczytanie „Ulissesa” Joyce'a, ponieważ kunsztowne zdania takie jak „(...) poszedł dalej, wlokąc jesionową łaskę po ziemi. Jej okucie sunęło za nim lekko po ścieżce, skrzypiąc u obcasów” jest w stanie zmienić na „Ciągnął łaskę za sobą. Hałasowała”. Możemy też skorzystać z aplikacji ułatwiających szybkie czytanie, które wskazują nam miejsce na ekranie smartfona, na które mamy patrzeć, tak aby nie tracić energii na zbędne ruchy gałek ocznych, ograniczając się jedynie do mrugania.

Jeśli ktoś ma problemy z dokonywaniem wyborów, może z kolei skorzystać z aplikacji Decide Now!, która - po wprowadzeniu możliwych opcji - zakręci kołem fortuny i wskaże nam, czy mamy zjeść kurczaka, czy rybę, albo czy pójść na spacer, czy może poczytać książkę. A jeśli już ustalimy, co jest dla nas danego dnia priorytetem, możemy skorzystać z aplikacji, która rano wyświetli nam nasz cel na ekranie smartfona na - tu cytaty z twórców - „inspirującym” tle. Realizowanie owego celu ułatwi nam program pełniący funkcję oso-

bistej sekretarki, który sporządza notatki ze spotkań, a potem - bazując na mechanizmie AI - pozwala szybko odnaleźć potrzebną nam informację, która pojawiła się na tych spotkaniach. Wystarczy zadać aplikacji odpowiednie pytanie.

O takich aplikacjach, jak Google Maps, Messenger, WhatsApp czy różnego rodzaju platformy zakupowe, nawet nie warto już wspominać. Dla większości z nas są tak oczywiste, że niektórzy młodszy użytkownicy smartfonów mogą nie wierzyć, że kiedyś korzystało się z papierowych map albo wysyłało telegram, by kogoś o czymś szybko poinformować.

Przywiązani do nagrody

W tej beczce miodu jest łyżka dziegciu. A nawet kilka. Przede wszystkim warto pamiętać, że aplikacje są przedsięwzięciem komercyjnym, co oznacza, że ich twórcy niezupełnie bezinteresownie starają się ułatwić i umilić nam życie.

- Rzadko kiedy mamy świadomość, że instalując kolejną aplikację w telefonie, nie pobieramy czegoś, co jest za darmo. Zazwyczaj płacimy walutą ważniejszą niż pieniądzem: naszymi danymi, uwagą, czasem wolnym. Problemem jest nieświadomość tego, że naradziamy, z których korzystamy, nie są przezroczyste - mówi dr Jachymek.

Większość aplikacji to rzeczywiście programy bezpłatne, co jednak nie oznacza, że są tworzone charytatywnie. Najczęstszym źródłem zysków dla twórców są emitowane w nich - w różnej formie - reklamy. To zaś oznacza, że niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z mobilną grą, czy aplikacją do robienia zakupów, jej twórca zrobi wszystko, abyśmy po pierwsze, spędzali

w niej więcej czasu (bo wtedy obejrzymy więcej reklam), a po drugie, abyśmy zaglądali do niej regularnie.

Metody na to są różne. Wśród nich są powiadomienia - dźwiękowe i graficzne, które przypominają nam o aplikacji i skłaniają do zajrzenia do niej. Wykorzystywany jest tu układ nagrody w naszym mózgu: powiadomienie jest sygnałem, że wydarzyło się coś istotnego, ergo - musimy sprawdzić co. Ewolucja „wytrenowała” nasz mózg do tego, by rejestrować wszelkie zmiany w otoczeniu, które mogą być dla nas istotne. Ten, kto wymyślił powiadomienia, skwapliwie z tego skorzystał.

Na tym nie koniec. - W sklepach internetowych obserwowujemy taki trend, że za wejście na stronę sklepu raz dziennie otrzymujemy losową nagrodę, np. kupony zniżkowe na różne produkty. Za tym stoi cała inżynieria behawioralna, której celem jest to, abyśmy jak najwięcej czasu i uwagi poświęcili danej aplikacji. Mnie się to kojarzy z tym, jak zorganizowane są kasyna. Gdy człowiek wchodzi do nich, to samo otoczenie - przyciemnione światło, muzyka w tle - sprawiają, że chce zostać tam na dłużej, przez co, grając, wyda tam więcej pieniędzy - mówi dr Kus.

- Programy mobilne projektowane są w taki sposób, abyśmy nie chcieli z nich wychodzić. Nawet aplikacje e-commerce budowane są tak, abyśmy jak najdłużej w nich przebywali. Przecież jeszcze nigdy kupowanie nie było tak proste. Klik, klik i blik. I już jutro paczka jest u nas w domu. To wszystko daje nam takie pobudzenie i zadowolenie z kupowania, że zaczynamy to robić kompulsywnie - mówi z kolei Magdalena Bigaj. - To jest ogromne wyzwanie dla mechanizmu nagrody - dodaje.

Dr Jachymek zwraca uwagę, że niektóre aplikacje „ukrywają” owe przywiązujące nas do nich mechanizmy pod płaszczykiem korzyści, jakie osiągamy dzięki korzystaniu z nich. - Zbyt koncentrujemy się na pozytywnym aspekcie danej aplikacji. Ten mechanizm często jest wykorzystywany w popularnych programach do nauki języków - mówi. Chodzi o to, że aplikacja taka wprowadza elementy znane z gier - ucząc się, rywalizujemy z innymi użytkownikami, zdobywamy rangi, zbieramy punkty, np. w postaci monet czy klejnotów, dzięki którym możemy odblokowywać jakieś możliwości, odbieramy też nagrody za regularne korzystanie z takiej aplikacji. - Niejako jesteśmy zmuszani, by codziennie wchodzić w interakcję z tą aplikacją. Ale mimo to myślimy o niej jako narzędziu przydatnym, bo uczymy się języków. Gdybyśmy byli w aplikacji, która nie ma tak pozytywnego skutku, ten mechanizm przywiązania nas do niej byłby bardziej widoczny - wyjaśnia medioznawca.

Z tego samego mechanizmu korzystają niektóre mobilne programy do zarządzania swoim czasem. Ciekawym przykładem jest Habitica - aplikacja, która reklamuje się hasłem „Zgrywalizuj swoje życie”. Za wykonywanie codziennych obowiązków otrzymujemy tu nagrody, jak za osiąganie kolejnych poziomów w grze. Za umycie zębów czy wyrzucenie śmieci możemy zdo-

Co więcej, przez to, że nawet korzystanie z programów użytkowych staje się przyjemnością - rośnie prawdopodobieństwo, że jeśli już rzeczywiście dzięki aplikacji wygospodarujemy czas wolny, to spędzimy go w innych aplikacjach - serwisach streamingowych, grach czy mediach społecznościowych. Bo skoro z telefonem nawet kupowanie czy wykonywanie obowiązków staje się łatwe, lekkie i przyjemne, to ile przyjemności muszą dawać programy zaprojektowane dla rozrywki?

Czy oduczą nas myślenia

nną groźbą związaną z zagłębieniem się w świat aplikacji jest to, że wykonując za nas coraz więcej czynności, nadmierne nas one rozleniwiają, czy wręcz oduczają pewnych umiejętności. Już dawno mówi się o problemie osłabiania kompetencji społecznych przez nadmierne korzystanie z mediów społecznościowych i przeniesienie się interakcji do przestrzeni cyfrowej. Ale to nie jedyny problem.

- Jedno z badań pokazało, że kiedy musimy odpowiedzieć na pytanie, gdzie jest najbliższy sklep, albo gdzie najlepiej spędzić wakacje, to pierwsza myśl, jaka pojawia się u większości ludzi, brzmi: „gdzie jest mój telefon”. Mózg jest jak mięsień - umie tyle, ile pozwolimy mu zrobić. Jeśli go zwalniamy z myślenia, bo za każdym razem się protezujemy, używając aplikacji, to się rozleniwia. Dlaczego ma sam wnioskować, skoro może dostać łatwą i szybką odpowiedź - mówi Magdalena Bigaj.

Prezesa Instytutu Cyfrowego Obywatelstwa zwraca przy tym uwagę, że „myślenie krytyczne, które wymaga czasu i wysiłku, jest drogie kalorycznie dla mózgu, a mózg chce oszczędzać kalorie”.

Doktor Kuś mówi z kolei, że dla osób, które uważają, że „każda ich minuta jest na wagę złota”, aplikacje dosłownie do wszystkiego to „idealny sposób, żeby sobie różnego rodzaju rzeczy uprościć”. - W sensie podstawowym to nie musi być złe. Ale może mieć negatywne konsekwencje, przede wszystkim w kontekście młodych użytkowników - dodaje, podkreślając, że ci ostatni dopiero kształtują swoje kompetencje. On też zwraca uwagę, że z mózgiem jest jak z mięśniem. - Jeśli jest nieużywany, to, metaforycznie to ujmując, wiotczeje i słabnie - tłumaczy.

W tym kontekście groźne mogą okazać się aplikacje wykorzystujące mechanizm sztucznej inteligencji, takie jak ChatGPT. Z faktu, że aplikacja ta jest w stanie nie tylko - jak przeglądarka Google'a - wyszukać nam informacje, z którymi jednak potem musimy się zapoznać i dokonać jakiejś ich analizy i syntezy, ale może nam udzielić pełnej odpowiedzi na zadane jej pytanie, wynikają daleko idące konsekwencje. - Nasz mózg się rozwija, zdobywa kompetencje. Potrzebujemy do tego treningu. Jeśli będziemy się zwalniali z tego treningu, to nasz mózg w tym obszarze nie będzie się doskonalił.

To tak, jakbyśmy poszli na siłownię z robotem i powiedzieli: tu masz mój plan ćwiczeń, ty sobie ćwicz, a ja będę patrzył. I to jest dokładnie to, co robimy swojemu mózgowi - mówi Bigaj.

Z kolei dr Orzeł zwraca uwagę na fakt, że „ten, kto stworzył mechanizm aplikacji, stanie się właścicielem wiedzy ludzi, którzy będą z tej aplikacji bezkrytycznie korzystali”.

W kontekście dwuznaczności aplikacji w roli czegoś, co „wyręcza nas” w różnych obszarach życia, dr Jachymek wskazuje aplikację Google Maps. - Z jednej strony to narzędzie potrafi nas poprowadzić w sposób, którego my byśmy bez

niego nie potrafili zrealizować. A z drugiej strony zdajemy się na jakąś technologię, która może być pod wieloma względami ułomna, może mieć nad nami kontrolę, albo może jej po prostu zabraknąć - mówi. Co jakiś czas media obiegają historie o osobach, które ufając zbyttno elektronicznej nawigacji, wjeżdżają samochodami do rzek bądź jezior.

- Kiedy pracuję z młodzieżą, widzę, jak oni tracą umiejętności, takie jak np. umiejętność ręcznego pisanie czy wyszukiwanie sobie czegoś w bibliotece. Ich posiadanie wydawało się kiedyś oczywiste. Aplikacje zdecydowanie nas rozleniwiają. Tracimy przy nich podstawowe kompetencje - przyznaje dr Barbara Orzeł.

Rozważania na temat wpływu smartfonów i aplikacji na nasze możliwości poznawcze nie są czysto teoretyczne. Już w 2015 r. badacze z kanadyjskiego Uniwersytetu w Waterloo w serii eksperymentów udowodnili, że osoby mające skłonność do korzystania ze schematów poznawczych oraz myślenia bardziej intuicyjnego niż analitycznego, chętniej korzystają ze smartfonów, co oznacza, że posiadanie owych „ułatwiaczy” życia umacnia takie praktyki. Z kolei badacze z Chicago udowodnili, że obecność smartfona w zasięgu wzroku albo nawet świadomość, że mamy go przy sobie (np. w plecaku), obniża nasze umiejętności poznawcze. Z jednej strony smartfon nas dekoncentruje, bo myślimy o tym, co w tej chwili dzieje się w cyfrowej rzeczywistości, a z drugiej - jest dla mózgu kuszącą alternatywą dla męczącego procesu myślenia.

- Wszystko, w czym funkcjonujemy, w jakimś stopniu wpływa na nasz mózg i powinniśmy o tym pamiętać. Za technologią zawsze idzie zmiana. Jeżeli ja miałbym wskazać coś, co jest zagrożeniem, to właśnie to, że my bardzo mało rozmawiamy o społecznych, cywilizacyjnych skutkach funkcjonowania technologii. To jest ważna refleksja, żebyśmy mieli świadomość, co może wyniknąć z pojawienia się jakiejś technologii - mówi dr Jachymek.

Nie być jak król Julian

Czy zatem należy w te pędy zamienić smartfon na Nokię 3310 (na której, notabene, też są aplikacje - ale gra w popularnego niegdyś węża nie przejmie raczej całkowitej kontroli nad naszym życiem) albo przynajmniej odinstalować wszystkie posiadane programy? Oczywiście nie. Ale o paru rzeczach warto pamiętać.

- Trzeba sobie uświadomić, po co tego używamy. Cal Newport w książce „Cyfrowy minimalizm” przekonuje, żeby nie godzić się na to, że dostajemy jakąkolwiek korzyść. Jakakolwiek korzyść nie jest wystarczającą wartością, żeby poświęcić swój czas i swoje życie na patrzenie w ekran - mówi Magdalena Bigaj. Bo - jak zauważa - każda aplikacja daje nam jakąś korzyść. Dlatego lepiej, jak pisze wspomniany Newport, zastanawiać się nad kryterium „rzemieślniczej przydatności”. - Odpowiedzieć sobie na pytanie: co ja w życiu robię, co jest dla mnie ważne. To nie musi być tylko praca, to może być np. sprawne prowadzenie domu, rozwijanie jakiegoś zainteresowania. A następnie uświadomić sobie, które technologie w moim telefonie służą konkretnie temu celowi - radzi prezeska Instytutu Cyfrowego Obywatelstwa.

Przyznaje przy tym, że nie jest to proste. - Produkt, który oducza nas dyscypliny, wymaga dużej dyscypliny, żeby go mądrze stosować. To jest bardzo duże wyzwanie - i mówię to jako ekspertka od higieny cyfrowej - stwierdza. Sama Bigaj zdradza, że aby nie zatonać w aplikacjach, regularnie odinstalowuje np. aplikacje mediów społecznościowych, a przywraca je tylko na chwilę, gdy np. chce umieścić w nich jakiś wpis.

Doktor Jakub Kuś mówi, że gdy prowadził warsztaty dla młodych ludzi dotyczące higieny cyfrowej, najbardziej trafiało do jego słuchaczy to, że nie powinni dawać sobą manipulować. - Mówiąc wprost: nie róbmy z siebie głupka, który jest na uwięzi mechanizmów, algorytmów. Powinniśmy być trochę sprytniejsi - apeluje. Jak dodaje, ważne jest, aby sobie uświadomić, że twórcy aplikacji „śmiało sobie zarabiają na naszym czasie, a nasze zdrowie psychiczne i inne kwestie ich nie interesują”. - Nie dawajmy się - podsumowuje.

- Powinniśmy mieć głęboką świadomość tego, czym aplikacje są, co nie musi prowadzić do ich odinstalowania. My często, korzystając z internetu, nie mamy świadomości, że gramy w pewną grę. Tymczasem możemy w nią grać, ale musimy wiedzieć, na jakich toczy się zasadach - podkreśla dr Jachymek.

Magdalena Bigaj radzi, by unikać bezkrytycznego zachwytu nową technologią. - Obserwuję, że to jest tak, jak mówił król Julian (jeden z bohaterów filmów z serii „Madagaskar” i kreskówki „Pingwiny z Madagaskaru” - red.): „Szybko, szybko, biegnijmy, zanim ktoś się zorientuje, że to jest bez sensu”. Z nowymi technologiami mamy trochę taki syndrom króla Juliana. Wszyscy pędzą, nie patrząc na koszty. Myślenie o technologiach jest bardzo technocentryczne, brakuje skupienia się na wartościach, na tym, na czym nam zależy, co chcemy ochronić.

/©©

Artur Bartkiewicz



GDY JAKUB KUŚ PROWADZIŁ WARSZTATY DLA MŁODYCH LUDZI DOTYCZĄCE HIGIENY CYFROWEJ, NAJBARDZIEJ TRAFIAŁO DO JEGO SŁUCHACZY TO, ŻE NIE POWINNI DAWAĆ SOBĄ MANIPULOWAĆ.

- MÓWIĄC WPROST: NIE RÓBMY Z SIEBIE GŁUPKA, KTÓRY JEST NA UWIEZI MECHANIZMÓW, ALGORYTMÓW. POWINNIŚMY BYĆ TROCHĘ SPRYTNIJSI - APELUJE

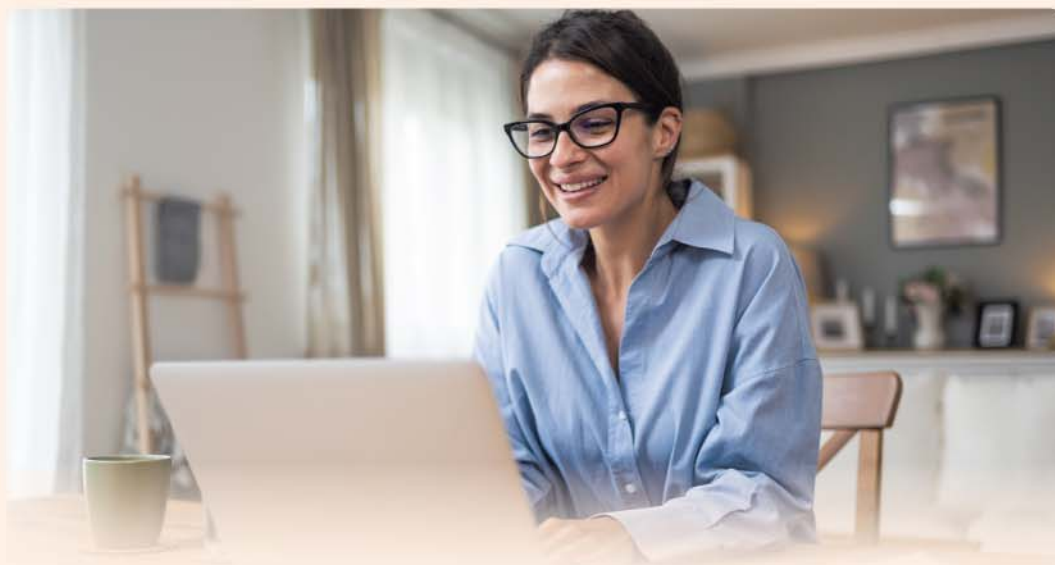
bywać przedmioty, które podnoszą naszą rangę w oczach innych użytkowników - a za zdobyte punkty możemy sami nagradzać się np. czasem wolnym na kino. Jako że mowa o codziennych obowiązkach, również nasz kontakt z aplikacją musi być codzienny.

W efekcie mamy do czynienia z paradoksem - aplikacje, których rolą, przynajmniej teoretycznie, ma być ułatwienie nam życia i sprawienie, że będziemy mieli więcej wolnego czasu, de facto robią wszystko, aby nam tego czasu jak najwięcej zabrać. - W aplikacjach różnego typu można spędzać bardzo dużo czasu. To niby ma nam pomóc, a w rzeczywistości tracimy poczucie czasu - mówi dr Orzeł.

BIZNES

Firma w domu a podatek od nieruchomości

JAK PROWADZENIE FIRMY W DOMU WPŁYWA NA PODATEK OD NIERUCHOMOŚCI?



- Czy prowadzenie działalności w domu zwiększa wysokość podatku?
- Jakie zasady opodatkowania obowiązują?
- Na co trzeba zwrócić uwagę przy rozliczeniach?



→ Poznaj szczegóły na [PRO.RP.PL](https://pro.rp.pl)

PRO.RP.PL

Wiedza dla profesjonalistów – **RAPORTY ANALIZY ORZECZENIA PROGNOZY**

ROCH ZYGMUNT**Wolałby pan rozmawiać teraz ze mną czy z ChatGPT?**

Z panem, bo od człowieka mogę się czegoś ciekawego dowiedzieć.

A od chata nie?

Unieważnie mogę znaleźć odpowiedzi, których się spodziewam. Mogę przypuszczać, że chat opowie mi ciekawostkę historyczną i w tym sensie działa jak inna wersja wyszukiwarki internetowej. Człowiek zaś może robić trochę więcej, szczególnie w rozmowie. Potrafi pomyśleć, zaskoczyć, zaciekawić czy zażartować. Chat jeszcze nie jest w stanie tego zrobić.

A może się to zmienić? Rola np. dziennikarzy może zostać sprowadzona do programistów, którzy wstukują kody?

Trochę tak, trochę nie. Są różni dziennikarze. Mamy felietonistów opisujących swoje myśli, które wymagają głębszych intelektualnych obserwacji. Są newsowcy, którzy opisują fakty, coś, co się zdarzyło. I tak jak w tym drugim ChatGPT jest dobry, tak widzimy jego duże deficyty w używaniu logiki i myślenia. To blokuje formułowanie bardziej złożonych treści. Najlepiej to widać w takich skomplikowanych dziedzinach jak matematyka czy programowanie. Programiści nie są w stanie zastąpić samych siebie, bo projektowanie złożonych algorytmów i systemów to coś, czego AI jeszcze nie umie. Gdy czytamy pogłębione artykuły, widzimy, że jest to aktywność wymagająca kreatywności, a chat jest dobry w imitacji, nie w innowacji. I póki będziemy zajmować się tym drugim, jeszcze nic nam nie grozi.

Zły pieniądź nie wyprze dobrego? Nie będzie tak, że ludzie wybiorą gorszy, ale fałszywy produkt? Po co zamawiać grafiki u profesjonalistów, skoro może je wypluć ChatGPT?

Ekonomia mówi nam, że wprawdzie nie jest tak, że nie chcemy żadnych innowacji w dziedzinie obrazów, ale jeśli istnieje możliwość, że będzie można produkować je taniej, ludzie z tej opcji skorzystają. Zawsze jednak odbiorcy chcą czegoś więcej i kiedyś grafiki generowane przez ChatGPT nam spowszednieją. A wchodząc na poziom wyżej, trzeba powiedzieć, że innowacje są potrzebne, bo bez nich sam chat się nie rozwinie. Polega tylko na bazie treningowej, która jest sumą ludzkich dokonań. Pełne cedowanie kreatywnych zadań na ChatGPT byłoby głupie, bo kręcilibyśmy się w kółko. Na ten moment to narzędzie nie jest samo z siebie innowacyjne.

Na ten moment?

Przejrzyjmy się tzw. modelom generatywnym AI, czyli takim, które są w stanie wygenerować tekst lub obraz. Są one w stanie popatrzeć na tekst i odpowiedzieć na pytanie „czy to wygląda na dobry tekst?” albo „czy to wygląda na obraz wykonany przez człowieka?”. Innymi słowy, bot stwierdza, czy widział podobny wytwór w swoim zestawie treningowym. Wszystkie modele językowe i generatywne mają na wyjściu „wgrane” miliony tekstów i obrazów, na podstawie których działają – albo oceniając to, co im podamy, albo generując samodzielnie. W dalszym ciągu jest to imitacja. Możemy pójść o krok dalej. Badacze AI chcieliby zdekonstruować nasz niewypowiedziany styl myślenia. Próbuje przeformułować przywołane przeze mnie pytania w taki sposób, by pytano o kroki myślowe, nie wytwory. Jeśli im się to uda, będzie można generować kroki myślowe i – tym samym – myśleć.

I firma będzie mogła stworzyć sobie, dajmy na to, plan strategiczny na najbliższy kwartał?

Na przykład. Tyle tylko, że jeszcze nie jesteśmy w stanie tego zrobić. Widzimy oczywiście postępy. Ostatnio Google Deepmind pochwaliła się modelem AlphaProof, który podobno był w stanie rozwiązać cztery z sześciu zadań z Międzynarodowej Olimpiady Matematycznej. Cechują się one tym, że nie wymagają aż tyle wiedzy, ale za to bardzo dobrego logicznego myślenia. Wychodzi na to, że ten model potrafił stwierdzić, czy dana operacja wygląda jak dobry krok dowodowy w stronę rozwiązania zadania.

Firma OpenAI z kolei wypuściła niedawno model o1, który był w stanie osiągnąć wynik na poziomie złotego medalu podczas Międzynarodowej Olimpiady



ARCHIWUM PRYWATNE

CHATGPT TO NIE JEST WSZECHWIEDZĄCY BÓG

ROZMOWA Z JULIUSZEM STRASIŃSKIM, SPECJALISTĄ OD SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

Nigdy nie będzie tak, że dzięki sztucznej inteligencji absolutnie niczego nie będzie się od nas samych wymagać. Zawsze będziemy musieli coś wiedzieć.

Informatycznej, pod wieloma względami podobnej do tej z matematyki. Jednym z kroków było zebranie danych, które ukazywały pojedyncze kroki myślowe. Natomiast ludzka myśl ma to do siebie, że nie do końca można ją spisać w formie tekstu. Świadoma, werbalna myśl jest jedynie elementem ludzkich zdolności kognitywnych, często opieramy się na podświadomych intuicjach.

Ale chyba coraz mniej tego myślenia potrzebujemy, skoro AI może nas w wielu rzeczach wyręczyć. Nie uważa pan, że nowe technologie zbyt mocno ułatwiają nam życie?

Ogólnie rzecz biorąc, nigdy zbyt wiele ułatwiania sobie życia. Zawsze lepiej, gdy jest ono prostsze. Kluczowe pytanie brzmi, czy z tych dobrodziejstw korzystamy odpowiedzialnie. Weźmy przykład uczniów. Jeśli zadaje im się rozprawkę do napisania, to celem nie jest efekt bezpośredni w postaci gotowej pracy, ale to, by potrenowali logiczne myślenie i argumentację. Jeśli pomyłimy te dwa porządki, a to się zdarza często, to dochodzimy do sytuacji, w której uczeń zamiast przygotować rozprawkę samemu, pyta o nią ChatGPT. Jakkolwiek sama rozprawka nie wydaje się formą specjalnie użyteczną, tak pozwala ona nabyć i ćwiczyć umiejętności, które potem pozwolą robić rzeczy znacznie bardziej potrzebne. Tak działa też matematyka. Jeśli ktoś korzysta z AI nieodpowiedzialnie, istnieje ryzyko, że niczego się nie nauczy.

Nie da się zadekretować odpowiedzialności.

Zgadza się. I tu mamy kolejny problem otwarty: jak podczas korzystania z dobroczynnych możliwości sztucznej inteligencji nie wylać dziecka z kąpielą. Czyli jak sprawić, żeby np. dzieci dalej się uczyły. Uważam, że szkolnictwo powinno uświadamiać ludzi, że życie nie polega jedynie na pasywnym trwaniu i omijaniu przeszkód po linii najmniejszego oporu, ale również na definiowaniu tego, co tak naprawdę chcielibyśmy osiągnąć. I w tym oczywiście mogą pomagać rozmaite narzędzia.

Gdy byłem w liceum, bardzo popularna była aplikacja PhotoMath, która – po zrobieniu zdjęcia danemu zadaniu – nie tylko pokazywała rozwiązanie, ale także cały proces dojścia do niego.

Przy czym należy pamiętać, że to, co się dzieje w liceum, nie popycha ludzkości do przodu. To baza pod poważniejsze rzeczy, do których dochodzi się później. Moim zdaniem kluczem, by poradzić sobie z problemem, na który zwraca pan uwagę, jest zrozumienie, że aby opanować najbardziej zaawansowane umiejętności, których ChatGPT jeszcze nie pojął, najpierw trzeba opanować najbardziej proste i banalne zagadnienia.

Może uczniowie liczą na to, że do momentu końca ich edukacji już pojmie.

Nie wiem, jak będzie w przyszłości, ale na ten moment możemy powiedzieć, że jest wiele czynności, których sztuczna inteligencja nie potrafi zrobić. To nie jest wszechwiedzący Bóg. Pamiętamy, że opiera się na zbiorze treningowym, a żeby nawet go poszerzać, ludzkość musi przekraczać własne dziedzictwo i nieustannie tworzyć nowe myśli, wytwory itd. To zaś wymaga etapów pośrednich, nawet jeśli wyglądają one banalnie. Mamy prostą matematykę, skomplikowaną matematykę, aż w końcu dochodzimy do twierdzeń, których nikt wcześniej nie udowodnił.

A wiedza ogólna będzie nam jeszcze potrzebna?

Tak. Żeby myśleć, musimy coś już wiedzieć. Jeśli zadamy jakieś pytanie, to znaczy, że mamy wiedzę i chcemy ją poszerzyć. Nawet intuicja jest swego rodzaju wiedzą. Poza tym każdy człowiek ma jakiś cel. Żeby go zdefiniować, musimy mieć jakąś wiedzę o świecie, o jego problemach. ChatGPT nie jest w stanie tego określić. Nigdy więc nie będzie tak, że absolutnie niczego nie będzie się od nas samych wymagać. Zawsze będziemy musieli coś wiedzieć.

Czyli nie boi się pan, że ziszczą się wizje z boomerskich żartów, wedle których uczniowie będą proszeni jedynie o pokolorowanie trójkąjków?

Jeśli się tak stało, to byłaby to absolutna porażka systemu szkolnictwa. Jednak koniec końców oświata polega na tym, że chcemy, aby człowiek się czegoś nauczył. Pytanie brzmi, czego. Być może zapamiętywanie bezużytecznych faktów nie jest dobrą drogą. Sądzę, że

powinniśmy postawić silniejszy nacisk na krytyczne i logiczne myślenie, które w dłuższej perspektywie jest niezbędne. Sucha wiedza konieczna nie jest. Drugim aspektem jest kształtowanie tożsamości i osobowości jednostki. Szkoła uczy, że jesteśmy Polakami, obywatelami demokratycznego świata, przekazuje kody kulturowe. Żadne narzędzie tego nie zastąpi.

Czego jeszcze nie zastąpi?

Poczucia samorealizacji. Żeby jej doświadczyć; żeby poczuć, że odcisnęło się na rzeczywistości jakieś istotne piętno, trzeba wychodzić poza to, co już zostało zrobione. To jest ten rodzaj satysfakcji, którego ChatGPT nie może nam dostarczyć. Zresztą jest ich więcej.

Na przykład?

Relacje międzyludzkie. ChatGPT nie będzie w stanie kochać drugiego człowieka, dbać o niego, zawiązać przyjaźni czy służyć jakiejś wspólnotie. To po prostu narzędzie, którego ktoś używa. Nawet jeśli kiedyś to się zmieni i chat stanie się wszechpotężny, to nie da się kochać kogoś wszechpotężnego. My kochamy i dbamy o siebie nawzajem właśnie dlatego, że jesteśmy ograniczeni.

A można by nauczyć ChatGPT wrażliwości?

Aktualnie chat pracuje tylko na tekście, a ludzie komunikują się w dużej mierze pozawerbalnie – wyglądem, zachowaniem itd. Z technicznego punktu widzenia wyobrażam sobie jednak, że dałoby się sprawić, iż ChatGPT rozpoznawałby, czy człowiek ma jakiś problem. Niemniej jednak pozostaje kwestia dwustronności. Nie ma powodów, dla których my mielibyśmy dbać o ChataGPT. Jest tylko narzędziem.

Może uzależnienie byłoby takim powodem?

Pytanie, co to w praktyce znaczy. Uzależnieni jesteśmy w równym stopniu także od elektryczności czy miejskiej kanalizacji. O tym się nie mówi, a przecież również na nich polegamy, bo są bardzo przydatne. Moglibyśmy oczywiście wrócić do epoki kamienia łupanego, gdzie byłibyśmy praktycznie niezależni, ale co wówczas moglibyśmy z tą niezależnością zrobić?

Dlaczego doprowadziliśmy do tego, że nasze własne wytwory nas zastępują?

Najprostsza odpowiedź brzmiałaby: bo są użyteczne. Przydatnym jest mieć inteligentnego asystenta. To prawda nienowa, bo podobnie było podczas rewolucji przemysłowej, kiedy również maszyny zastępowały człowieka w jakichś czynnościach. Sztuczna inteligencja wyręcza nas w przeglądaniu setek tekstów, bo możemy ją po prostu o jakiś fakt zapytać. Jeśli jednak boimy się, że AI zastąpi nas w pracach bardziej zaawansowanych, to wchodzimy na poziom zagrożenia egzystencjalnego. Człowiek jako gatunek jest przecież bardzo dumny z tego, że jest najinteligentniejszą istotą na Ziemi, a coś, co byłoby i użyteczne, i inteligentniejsze, zepchnęłoby go z piedestału.

Człowiek nie jest użyteczny?

Oczywiście, że jest. Dlatego wciąż istnieje, znajduje zatrudnienie itd. Możemy sobie oczywiście zadać pytanie, kto zyska na automatyzacji, jaką w imię użyteczności rewolucja AI przyniesie. Na pewno zyskają konsumenci, bo możliwości produkcyjne się zwiększą, ale jest też szeroka gama poszkodowanych, czyli tych, których praca albo zostanie ograniczona, albo przestanie istnieć. Jest jeszcze najmniejsza grupa beneficjentów, czyli właściciele kapitału. Clou naszego systemu gospodarczego opiera się na nierówności.

Podobnie będzie chyba z zawodami kreatywnymi, bo przecież ci, którzy będą mieli dostęp do najnowszych, usprawniających narzędzi, znajdą się na znacznie lepszej pozycji niż osoby bez takich możliwości.

Faktycznie w przeszłości było tak, że aby korzystać na automatyzacji, którą przyniosła rewolucja przemysłowa, trzeba było mieć jakiś kapitał. Dziś dostęp do sztucznej inteligencji jest znacznie bardziej zdemokratyzowany. Środowisko

informatyczne wykształciło sobie model rozwoju open source, który polega na tym, że za darmo dzielimy się kodami, które mogą trenować modele AI, jak i samymi modelami. To zakłada, że nie kierujemy się krótkoterminowym interesem finansowym, a pewnego rodzaju dobrem ogółu. Co więcej, bezpłatne modele nie są duże gorsze niż te komercyjne. Każdy więc, kto opanował podstawowe programowanie, jest w stanie z nich korzystać.

O ile opanował. To nie jest powszechna umiejętność.

Zgoda, ale nie uważam, by była poza zasięgiem przeciętnego człowieka. Programowanie wymaga solidnych podstaw z logiki i matematyki, np. prawdopodobieństwa. Na razie nasza edukacja tego nie uczy. Trudno zresztą kogoś, kto się tym nie pasjonuje, zachęcić do takiej aktywności. Potrzeba do tego rygoru. Wiedzone dziedziny mają to do siebie, że otrzymujemy bezpośrednią gratyfikację – czegoś się dowiedzieliśmy i możemy się tym podzielić. Matematyka i informatyka działają w logice bardziej abstrakcyjnej i przez to nagroda w postaci umiejętności przychodzi dużo później. Sztuczna inteligencja to szczyt tego zjawiska, bo stanowi ukoronowanie rozmaitych teoretycznych przełomów z zakresu informatyki.

Te wiedzone dziedziny w ogóle będą potrzebne w dobie sztucznej inteligencji, która wypłuka fakty na zawołanie?

Już o tym mówiliśmy. Im dalej wychodzimy poza to, co już zostało zrobione, czyli potencjalnie znajduje się



ŻEBY POCZUĆ, ŻE ODCISNĘŁO SIĘ NA RZECZYWISTOŚCI JAKIEŚ ISTOTNE PIĘTNO, TRZEBA WYCHODZIĆ POZA TO, CO JUŻ ZOSTAŁO ZROBIONE. TO JEST TEN RODZAJ SATYSFAKCJI, KTÓREGO SZTUCZNA INTELIGENCJA NIE MOŻE NAM DOSTARCZYĆ

w danych treningowych, tym mniej powinniśmy się czuć zagrożeni.

Człowiek w ogóle ma jakąś kontrolę nad tym, co jest w tych danych?

Bezpośrednio nie. Musimy jednak pamiętać, że wytrenowanie takiego modelu jest relatywnie tanie. Jeśli mamy zbiór danych i algorytm, to stworzenie np. GPT-3, czyli dość mądrego pierwowzoru ChatGPT, kosztuje około 5 mln dolarów. Dla biznesu nie jest to astronomiczna suma. Nie jest więc tak, że korporacje mogą w pełni zmonopolizować ten obszar.

Do jakiego momentu może się posunąć technologizacja życia człowieka?

Świętym Graalem sztucznej inteligencji jest tzw. AGI, czyli sztuczna inteligencja ogólna. Szczyt marzeń ludzi od AI to w gruncie rzeczy opracowanie czegoś, co byłoby jedynie trochę gorsze od człowieka albo – w wariacie skrajnym – wynalezienie czegoś, co byłoby znacznie inteligentniejsze od nas. To rzecz jasna odległa przyszłość, bo na razie mamy problem z najbardziej podstawowymi zdolnościami kognitywnymi.

Co to znaczy „odległa przyszłość” w skali rozwoju sztucznej inteligencji?

Są problemy, do których nie do końca wiadomo, jak podejść, więc kilka przełomów musiałyby jeszcze nastąpić. To właśnie za ich pomocą można obserwować proces rozwoju AI. W 2018 roku pojawiła się architektura transformer, która sprawiła, że trening sieci neuronowych stał się kilkaset razy bardziej wydajny. To duży krok. Pytanie, co dalej. Nieodgadnionym działem jest matematyka. W tej dziedzinie, podobnie jak w przypadku ludzkiej myśli, mnogość „trików”, możliwości, których dałoby się użyć, jest niezliczona. Sądzę, że AI wymyśli kiedyś, jak znaleźć do tego klucz, ale trudno powiedzieć, kiedy to nastąpi. /©

Juliusz Straszynski – wykładowca Natural Language Processing na Wydziale Matematyki, Informatyki i Mechaniki UW, pracuje w zespole Gemma Code Assist w Google'u. W 2023 roku obronił na Uniwersytecie Warszawskim doktorat z informatyki w dziedzinie algorytmów tekstowych. Wicemistrz świata i mistrz Europy w zawodach sztucznej inteligencji C1Games Terminal

OLGIERD SROCZYŃSKI

Tak jak nie wyobrażamy sobie życia bez elektryczności, tak niedługo nie będziemy w stanie wykonywać nawet najprostszych czynności bez pomocy narzędzi, które będą myślały za nas.

UMYSŁ WYCIĘKAJĄCY



W „Literaturze i rewolucji” Lwa Trockiego znajdziemy opis społeczeństwa przyszłości, które dzięki postępowi technicznemu – kierowanemu przez racjonalne centralne planowanie dotyczące m.in. rozmnażania – wyhodowana zostanie nowa rasa ludzi, nadludzi, którzy fizycznie i intelektualnie prześcigną gigantów z historii ludzkości. „Przeciętny człowiek będzie na poziomie Arystotelesa, Goethego czy Marksa. A ponad tym poziomem ukażą się nowe szczyty”.

Ten rosyjski rewolucjonista był bystrzejszy niż wielu futurologów i zawodowych przepowiadaczy przyszłości, którzy byli na tyle nieostrożni, aby podawać konkretne daty spełnienia swoich proroctw. Dlatego nie można mu zarzucić tego, że jego przewidywania się nie spełniły. Przeciwnie, wielu autorów podziela również dziś jego optymizm dotyczący przyszłości, bardziej lub mniej określonej, bliższej lub dalszej. Jedno jest wszakże dla nich pewne – postęp techniczny to strumień dobrodziejstw dla ludzkości.

Może się to wydawać dziwne w kontekście różnych wersji apokalipsy, które nadal wypełniają popkulturę

i politykę (potężna i wroga ludziom superinteligencja, atomowa zagłada, katastrofa klimatyczna), ale taka jest struktura każdego wierzenia religijnego. Jeżeli Max Tegmark, wpływowa postać ze świata sztucznej inteligencji, przywołuje dziś Molocha z poematu „Skowyt” Allena Ginsberga jako zagrożenie służącego człowiekowi postępu technicznego, to dlatego, że ma wyobrażenie stanu pożądanego – który nadejdzie, jeżeli tylko owego Molocha pokonać. A jest to zawsze świat bardziej sprawiedliwy, bardziej pokojowy, lepszy od tego, w którym żyjemy obecnie; na tym wszak polega postęp.

To nie brak wiedzy był problemem

Postęp jest wpisany w ludzką kondycję. Bardzo szybko przyzwyczajamy się do status quo i kiedy tylko zaspokoimy dotychczasowe potrzeby, rozpoczynamy pogoń za potrzebami, o których nie wiedzieliśmy, że istnieją. Jest dość oczywiste, że

dopiero kiedy nie cierpimy głodu, możemy rozkoszować się rozrywkami wyższego rzędu – a przynajmniej, że większość z nas tak właśnie ma. Możemy więc taką ekstrapolację prowadzić w nieskończoność. Ale czym są te rozrywki wyższego rzędu?

Skupienie na tym, że zaspokojenie podstawowych potrzeb życiowych jest nie tyle warunkiem koniecznym, ile wystarczającym do zainteresowania sztuką, filozofią, nauką (albo czymkolwiek, co zaliczamy w poczet wyższych duchowych rozrywek), jest wyrazem idealistycznego spojrzenia na postęp. Dla przeciętnego człowieka współczesnego zaspokojenie głodu, posiadanie suchego i bezpiecznego od drapieżników schronienia nie jest punktem wyjścia do rozkoszowania się, dajmy na to, operami Pucciniego, tylko do kupna cekinowej poduszki z twarzą Nicolasa Cage’a albo oglądania ludzi, którzy nagrywają się w trakcie pochłaniania niezdrowych ilości jedzenia.

I nie chodzi tu wcale o przekreślanie tego drugiego typu wyborów w imię znanego od niepamiętnych czasów „elitarnego” wyzłóśliwania się nad rzekomą „głupotą mas”. To zwyczajne stwierdzenie faktu, że



NA KOŃCU TECHNOLOGICZNEJ UTOPII NIE MA HARMONIJNEGO WSPÓŁŻYCIA POMIĘDZY CZŁOWIEKIEM A MASZYNAMI; JEST TYLKO EKONOMICZNA DOMINACJA NAJWIĘKSZYCH FIRM Z BRANŻY IT

Czy rosół wymaga bakłażana

Zgodnie z koncepcją Andy'ego Clarka i Davida Chalmersa, zaprezentowaną w klasycznym już dla filozofii umysłu artykule z 1998 r., trudno jest wyznaczyć granice, w których przebiega ludzkie myślenie. Umysł jest nie tyle „ucieleśniony”, to znaczy potrzebuje ciała do rozumienia i działania, ile „rozszerzony” – to znaczy procesy myślowe odbywają się w oparciu o całe otaczające środowisko, w tym również środowisko techniczne.

Technika jest przecież niczym innym, jak uzewnętrznieniem umysłu na świat: jeżeli przystępujemy do jakiejś czynności, jak zakładanie ogrodu czy gotowanie posiłku, to podobnie jak inni ogrodnicy i kucharze korzystamy w tym z metod i narzędzi, które są tworem innego umysłu. Raz opracowana metoda sadzenia roślin, jeśli ją poznamy, zwalnia nas z obowiązku myślenia o tym, jak to zrobić; przepis na rosół może być przez nas każdorazowo modyfikowany, ale nie musimy się zastanawiać, jaki typ mięsa wybrać do stworzenia wywaru, ani nad tym, czy właściwym będzie dodać do niego na przykład bakłażana.

Metody i narzędzia stają się w ten sposób częścią obrazu świata – tego, w jaki sposób o świecie myślimy i w jaki sposób w nim działamy. Dzisiejsi 20-latkowie mają znacznie większy problem z czytaniem map niż ich rodzice, ponieważ dorastali w środowisku technicznym, którego częścią nie są już papierowe rozkładane mapy samochodowe, ale systemy GPS, które wyręczają nas w myśleniu o tym, jaką drogę wybrać, i liczeniu czasu, który nam to zajmie. Lista czynności w ten sposób zautomatyzowanych w ciągu ostatnich pięciu-dziesięciu lat jest tak długa, że nie jesteśmy w stanie nawet przewidzieć, jak będzie wyglądał obraz świata, który będzie udziałem dzisiejszych pięcio- czy sześciolatków.

Trzeba podkreślić, że problemem nie jest nostalgia za „dobrymi czasami” i narzekanie dla zasady na to, że „młodzi” nie posiadają takiego zestawu umiejętności, jak „starzy”. Trudno raczej znaleźć osoby negatywnie oceniające fakt, że dziś praca księgowego, który wykorzystuje do pracy arkusze kalkulacyjne, nie jest tak żmudna i trudna, jak była wtedy, gdy używano liczydła. Podobnie nikt przy zdrowych zmysłach nie argumentuje, że wartość samą w sobie ma kopanie rowu spadłem przez osiem godzin dziennie, podczas gdy koparka jest w stanie zrobić to w kwadrans. To, że praca, zwłaszcza praca do tej pory uciążliwa, staje się szybsza i łatwiejsza, samo w sobie nie jest problemem ani ekonomicznym, ani moralnym.

Zmuszeni do korzystania ze sztucznej inteligencji

Jednak zgodnie z zasadą, że nieużywany narząd z czasem zanika, proces rozszerzania umysłu – czyli właściwie delegowania jego zadań na zewnątrz – nie odbywa się bezkosztowo. Jeśli nie musimy pamiętać drogi, ponieważ mamy zaufanie, że GPS zawsze nas doprowadzi do celu, to rzecz jasna może to oznaczać, że uwolnione zasoby mózgowe poświęcimy dla wyższych celów. Może, ale nie musi – tak naprawdę jedyną konieczną konsekwencją będzie to, że zatracimy umiejętność pamiętania tej drogi, ponieważ nasz mózg, narząd o wysokim zużyciu energii, przestawi się na sposób znacznie łatwiejszy i w mniejszym stopniu zużywający jego zasoby.

Tak samo należy rozpatrywać każdą umiejętność, która obecnie automatyzowana jest w toku tzw. generatywnej rewolucji. Chociaż entuzjazm wobec biznesowego znaczenia narzędzi typu GenAI nieco wygasł w ciągu ostatniego półrocza, to nie da się zaprzeczyć, że modele językowe zmieniły wiele i mają szansę zmie-

nić jeszcze więcej w kwestii wykonywania niektórych zadań. Zmiany na rynku pracy, jakie to za sobą pociągnie, nie są jeszcze do końca i w szczególności jasne, ale podstawowy problem z tymi narzędziami nie polega po prostu na przewidywanym wzroście bezrobocia.

Zachwył nad GPT-4o, nową wersją wielkiego modelu językowego wyprodukowanego przez OpenAI, nie jest bezpodstawny. Model potrafi obsługiwać znacznie bardziej złożone zadania niż jego poprzednicy, między innymi w kwestii programowania czy projektowania. Oznacza to, że inżynierowie, programiści, analitycy i przedstawiciele innych zawodów poruszających się w ramach kompetencji, jakie posiada model, nie tyle zostaną zastąpieni przez sztuczną inteligencję, ile zmuszeni do korzystania z niej.

Popularny slogan – „sztuczna inteligencja cię nie zastąpi, ale zrobi to człowiek, który umie się nią posługiwać” – jest prawdą o tyle, że jedynym beneficjentem takiej delegacji kompetencji są ci, którzy sztuczną inteligencją faktycznie się posługują: właściciele firm będących jej dostawcami. Na końcu technologicznej utopii nie ma harmonijnego współżycia pomiędzy człowiekiem a maszynami, jak próbują przedstawiać to różne „instytucje edukacyjne” będące de facto outletami sprzedającymi rozwiązania Big Tech; jest tylko ekonomiczna dominacja największych firm z branży IT.

Jeśli powstrzymamy Molocha...

W taki sposób możemy scharakteryzować przywołanego wcześniej Molocha. „Moloch o umyśle czystej maszyny! Moloch którego krew to krążący pieniądz!” – wołał Allen Ginsberg. Moloch w Biblii kojarzony był z ofiarami z dzieci. Było to ucieleśnienie ostatecznej degeneracji plemion, które o jego kult były oskarżane (zgodnie z prawdą lub nie), ponieważ poświęcanie własnego potomstwa, a więc przyszłości, w zamian za teraźniejszą pomyślność stanowiło okropność trudną do pomyślenia.

Molocha przywoływał jako personifikację „sił rynkowych” Karol Marks w „Kapitale”, w takim też znaczeniu występuje on w scenie halucynacji w filmie „Metropolis” Fritza Langa – jako maszyna pożerająca robotników. I to również ma na myśli Max Tegmark: Molocha jako uosobienie ducha konkurencji, która każe firmom rozwijać wynalazki, w tym przypadku sztuczną inteligencję, bez patrzenia na długoterminowe konsekwencje. Molocha trzeba powstrzymać, uregulować konkurencję między firmami, a wówczas jest szansa na to, że dotrzemy do momentu harmonijnego współżycia ludzi i maszyn.

I może rzeczywiście tak się stanie; nie mamy narzędzi, aby powiedzieć, że nie. Jednak kluczowe pytanie, które w tym miejscu należy zadać, dotyczy tego, jacy będą to ludzie. Rozszerzony umysł działa bowiem w dwie strony, co zauważył jeszcze przed Chalmersiem i Clarkiem kanadyjski teoretyk komunikacji Marshall McLuhan: „tworzymy narzędzia, ale potem one kształtują nas”. Rozszerzony umysł zmienia nasze postrzeganie świata, ale również dlatego, że zaczyna zacierać się różnica pomiędzy naszym postrzeganiem a jego obrazem nałożonym przez kogoś innego; pomiędzy robotnikiem i maszyną, programistą i komputerem, między naszym wyborem a rekomendacją sztucznej inteligencji.

Jesteśmy zatem bardziej inteligentni, bo korzystamy z zewnętrznej inteligencji, jakiej dostarczają nam maszyny. Czyni to więc narzędzia z nas, użytkowników niemal bezwzględnie ulegających temu, co podawane jest przez maszyny. To, czy sięgamy po telefon w celu odnalezienia jakiejś informacji, nie jest już do końca kwestią naszego wyboru, ale wbudowanym mechanizmem, podobnie jak szukanie włącznika światła przy wejściu do ciemnego pomieszczenia. I tak samo jak nie wyobrażamy sobie życia bez elektryczności, tak niedługo nie będziemy w stanie wykonywać nawet najprostszych czynności bez pomocy narzędzi, które będą myślały za nas.

Osoba korzystająca ze sztucznej inteligencji w celu pisania kodu czy przeprowadzania analiz nie jest równorzędnym jej partnerem, tak samo jak osoba oglądająca rekomendacje wideo nie jest równorzędnym partnerem YouTube'a czy TikToka. Przeciwny człowiek może rzeczywiście „wznieść się na poziom Arystotelesa, Goethego czy Marksa”, ale tylko przez wykorzystanie strumienia informacji generowanego przez kogoś innego. A skoro tak, to bardzo szybko stanie się zbędny. /©©



L. JUPKO/SKOKOVSKI/ADIBESTOCK

dawne optymistyczne wizje przyszłości dziwnym trafem nie zawierają cekinowych poduszek z twarzą znanego aktora czy „mukbang videos”, ale zakładają właśnie powszechny postęp fizyczny, intelektualny i kulturowy, jak przytoczona transhumanistyczna wizja Lwa Trockiego. Bo gdyby go nie zakładały, to czy ludzie w przeszłości mieliby z czym wiązać nadzieję na przyszłość?

Truizmem stało się stwierdzenie, że obecnie mamy do czynienia z bezprecedensową sytuacją, w której prawie z każdego miejsca na Ziemi, nie tylko z naszego domu, mamy właściwie nieograniczony dostęp do całej wiedzy zgromadzonej przez ludzkość od zarania. Ale, jakby powiedział do Arystoteles, to jedynie możliwość – akt leży gdzie indziej. Wystarczy rzut oka na statystyki internetowego ruchu, na których przed najpopularniejszą encyklopedią internetową znaleźć można nie tylko YouTube czy Facebook, ale również serwisy porno (Pornhub z prawie 13 mld odsłon, a Wikipedia z niespełna 9 mld według statystyk z końca 2023 r.), aby ocenić, że nie brak dostępu do wiedzy był przeszkodą w powszechnym intelektualnym postępie.

Stynny zamek w Słobnicy w Puszczy Noteckiej (na zdjęciu w 2022 r.). Budowa trwa mimo kontrowersji, spraw sądowych, raportu NIK czy oskarżeń pod adresem urzędników, którzy na nią pozwolili

CZYJA JEST POLSKA

ANDRZEJ SZAHAJ

Może oficjalnie ogłośmy, że Polski nie ma, i oddajmy resztki naszej wspaniałej przyrody we władanie tych, którzy dadzą za nią więcej? Niech dalej zabudowują najcenniejsze krajobrazowo fragmenty kraju, przy okazji mając w nosie względy bezpieczeństwa zbiorowego – co tak wyraźnie widzimy w czasie powodzi – i prawo do życia w przyjaznym otoczeniu.

Jednym z ubocznych skutków powodzi stało się zainteresowanie opinii publicznej tym, dlaczego jej skutki okazały się aż tak tragiczne. Wiele diagnoz wskazuje na jedno: wbrew już istniejącym regulacjom prawnym, doświadczeniu (powódzie z 1997 czy 2010 roku) oraz zdrowemu rozsądkowi tereny zalewowe wciąż są zabudowywane.

Dlaczego tak się dzieje? Moim zdaniem odpowiedź na to pytanie wymusza refleksję bardziej ogólną, albowiem sprawa ta jest fragmentem większej całości. W tekście zmierzam być do pokazania, że nasz problem z zabudową kraju to skutek dominującej u nas ideologii, która głosi wyższość interesu prywatnego nad dobrem wspólnym.

Państwo. Był szkodliwy?

Na pytanie, czyja jest Polska, odpowiedź w zasadzie powinna być prosta. Polska jest Polaków, a dokładniej, aby uniknąć jakichkolwiek oskarżeń o etnocentryzm etniczny, obywateli polskich (wszak nie każdy obywatel musi być z konieczności etnicznym Polakiem, i bardzo dobrze, że tak właśnie jest).

Ale przecież pytanie nie zostało tak postawione, gdyby ta oczywista odpowiedź była przekonująca. Bo nie jest. Pytam bowiem, kto faktycznie posiada Polskę. Nie w sensie prawnym, lecz socjologicznym.

Rozróżnienie to w nauce jest znane od bardzo dawna. Własność prawna to własność zapisana w prawie, ta w sensie socjologicznym jest zaś własnością faktyczną

pojmowaną jako rzeczywista możliwość dysponowania jakimś dobrem. Pytam zatem o tę ostatnią. Ale co jest rzeczywistym przedmiotem tytułowego pytania? Od razu zawężmy możliwe odpowiedzi i powiedzmy, że chodzi o przyrodę, rozumianą szeroko także jako przestrzeń do życia (krajobraz), a zatem także przestrzeń możliwą do zamieszkania (zurbanizowania). Tak rozumiana przyroda jest dobrem wspólnym Polaków, choć jako część większej całości, przyrody Europy czy nawet świata – nie tylko.

Zostańmy jednak przy nas. Od razu odpowiadam na tytułowe pytanie: faktycznymi właścicielami Polski są biznesmeni, w tym przede wszystkim deweloperzy. Nie sami. Posiadają oni Polskę na spółkę z samorządowcami. Dopiero zrozumienie tej faktycznej fuzji pozwoli

nam pojąć to, co się dzieje w kraju od dziesięcioleci: systematyczne niszczenie przyrody przez zabudowę jej najcenniejszych przyrodniczo i krajobrazowo fragmentów, w tym i takich, które powinny zostać wolne od zabudowy ze względów powodziowych; wprowadzanie chaosu urbanistycznego do miast; zawłaszczanie ich przez biznes oferujący mieszkania na krótkoterminowy wynajem (część miast ma już dziś tylko starówki-wydmuszki; tak jest np. w Krakowie czy Gdańsku, miastach, które zgubnie idą śladem Barcelony czy Dubrownika); bezczelna prywatyzacja tego, co wspólne.

A wszystko to w imię zysku. Chciwości. Bezwzględności. Egoizmu.

Gdzie tu miejsce na samorządowców? Sprawa jest prosta: gdyby nie zgoda części z nich na dewastację przyrody, nieograniczoną zabudowę i niszczenie środowiska miast, skala zniszczeń byłaby znacznie mniejsza.

Tu od razu uwaga. Nie do końca podzielał zachwyt nad polską reformą samorządową. Nie sądzę, jak wielu komentatorów, że co jak co, ale ten fragment naszej transformacji się w pełni udał, choćby dlatego, że część samorządów uznała, że posiada de facto ziemię, którą władza, i nikomu nic do tego. W ten sposób powstał system niejako udzielnych księstw, dążących do tego, aby zneutralizować wpływ państwa na lokalną politykę w wielu jej wymiarach, w tym w wymiarze urbanistycznym. Faktyczne marginalizowanie roli państwa, a zatem także prawa państwowego, jest skądinąd zgodne z dominującym przekonaniem patronującym naszej transformacji, wedle którego uważa się je za byt zbędny, szkodliwy, a czasami w gruncie rzeczy fikcyjny. Polski sarmacki popliberalizm, który ideowo zdeterminował nasz krajobraz intelektualny, zawsze był w tym sensie bliższy tzw. libertarianizmowi niż liberalizmowi głównego nurtu. I nic się w gruncie rzeczy tutaj nie zmienia od dziesięcioleci.

Stąd też formalnie to państwo ma pieczę nad przestrzenią przyrodniczą i urbanistyczną, ale faktycznie niewiele albo wręcz nic nie robi, aby ją chronić (w tym sensie istnieje pewne ponadpartyjne porozumienie – cała klasa polityczna jest winna, bez względu na barwy partyjne). Tym bardziej nie czynią tego niektóre samorządy (na szczęście nie wszystkie, nie można generalizować), które kierują się logiką zysku (kapitalizmu), a nie troską o dobro wspólne. Mają w nosie ochronę przyrody czy względy ochrony przed żywiołami, liczy się interes prywatny i to, co z jego realizacji dana gmina będzie miała.

Powtórka z hiszpańskiej tragedii

Tekst ten piszę nie tylko pod wpływem ujawnionych nieprawidłowości w zabudowie terenów zalewowych, lecz także pod wpływem licznych ostatnio relacji prasowych ze zdewastowanych przez bierność władz samorządowych zakątków Polski: Półwyspu Helskiego, wybrzeża Bałtyku, Beskidów, Kaszub, Mazur. Co ciekawe, część tych alarmistycznych tekstów pochodzi z mediów, które od lat kibicowały polskiemu turbokapitalizmowi, i od redaktorów, którzy jakkolwiek chęć jego uregulowania traktowali od razu jako zamach na wolność gospodarowania (casus redaktora Wojciecha Maziarzkiego z „Gazety Wyborczej”, żarliwego obrońcy nieuregulowanego kapitalizmu narzekającego ostatnio na dewastację przyrody w Beskidach przez nieograniczoną zabudowę). Jakby nie rozumieli, że popadają w swoistą schizofrenię: protestują przeciwko dewastacji przyrody przez biznes, a jednocześnie wychwalają pod niebiosa turbokapitalizm. A to przecież ten ostatni jest odpowiedzialny za ową dewastację zarówno w skali polskiej, jak i światowej.

Nie przypadkiem w nauce wielką karierę zrobił termin „kapitałocen” autorstwa amerykańskiego socjologa Jasona W. Moore’a. Uważany jest obecnie za znacznie bardziej adekwatny niż szeroko rozpowszechniony termin „antropocen”. Antropocen to bowiem określenie, które sugeruje, że to człowiek jako taki opanował przyrodę, poddał ją swemu władaniu, przekształcił tak, że wszędzie jest ona już de facto tworem ludzkim, a nie bytem niezależnym od człowieka. Tymczasem to wcale nie jakiś abstrakcyjny człowiek w ogóle, nie ludzie jako tacy, ale w ogromnej mierze ludzie działający w obrębie systemu kapitalistycznego dokonali tej sztuki. Ostatecznie zatem dzisiejsza przyroda jest manifestacją siły kapitalizmu – twórczej i destrukcyjnej zarazem.

Dobrze widać to w Polsce, gdzie kapitalizm pokazuje swą niezwykłą energię i siłę w przekształcaniu na-

szego środowiska, niestety, często w sposób, który je degraduje na wieki albo naraża na klęski żywiołowe. W tym sensie idziemy drogą wytyczoną już dawno przez kraje, w których nieokiełznany kapitalizm przyczynił się do dewastacji ich całych połaci (i kompletnie niczego się nie uczymy z ich doświadczenia). W Europie są to przede wszystkim Hiszpania i Portugalia. Tragedia tych krajów polega na tym, że radośnie zniszczyły one najcenniejsze fragmenty swego śródziemnomorskiego wybrzeża. Takie miejscowości jak Benidorm w Hiszpanii, największe skupisko wieżowców po Manhattanie i Szanghaju, czy portugalska Albufeira albo Portimao – przerażające kurorty na wybrzeżu Algarve, wyrosły na przedmieściach małych wiosek rybackich, pokazując, do czego prowadzi nieokiełznana zabudowa wybrzeża.

Przykładów takich miejsc w obu krajach jest znacznie więcej. Ciekawy jest przypadek Wysp Kanaryjskich, które zostały podobnie zniszczone, choć w różnej skali. Koszmar takich kurortów jak Maspalomas na Gran Canaria, Corralejo na Lanzarote czy Los Cristianos na Teneryfie pokazuje aż zbyt dobitnie, do czego prowadzi dominacja biznesowego podejścia do cudów natury, jakimi niewątpliwie są wspomniane wyspy. Na szczęście dwie z nich – Lanzarote i Fuerteventura – zostały częściowo ocalone przez malarza urodzonego na Lanzarote – Césara Manrique Cabrera (1919–1992). To dzięki jego działaniom w pewnym momencie przyszło otrzymanie i rząd hiszpański wprowadził pewne ograniczenia w sposobie zabudowy Wysp Kanaryjskich.

Czy znajdzie się jakiś polski César Manrique? Sęk w tym, że nawet gdyby tak było, to nie miałby szans na sukces. Wielu spośród biznesmenów oraz władarzy najpiękniejszych rejonów Polski nie ma zamiaru słuchać żadnych artystów, obrońców przyrody czy miłośników krajobrazu (największego naszego bogactwa narodowego). Pożądanie zysków odsuwa na bok wszelkie wątpliwości.

Pieniądże demolują nasz kraj, tak jak wcześniej zdemolowały Hiszpanię i Portugalię. Jeśli jest się bowiem bogatym i ma się dobrych prawników na swoich usługach, można zbudować wszystko wszędzie, także na terenach zalewowych. Można z premedytacją nie trzymać się ustaleń budowlanych, licząc na to, że każdą samowolkę da się ostatecznie zalegalizować.

Przykładem inwestycji prowadzonych mimo oczywistych kontrowersji są słynny zamek w Stobnicy w Puszczy Noteckiej czy hotel w Pobierowie, zbudowany za przyzwoleniem lokalnych władz i na wieki psujący ten fragment wybrzeża. Nie pomagają żadne formy ochrony przyrody czy krajobrazu. Żadne Natury 2000 czy parki krajobrazowe. Skutecznie chronione są jedynie parki narodowe i rezerваты. Zobaczmy jak długo.

Krajobraz rozpaczy

Szczególnie smutno wygląda sytuacja wspomnianych parków krajobrazowych, których jest w Polsce sporo i które z powodu wadliwego prawa są w istocie instytucjonalną wydmuszką. Sam mieszkam na terenie takiego parku od dziesięcioleci, zajmując ponadstuletnie siedlisko (piszę to, aby uniknąć oskarżeń, że oto sam zbudowałem, co chcę, a teraz bronię budować innym), i wiem, że jego dyrektorzy oraz pracownicy chcieliby chronić krajobraz. Dodajmy, że było to możliwe do 1998 roku, kiedy to zmieniono dotyczące ich przepisy, na początku całkiem dobre; to skądinąd ciekawa obserwacja, zaczęliśmy w początkach lat 90. całkiem mądrze, a kończyliśmy niezadługo całkiem głupio.

Zdanie tych osób jest jednak zawsze jedynie opinią, które władze miejscowe mogą zignorować i często to czynią. Stąd też parki są stopniowo zabudowywane, a przyroda w nich niszczone. Słabość państwa, a przede wszystkim prawa pełnego niejasności i wyjątków, powoduje, że żaden inwestor nim się nie przejmuje, bo wie, iż państwo albo nie będzie stało na jego straży, albo samo sobie odebrało możliwość skutecznej interwencji przez złe konstruowane przepisy i regulacje (używając aktualnej metafory powodziowej: przez szczelinę w przepisach często wlewa się fala niszcząca ich sens i skuteczność).

Czy ktoś słyszał o likwidacji jakiegś samowolki budowlanej nad morzem, na Mazurach czy w górach? A są ich tysiące! Większość z nich postawiono z przekonaniem, że w Polsce można wszystko, ponieważ państwo

de facto nie istnieje. To jest ten wprowadzany w życie libertarianizm polski, znacznie skuteczniejszy w działaniu niż amerykański. A przecież to Stany Zjednoczone są kolebką owej ideologii, która sprowadza się do idei uznania państwa za największe zło, a nieograniczonej wolności jednostki we wszystkich dziedzinach życia za największe dobro.

Anarchistyczny rys wspomnianej ideologii jest aż nadto widoczny i ewidentnie koresponduje z naszą fatalną tradycją pogardy dla państwa oraz wielbienia samowoli, bo wszak nie wolności jednostki, a także boskiej wręcz czci dla własności prywatnej (w tym sensie sukces polityczny Konfederacji nie powinien być zaskoczeniem). Amerykanie potrafią jednak dbać o swoje dobro wspólne. Różne parki narodowe (u nas żaden nie powstał od dziesięcioleci!) i inaczej chronione obszary przyrody – każdy stan ma ich co najmniej kilka – są świadectwem tego, że nawet w ojczyźnie turbokapitalizmu przyroda potrafi być chroniona skutecznie.

Podobnie potrafią w USA wyznaczać pewien ład architektoniczny, co łatwo zauważyć na przedmieściach amerykańskich miast, które często prezentują przemyślany porządek przestrzenny i ład estetyczny. Czego zupełnie nie da się powiedzieć o Polsce. Każdy buduje tutaj, tak jak chce i gdzie chce.

Chaos to wrażenie, jakie się odnosi, odwiedzając przedmieścia polskich miast. Dziwaczny jest z kolei porządek tzw. łanowych osiedli, wybudowanych w szczerym polu zespołów domów o identycznych kształtach i parametrach, nasuwających skojarzenia raczej z obozami pracy albo koszarami, a nie osiedlami mieszkaniowymi (identyczność owa nie ma nic wspólnego z subtelnym ładem urbanistycznym, który jest wypadkową podobieństwa i dopuszczalnej odmienności). W tym wszystkim przypominamy raczej państwa tzw. Trzeciego Świata, jakkolwiek dyskusyjne byłoby dziś to określenie. Z pewnością nie jesteśmy w tym względzie państwem europejskim, w większości z nich obowiązują bowiem bardzo skuteczne metody ochrony przyrody i przestrzega się wyznaczników ładu architektonicznego oraz przestrzennego (wzorem jak zwykle są tutaj państwa skandyńskie).

Smutny to wniosek. Tym bardziej że trudno mieć nadzieję, aby coś się w tym względzie mogło zmienić. Nie ma bowiem dnia, abym nie czytał o proteście jakiejś grupy obywateli oburzonych planami inwestycyjnymi deweloperów czy „kurnikowych” biznesmenów, wobec których to planów władze lokalne nie mają zastrzeżeń. A wszystko to w imię fałszywie pojmowanej ideologii przedsiębiorczości i niechęci do stawiania dobra wspólnego nad interesem jednostki.

Obawiam się też, że obywatele stoją na przegranej pozycji w licznych konfliktach lokalnych, jakie z pewnością będą miały miejsce w związku z koniecznością szybkiego uchwalenia lokalnych planów zabudowy (konieczność tę, jak wiadomo, wymusiła na nas Unia Europejska), z którymi wiąże się nadzieję na położenie kresu jednej z największych patologii ostatnich 30 lat: wydawanym woluntarystycznie „warunkom zabudowy”. Jak zwykle wygra interes partykularny, często motywowany chęcią zysku i niczym innym.

Dobro wspólne czy prywatny folwark

W kontekście powyższych uwag ponownie pojawia się tytułowe pytanie: czyja jest Polska? I po co nam taka Polska, która nie jest naszą (obywateli) i w której źle się żyje z powodu zniszczonej przyrody, zdewastowanego krajobrazu, z powodu hałasu i smrodu? Może po prostu oficjalnie ogłosimy, że jej nie ma, i oddajmy resztki naszej wspaniałej przyrody we władanie tych, którzy dadzą więcej. Niech dalej zabudowują najcenniejsze krajobrazowo fragmenty kraju, przy okazji mając w nosie względy bezpieczeństwa zbiorowego i prawo do życia w przyjaznym (przyrodniczo i kulturowo) otoczeniu.

Przynajmniej przestalibyśmy żyć w fikcyjnym przekonaniu, że Polska jest dobrem wspólnym, a jej obywatele mają prawo chronić ją przed chciwością i pazernością nielicznych, którzy zamieniają ją w prywatny folwark. A także brakiem rozważliwej i lekkomyślnością wielu samorządów, które źle wywiązują się z obowiązku troski o dobro wspólne.

/©©

ESTERA FLIEGER

Premier Donald Tusk nie jest wrogiem kultury i nauki, ale w jego świecie muszą znać swoje miejsce.

PROSTY MAGISTER HISTORII

Panowie, policzmy głosy”, „Przykra sprawa, nie lekceważ jej”, „Jestem prostym magistrem”. Donald Tusk ma niewątpliwy talent do bon motów, które wchodzą następnie do codziennej polszczyzny. Kiedy w internetowej wyszukiwarce wpisujemy wypowiedziane w 2010 r. słowa: „Jestem prostym magistrem”, podpowie nam ona, jak skonstruować życiorys. Donald Tusk, urodzony w 1957 r.; doświadczenie zawodowe: premier, były przewodniczący Rady Europejskiej; wykształcenie: absolwent historii na Uniwersytecie Gdańskim.

Zresztą o tym, że jest historykiem, Donald Tusk przypomniał całkiem niedawno, mówiąc po spotkaniu z udziałem środowisk prawniczych o skali rozliczeń po ośmiu latach rządów Zjednoczonej Prawicy. Przed wyborami parlamentarnymi popularne było jego zdjęcie z książką o upadku Cesarstwa Rzymskiego. Nic więc dziwnego, że historycy poszukiwali w nim partnera, jednak ich oczekiwania okazały się być zgoła odmienne. Premier nie jest wrogiem kultury i nauki, ale w jego świecie muszą znać swoje miejsce. To prosty magister historii, ale przede wszystkim polityk.

Teoria...

Historycy, którzy wyczekiwali zmiany władzy, dobre kilka miesięcy przed wyborami przygotowali trzy programowe teksty. 15 grudnia 2023 r. opublikowali Deklarację Łódzką (od Centrum Jerzego Giedroycia Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie narodziła się idea), pochylając się nad pytaniem o rolę humanistyki we współczesnej Polsce. Swoją podpisał złożyło pod nią około 200 uczonych.

Autorzy Deklaracji, przechodząc do właściwej części tekstu, parafrazują fragment utworu „Chłopców z Placu Broni” (trafno się oprócz wrażeniu, że przydają mu tym samym nut demonstracji KOD): pod śródtytułem „Wolność kocham i szanuję” domagają się wolnych badań oraz innego rozumienia patriotyzmu – ma to być formuła obywatelska, a nie etniczna. W kolejnych akapitach zaznaczają, że środowisko naukowe, muzealne i edukacyjne musi współtworzyć „standardy, które będą obowiązywały w nowym podejściu państwa do badań nad polskim dziedzictwem historycznym i kulturowym”. Wyrażają nadzieję na zmianę programu nauczania historii (z ważkim i ciekawym pomysłem nauczania o przeszłości regionu ucznia) oraz równowagę w debacie o polskich dziejach, czyli uwzględnienie tak chwalebnych, jak i ciemnych rozdziałów.

Kultura i nauka – postulują – mają być wolne od biurokracji, a ewaluacja badań oparta na nowych zasadach. Nie chcą, aby o grantach dla humanistów decydowało Narodowe Centrum Nauki, mają więc pomysł na powołanie Narodowego Centrum Humanistyki (NCH), co wywołało zresztą środowiskową dyskusję i nie spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem. Krytycy zwrócili uwagę na niebezpieczeństwo wyjęcia historii poza nawias innych nauk i obniżenie tym samym jej rangi, jak i towarzyszącą narodzinom deklaracji koncentrację na historii współczesnej. Dokument kończy się apelem o likwidację instytucji – choć niewymienionych, łatwo domyślić się, o które chodzi – oraz przesunięcie zaoszczędzonych w ten sposób pieniędzy do NCH.

Z kolei 29 stycznia 2024 r. oświadczenie wydał Komitet Nauk Historycznych Polskiej Akademii Nauk. Tym razem uwaga historyków koncentruje się na instytucjach, które zawłaszczyła (jak Instytut Pamięci Narodowej) lub powołała do życia prawica (m.in. Instytut Pileckiego, Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Dmowskiego i Paderewskiego): „Powstał równoległy system badań i edukacji historycznej”, a uznaniowy sposób jego finansowania budzi niepokój. Historycy PAN podkreślają, że „Zależność między badaniami historycznymi a polityką jest zawsze szkodliwa dla nauki. (...) Właściwym środowiskiem dla badań naukowych są instytucje posiadające autonomię naukową – uczelnie, instytuty PAN, towarzystwa naukowe, a nie takie, w których mianowani przez polityków kierownicy wydają polecenia historykom, narzucając tematy badawcze lub oczekując uzasadnienia z góry przyjętych tez. (...) Środków na badania naukowe (...) nie należy mieszać ze środkami na inne zadania”.

3 marca prof. Barbara Engelking, prof. Andrzej Friszke, prof. Dariusz Libionka, prof. Paweł Machcewicz, dr Krzysztof Persak, prof. Dariusz Stola i prof. Rafał Wnuk opublikowali w „Gazecie Wyborczej” tekst pt. „IPN: ignorancja, propaganda, nuda. Naukowcy proponują radykalną reformę”. Chcą nie tyle likwidacji Instytutu Pamięci Narodowej, ile głębokich zmian w jego strukturze. Powtarzają, że instytuty Pileckiego oraz Dmowskiego i Paderewskiego muszą zostać zlikwidowane, a jeśli chodzi o zagraniczne oddziały pierwszego z nich, te powinny zostać przekształcone w centra historyczne PAN (podobne do tego, które już działa w Berlinie). Sugerują powołanie nowego instytutu dziejów najnowszych w ramach PAN, gdzie zatrudnienie mieliby znaleźć „rzetelni historycy pracujący dotąd w IPN”, bo – jak dodają – „są tam nadal tacy”.

3 marca prof. Barbara Engelking, prof. Andrzej Friszke, prof. Dariusz Libionka, prof. Paweł Machcewicz, dr Krzysztof Persak, prof. Dariusz Stola i prof. Rafał Wnuk opublikowali w „Gazecie Wyborczej” tekst pt. „IPN: ignorancja, propaganda, nuda. Naukowcy proponują radykalną reformę”. Chcą nie tyle likwidacji Instytutu Pamięci Narodowej, ile głębokich zmian w jego strukturze. Powtarzają, że instytuty Pileckiego oraz Dmowskiego i Paderewskiego muszą zostać zlikwidowane, a jeśli chodzi o zagraniczne oddziały pierwszego z nich, te powinny zostać przekształcone w centra historyczne PAN (podobne do tego, które już działa w Berlinie). Sugerują powołanie nowego instytutu dziejów najnowszych w ramach PAN, gdzie zatrudnienie mieliby znaleźć „rzetelni historycy pracujący dotąd w IPN”, bo – jak dodają – „są tam nadal tacy”.

...i praktyka

Wszystkie trzy przywołane teksty mają refren: pisowskie instytucje zostaną zlikwidowane, a zaoszczędzone w ten sposób pieniądze pójdą na badania i edukację, a także do nowych placówek, o których rząd porozmawia z traktowanymi po partnersku historykami przy okrągłym stole. Nauka historyczna – z prymatem nad polityką historyczną – będzie odciążona i dobrze finansowana, a system transparentny i pluralistyczny. Stworzona zostanie przestrzeń dla aktorów społecznych: samorządów, organizacji pozarządowych. „Mamy nadzieję, że nowe władze Rzeczypospolitej odegrają rolę mecenasa kultury w ścisłym tego słowa znaczeniu, któremu z gruntu obca jest postawa dyktatu. Jesteśmy świadomi, że państwo polskie czeka ogrom wydatków na obronność, służbę zdrowia lub opiekę społeczną. Wiemy jednak, że inwestycje w humanistykę, nauki społeczne i nauki o kulturze – choć nie gwarantują dającej się wyrazić w procentach stopy zwrotu – są inwestycją również strategiczną”, przekonują historycy podpisani pod Deklaracją Łódzką. Przy czym jesteśmy w stanie opisać to liczbami. Otóż każda złotówka wydana na naukę – dane zebrała rok temu Konferencja Rektorów Uczelni Ekonomicznych – przynosi od 8 do 13 zł wkładu do PKB.

Po polsku mówimy „O święta naiwności”, a po angielsku „Oh, my sweet summer child”. Zostawmy to, że historycy są niekonsekwentni (krytyka inflacji instytucji nijak ma się do postulatu powołania nowych, w których zadania z różnych porządków dalej będą się mieszać). Kultura i nauka to bowiem pierwsze obszary, w których szuka się cięć. Na dodatek wciąż nie są w pełni wolne.

Czy opublikowany w „Rzeczpospolitej” przez Krzysztofa Dudka 15 marca 2024 r. apel pt. „Warto podnieść

kulturę do najistotniejszych składników polskiej racji stanu” zostanie wreszcie wysłuchany? Gorzką odpowiedzią na to pytanie przynosi polityczna decyzja o odwołaniu ze stanowiska dyrektora Muzeum Historii Polski Roberta Kostry. Stało się to na dwa lata przed otwarciem wystawy stałej MHP, która jest w tej chwili montowana w budynku na warszawskiej Cytadeli. To zaawansowany projekt, którego stabilność została właśnie zagrożona. Skąd ta decyzja? Rozliczenia, nowe otwarcie czy wygaszenie inwestycji?

Przeciwko odwołaniu Kostry byli tacy historycy, jak wspomniani profesorowie Friszke i Stola. To nie tylko autorzy omówionych postulatów środowiska, ale przecież intelektualiści, którym bliska jest Platforma Obywatelska i Donald Tusk. Jak się okazuje, to za mało, by premier uznał ich zdanie.

Donald Tusk zaczął uprawiać politykę historyczną

Historycy reprezentujący środowiska liberalne i lewicowe (na pewno nie prawicowe) raczej dystansują się od pojęcia „polityki historycznej” i wolą mówić o „polityce pamięci” czy „historii publicznej” (która zresztą jest czymś zupełnie innym). Ale to, co proponują, w istocie nią jest. „To, co zwiemy różną pod inną nazwą równie by pachniało”. Ich oczekiwania były wysokie, jednak potrzeby są inne: Donald Tusk poszukuje centrum. W tym celu wszedł na bezpieczny teren, obiecując 100 mln zł dla Muzeum Powstania Warszawskiego: jego mit należy dziś do wszystkich, to pamięć, która przelata drogą z radykalnej ulicy do domów wyborców umiarkowanych.

Uprawiania polityki historycznej domaga się od rządu nie środowisko historyczne, którego zdania – jak zaraz się okaże – premier nie bierze pod uwagę, a publicyści. Jeszcze trzy lata temu Daniel Passent w tygodniku „Polityka” utożsamiał ją z propagandą, podczas gdy w niedawnym sierpniowym numerze Rafał Kalukin punktował bierność liberalistów w tym obszarze i wyjaśniał, dlaczego musi to się zmienić: nie ma już powrotu do „polityki ciepłej wody w kranie”. Dziennikarz odnotowuje liczne dyskusje historyków oraz ich słabnący entuzjazm – nie są dla Donalda Tuska partnerem. „Premier Tusk poparł bowiem na powołaniu doradców od polityki historycznej, których głównym zadaniem jest zapewne pisanie mu okolicznościowych przemówień, a formalnie polityką pamięci zajmuje się Ministerstwo Kultury, którego polityczna ranga po odejściu Sienkiewicza osłabła”, pisze Kalukin. Z jego tekstu wynika coś jeszcze – jeśli już, ma być tanio (oszczędności szuka się nawet w sztandarowym dla liberalnej agendy miejscu, a więc w sprawie artystycznej polskiej prezydencji w UE).

Jest coś jeszcze. Z prawej flanki premiera obchodzi Władysław Kosiniak-Kamysz, który jest żywo zainteresowany prowadzeniem polityki historycznej, upatrując w tym szansę na poszerzenie elektoratu. Kiedy minionym latem ze zdwojoną siłą wrócił konflikt o wystawę stałą w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, inaczej niż w 2008 r. Donald Tusk nie stanął po stronie atakowanych przez prawicę historyków. Wraz z zaangażowaniem w sprawę Kosiniaka-Kamysza Tusk ustąpił i zamknął front: nowa dyrekcja muzeum musiała zgodzić się na niechciane poprawki w ekspozycji. Ciekawostką jest to, że jeśli już historycy zabierali głos w tej sprawie, to wyrażali oburzenie na Kosiniaka-Kamysza, podczas gdy spolegliwość Tuska pozostaje zmilczana.



Jak na polityka, który jeszcze niedawno odżegnywał się od polityki historycznej, premier Donald Tusk ostatnio bardzo często, gdy mówi o walce z PiS-em, sięga po analogie historyczne

Premier wyczuwa rosnące aspiracje Polaków, dlatego nie rezygnuje w sposób jednoznaczny ze starań o reparacje, choć środowisko historyczne, które woli miękki dialog z Niemcami, mogłoby podpowiadać coś zupełnie innego. W swoim wystąpieniu 15 sierpnia nie bał się już zaś narodowej dumy. Po raz pierwszy – mitygowany również przez Władysława Kosiniaka-Kamysza – musiał zająć stanowisko wobec Wołynia, który dzięki wysiłkom ministra Radosława Sikorskiego stawiane jest na agendzie polsko-ukraińskiej dużo ostrzej niż w okresie rządów Zjednoczonej Prawicy.

Byłe nie PiS

Akademia nie stanowi monolitu i jest podzielona nie mniej niż inne środowiska, np. sędziowskie czy szerzej prawnicze. Ale nie bez powodu przyjmuje się, że to naturalny elektorat Donalda Tuska. Z jednej strony może więc dziwić, że premier nie prze-

cina sporu, który trwa wokół kształtu reformy PAN już od kilku miesięcy, nawet jeśli oczekuje się od niego poważnego traktowania problemów takich jak niezależność i finansowanie polskiej nauki. Z drugiej strony nic w tym zaskakującego, że pozwala wykrawać się ministrom Dariuszowi Wieczorkowi i Maciejowi Gduli, których propozycje są niepopularne i szeroko krytykowane. Rubla zarobi i cnotę zachowa. Osłabi Lewicę, a środowisko – choć rozgorzyczone – przecież i tak na niego zagłosuje. PAN tonie w ciszy, nauka zajmuje marginalne, jeśli w ogóle, miejsce w debacie publicznej, więc zagrożenie w postaci atrakcyjnej kontroferty nie występuje.

Poza tym przez ostatnie osiem lat historycy (niektórzy z nich bezdyskusyjnie doświadczeni przez ministra Piotra Glińskiego) łatwo dali się przekonać, że mają do czynienia z totalnym złem. Stałym punktem odniesienia jest walka o praworządność i demokrację. Do tej ostatniej wartości sprowadza się dziś każde publiczne wystąpienie: polska historia jest zdeterminowana, a więc nieco tylko przerysowując, o jej stan w 2024 roku walczyli już wszyscy – chłopci w szlacheckiej Polsce, jak i polscy żołnierze na światowych frontach. Dlaczego więc

Donald Tusk ma się liczyć ze zdaniem historyka, który publikuje w mediach społecznościowych grafikę z ośmioma gwiazdkami, jeśli może go po prostu postraszyc PiS-em? Dlatego właśnie historycy nie protestują dziś wobec tego, że premier ustąpił w sprawie Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Podczas gdy za rządów Zjednoczonej Prawicy zmiany w wystawie oznaczały koniec wolnej nauki i kultury, dziś są – jak wytłumaczył mi jeden z badaczy – wyrazem tego, że premier „kieruje się racjami politycznego układu sił”. Był Kaczor dyktator nie wrócił do władzy. Historycy, którzy są jednocześnie przeciwni polityce historycznej i politycznie zaangażowani, sami na siebie ukręcili w ten sposób bicz.

Kluczowe pozostaje pytanie: czy historycy postulują pluralizm aby na pewno są na niego otwarci? Dominuje głos pokolenia, które nie schodzi z barykad „wojny na górze” i nie chce zrobić miejsca młodszemu, mocno tym zmęczonym i potrzebującym zmiany, często z innym pomysłem na polską naukę i chłodnym stosunkiem do polityki, zajętem zamiast tego badaniami i podejmującym wysiłek przetrwania na nisko opłacanych stanowiskach.

PIOTR ZAREMBA

Czy cięcie równo z trawą wszystkich głów, które nie są do końca „nasze”, to żelazna zasada resortu kultury? I kto ją wymyślił?

KULTURA W KRAJU ZIMNEJ WOJNY DOMOWEJ

Polska polityka została całkowicie zdominowana przez temat powodzi. Premier Donald Tusk zamieszkał na Dolnym Śląsku, poświęcając się prowadzeniu kolejnych zebrań sztabu kryzysowego. Nie tylko Jackowi Zakowskiemu (choć to głos szczególnie zaskakujący) rozliczanie funkcjonariuszy państwa na oczach całej Polski skojarzyło się z obyczajami państwa autorytarnego, np. Rosji Władimira Putina.

Polityka czasu kataklizmu nie przestała być ostra, bezwzględna, oparta na oskarżeniach. Z pewnością można mówić o lawinie błędów państwa, a więc rządzących. Samo pytanie o spóźnienie premiera w komunikowaniu zagrożenia jest wciąż powtarzane – przez polityków opozycji i opozycyjne media. I można przynajmniej niektóre z tych błędów zrozumieć. Państwo nie trwa przecież w nieustającej gotowości na klęski żywiołowe tych rozmiarów. Zarazem krytyka pojawić się musiała. Możliwe, że przesadna, gdyż w Polsce od dawna nie mówi się o niczym inaczej niż wielkimi literami.

Czyja dymisja

Zarazem normalne spory uległy odroczeniu. Możliwe, że inaczej zajmowałibyśmy się np. zmianami personalnymi w instytucjach kultury. Już same plotki o zamiarze odwołania Roberta Kostry z funkcji dyrektora Muzeum Historii Polski wywołały pewne emocje, choć głównie w gronie ludzi zajmujących się polityką historyczną i muzealnictwem. Posypały się protestacyjne listy podpisywane wcale nie tylko przez ludzi związanych z opozycją. Okazały się daremne.

To ciekawe, ale tuż przed powodzią pojawiła się w środowiskach artystycznych plotka o ewentualnym odwołaniu minister kultury i dziedzictwa narodowego Hanny Wróblewskiej. Mówiono o tym skądinąd w kontekście szerszych pogłosek: o możliwej rekonstrukcji rządu Tuska – na jesieni. Żalanie Dolnego Śląska co najmniej odracza tę perspektywę.

Skądinąd ten zamiar oznaczałby zmianę obyczajów Tuska. W latach 2007–2014, kiedy premierował z ramienia koalicji PO–PSL, unikał zmian personalnych w swojej ekipie tak długo, jak tylko się dało. Czyżby teraz uważał personalne karuzele za dodatkową receptę na zajęcie publiczności, podobnie jak „rozliczanie PiS”?

Wróblewska, z wykształcenia historyczka sztuki, nie jest zawodową polityczką. Za rządów PiS kierowała Zachętą, potem była wicedyrektorką Muzeum Getta Warszawskiego. Możliwe, że nie-



Czy plotki o odejściu minister kultury **Hanny Wróblewskiej** były wypuszczane z Kancelarii Premiera celowo, aby okazała się bardziej skłonna do pozbywania się ludzi mianowanych przez poprzednią ekipę?

przedłużenie z nią umowy przez ministra Piotra Glińskiego w Zachęcie było dla niej motywacją, aby związać się z nową koalicją. Choć zawsze kojarzono ją z poglądami lewicowo-liberalnymi, była jedną z założycielek przez moment głosnej organizacji Obywatele Kultury. Funkcję ministra dostała po odejściu do europarlamentu Bartłomieja Sienkiewicza. Przeszła do gabinetu ministerialnego z funkcji dyrektorki Departamentu Narodowych Instytucji Kultury. Z urzędniaka na polityka – to rzadki model kariery.

Dlaczego miałyby zostać zdymisjonowana? W niedawnym artykule w „Rzeczpospolitej” pod znamienym tytułem „Pogrom ludzi kultury” producent filmowy Maciej Strzembosz opisywał ją jako postać pozbawioną zaplecza politycznego, więc mającą słabą pozycję w rządzie, choć także jako osobę „bez charakteru”. Jej osamotnienie ułatwiło Tusкови odebranie temu resortowi prawie 1 mld zł w ostatnim budżecie. Czy jednak z per-

spektywy lidera Koalicji Obywatelskiej to wada? On sam i jego środowisko zawsze lubili oszczędzać na kulturze, ile tylko się dało.

Odzyskujemy instytucje

Ze strony partyjnych działaczy padały czasem zarzuty, że Wróblewska za wolno czyści kadry, że jest za bardzo zakładnikiem środowisk zawodowych, którymi jej resort się zajmuje. Istotnie pierwszą czystką polityczną przeprowadził Sienkiewicz. „Cztery instytucje zostaną odzyskane dla Polek i Polaków. Wierzę w to, że można te instytucje utrzymać, naprawić i uczynić je czymś o wiele więcej niż partyjnym źródłem sfinansowania swoich” – tak opisywał dokonane przez siebie dymisje. Zrównał w ten sposób prof. Jana Żaryna,

politycznego szefa Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej, z powszechnie chwalaną i kompletnie apolityczną Dorotą Janiszewską, dyrektorką Instytutu Polonika zajmującego się dziedzictwem polskim za granicą.

Janiszewskiej próbowali bronić nawet niektórzy ludzie partii Tuska, choćby była minister Małgorzata Omilanowska. Daremnie: potrzebna była posada dla przyjaciółki PSL-owskiej wiceminister kultury Bożeny Żelazowskiej. Pozostali odwołani to Magdalena Gawin, prezeska Instytucji Pileckiego, i Radosław Śmigulski, dyrektor Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. W każdym z tych przypadków mieliśmy do czynienia z przerwaniem kadencji. Uderzające było insynuacyjne oskarżenie całej czwórki o bliżej niesprecyzowane „partyjne finansowanie swoich”. Kogo finansowała choćby taka Janiszewska? Nigdy tego nie wyjaśniono. Ale oskarżenia były potrzebne, żeby usprawiedliwić nieliczenie się z kadencjami.

Fala tych dymisji była szersza. Jedną z pierwszych decyzji była wymiana dyrektora Muzeum II Wojny Światowej, co stanowiło odwet za wydarzenie kiedyś tej placówki z rąk ludzi Tuska przez Piotra Glińskiego. Tu akurat nie skończyło się na samych zmianach personalnych. Nowy szef Janusz Marszałec wywołał głośny skandal, zmieniając ekspozycję. Prawica oskarżyła go o zdjęcie z niej rodziny Ulmów, rotmistrza Pileckiego i ojca Maksymiliana Kolbego. Akurat w tej sprawie sam Tusk zasugerował jakiś kompromis, nie wspierając swoich nominatów.

Wróblewska jakby spowolniła proces zmian kadrowych, choć gromko zapewniała, że potrafi być równie stanowczą jak Sienkiewicz. Ten popis jałowego twardego dzielstwa dobrze skądinąd ilustruje hierarchię wartości w tej koalicji. Choć czasem odwoływała lub zmuszała do odejścia: a to dyrektora Muzeum Narodowego w Gdańsku Jacka Friedricha, a to dyrektora Muzeum Morskiego Roberta Domżała. W stosunku do tego drugiego znów pojawiły się rytualne zarzuty „naruszenia dyscypliny budżetowej”. W gąszczu biurokratycznych przepisów i obyczajów taki zarzut można tak naprawdę postawić szefowi każdej publicznej instytucji.

Spotkałem się z twierdzeniem, że plotki o odejściu Wróblewskiej były wypuszczane z Kancelarii Premiera celowo – aby okazała się bardziej skłonna do pozbywania się ludzi mianowanych przez poprzednią ekipę. Jeśli tak, to się udało. Pani minister w środę odwoływała dyrektora Muzeum Historii Polski Roberta Kostrę. Trzy lata przed końcem kadencji.

Kto broni dyrektora

Podstawą odwołania ma być nieporządek w finansach. Kostro przez kilka ostatnich lat nie wykorzystywał całej dotacji ministerialnej, co opisano jako marnowanie środków. On sam tłumaczy, że bywało to koniecznością. Inwestycja była kończona, doszło też do nieporozumień z wykonawcą budowy, czyli Budimexem. Gdyby wydawał pieniądze na siłę, mógłby być z kolei oskarżony o działanie na szkodę własnej instytucji.

Można było podejrzewać, że akurat Kostro przetrwa. Był bowiem, a przynajmniej powinien być, chodzącym wyrzutem sumienia dla ludzi Platformy. Mianowany dyrektorem za pierwszych rządów PiS w roku 2006, przetrwał osiem lat rządów Tuska. Nie usuwano go, ale samo przedsięwzięcie blokowano. Podobno premier nie rozumiał, po co dwa muzea. Skoro postawił na upamiętnienie II wojny światowej w Gdańsku, nie widział powodu, aby opowiadać całą historię Polski w Warszawie.

Zarazem Kostro, absolwent historii i wzorowy urzędnik z czasów AWS, podjął udane zabiegi o stworzenie ruchu społecznego, który lobbował za MHP. W skład Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Historii Polski wchodziły tacy ludzie kojarzeni z liberalnym mainstreamem, jak prof. Henryk Samsonowicz czy prof. Andrzej Friszke. Jednym z jego przewodniczących był antyprawicowy do białości dziennikarz Kazimierz Wóycicki. Ci ludzie związali się z ideą tego muzeum. Wspierali je nawet niektórzy politycy PO: Grzegorz Schetyna czy Rafał Grupański. Prace nad zbudowaniem MHP na Cytadeli zaczęły się na serio podczas kolejnych rządów PiS. Ale pierwsze ruchy wykonała minister kultury w rządzie Ewy Kopacz Omilanowska. Kiedy świętowano formalne odda-

nie do użytku budynku, przed wyborami w roku 2023, dyplomatyczny Kostro dziękował wszystkim, także ludziom związanym z KO.

Poprzednie dymisje zarządzane przez resort kultury nie wywoływały mocnych reakcji. Uważano, że odchodzą ludzie prawicy – nie zawsze była to prawda (jak w przypadku Janiszewskiej chociażby), ale nie podważano prawa rządu do powierzania polityki kulturalnej ludziom bliskim sobie. Zresztą Gliński także dokonywał rozlicznych zmian. Na ogół szanował nienaruszalność kadencji, choćby w stosunku do Wróblewskiej w Zachęcie, ale w kilku przypadkach ją łamał. Usuwanie kierownictwa Muzeum II Wojny Światowej odbywało się w aurze skandalu. Pawłowi Machcewiczowi, blisko związanemu z Tuskiem, też stawiano zarzuty finansowe, oskarżano o opóźnienie budowy i błędy w planowaniu inwestycji.

Teraz dymisja Kostry, szanowanego ponad podziałami, spotkała się z protestami. Najpierw był list obecnego kierownictwa Towarzystwa Przyjaciół MPH, w skład którego wchodziły ludzie bliżsi stronie konserwatywnej. Z kolei poparcie dla niego zadeklarowały tak różne postaci, jak Tomasz Nałęcz, historyk i dawny doradca prezydenta Komorowskiego; były prezes TVP Jan Dworak; Andrzej Romanowski, radykalnie antyprawicowy historyk i publicysta. Lista podpisanych ludzi nauki to dziesiątki nazwisk. Choćby prof. Joanna Choińska-Mika, przewodnicząca mianowanej już przez nową władzę Rady Muzeum. Ten list połączył konserwatystę Piotra Semkę z emerytowaną dziennikarką „Wyborczej” Ewą Milewicz.

Zaprotęstował ICOM, najpoważniejsza organizacja muzealników. Z kolei grupa ludzi o głośnych nazwiskach, na ogół bliższych obecnej koalicji, napisała list do Tuska. Są wśród nich m.in. Kazimierz Wóycicki, Eugeniusz Smolar, Maciej Strzembos, Andrzej Grajewski, także naczelny „Rzeczpospolitej” Bogusław Chrabota. Zapowiedź tej dymisji opisano w proteście jako „uderzenie w dobro polskiej kultury, w mądre i wyważone promowanie polskiej historii”, a również jako rzecz „po ludzku niesprawiedliwą”.

Można się zastanawiać, po co Wróblewskiej ta awantura. Możliwe, że nakaz przyszedł z góry, od samego Tuska, który chce permanentnego wymiatania poprzedniego „układu”. Kostro, choć poświęcił jej znaczną część życia, swojej misji nie dokończył, stała ekspozycja ma być otwarta dopiero wiosną 2026 r. Ale decydująco podobno takie okoliczności jak podejrzanie polityków KO, że wśród ponad 200 pracowników MPH jest za dużo ludzi o konserwatywnych poglądach. Nie ma miejsca na choćby takie współistnienie jak prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego z podejrzewanymi o konserwatywne poglądy szefami Muzeum Powstania Warszawskiego.

W tym czasie pani minister odwołała też prof. Wojciecha Falkowskiego z funkcji dyrektora Zamku Królewskiego – małostkowo, bo na dwa miesiące przed końcem kadencji. Kostro zachował apolityczność. Falkowski to przez chwilę wiceminister obrony przy boku Antoniego Macierewicza, choć także zasłużony historyk. Niepokoi uzasadnienie: profesor miał zakupić zbyt wiele dzieł sztuki, podobno powyżej rynkowej wartości. Teraz więc odwołany pyta, czy te nabytki to jakaś zbrodnia.

Nakładają się na to inne zjawiska, choćby likwidacja w resorcie kultury Departamentu Restytucji Dóbr Kultury. Niby jego zadania i ludzie mają przetrwać w innej komórce organizacyjnej, ale znając niechęć KO do wydatków na kulturę i widząc, że dziedzictwo narodowe

zostało kompletnie pominięte w 100 konkretach partii Tuska i w umowie koalicyjnej, można się niepokoić.

Nie ma sensu w kraju zimnej wojny domowej radzić tej czy innej koalicji w sprawie personalistów. A ja pytam: po co w ogóle ta zmiana?

Przypadek Teatru Narodowego

Spytam o to także w przypadku obrachunków dotyczących teatrów. Świat reżyserów i aktorów przywitał nową koalicję na ogół entuzjastycznie, choć to władza pisowska chętniej łożyła na kulturę. I oto po ponad pół roku nowych rządów prawie cały zespół Teatru Narodowego w Warszawie pisze list do pani minister. Dotyczy on konkursu, jaki ma przesądzić o nowej dyrekcji. Obecnie dyktuje 73-letni Krzysztof Torończyk. Dyrektorem artystycznym jest wybitny aktor i reżyser 81-letni Jan Englert. Zmiana ma nastąpić dopiero za rok. Narodowy to jeden z kilku teatrów podlegających nie władzy samorządowej, a ministerstwu. Za rządów PiS rezygnowano z konkursu, pozwalając Torończykowi i Englertowi urzędować bez czasowych ograniczeń. To samo dotyczyło Opery Narodowej, którą kieruje od lat Waldemar Dąbrowski, niegdyś minister kultury z ramienia SLD. Tam także ma dojść do konkursu i ewentualnej zmiany.

„Z dużym niepokojem przyjmujemy doniesienia medialne o dalszym zamiarze przeprowadzenia konkursu na nowego dyrektora naczelnego Teatru Narodowego. Zamiar ten jest dla nas nadal zupełnie niezrozumiały i w naszym odczuciu doprowadzi do destabilizacji naszego teatru” – czytamy w liście. I dalej: „Nasz teatr nigdy nie stał się »trybuną polityczną«, ale jest miejscem otwartym na wszystkich twórców, niezależnie od reprezentowanych przez nich poglądów”.

Tu nie mamy do czynienia ze starciem politycznym. Trudno Torończyka i Englerta postrzegać jako pieszczołochów PiS. To typowi liberalni inteligenści. A jednak pisząc, że nie byli „trybuną”, aktorzy i pracownicy Narodowego dotykają sedna. Englert zawsze wypowiadał się przeciw teatrowi „interwencyjnemu”, w stylu warszawskiego Powszechnego. Nawet jeśli przez ponad 20 lat jego urzędowania inscenizacje odzwierciedlały częściej liberalny niż konserwatywny punkt widzenia, to były robione z klasą. Na ogół oddzielano sztukę od polityki.

Czy celem konkursowych decyzji miałyby być zmiany tego standardu? Kiedy władze Warszawy mianowały dyrektorką Teatru Dramatycznego Monikę Strzępkę, Antoni Libera mówił o stawce na permanentną antykonserwatywną, polityczną awanturę. Strzępka dyrektorkę w końcu straciła, ale z powodu konfliktu personalnego ze znaczną częścią zespołu. Niedawno resort kultury rozstrzygnął konkurs na kierownictwo Starego Teatru w Krakowie. Nowa dyrektorka Dorota Ignatjew i zwłaszcza dyrektor artystyczny Jakub Skrzywanek to ludzie wojującej lewicy, preferujący teatr zaangażowany, publicystyczny.

Wśród krążących nazwisk ewentualnych następców Englerta są różne postaci. Ale widzę tam sporo chętnych do tego, aby narodową scenę zaprzęć do kolejnej progresywnej krucjaty. Wśród propozycji ekipy Ignatjew-Skrzywanek mamy, jak niegdyś w ofercie Strzępki, dużą obecność tematów ideologicznych, od ekologii po agendę LGBT. Czy z Narodowym ma być podobnie?

Oczywiście, obawy zespołu Narodowego dotyczą różnych kwestii. Englert to człowiek o wielkim autorytecie, wychowawca większości tam zatrudnionych. Ale też to teatr z dużym zespołem. Pojawiły się obawy, że nowa dyrektorka miałaby zapewnić oszczędności, także redukcję etatów. Tą drogą posuwała się Strzępka. A przecież wiadomo, że obóz Tuska uwielbia artystów, ale nie lubi im płacić.

Czy jest teatr

Przy okazji dyskusji o Narodowym pojawiły się głosy ujawniające nowe tendencje. Na łamach liberalno-lewicowego „Dwutygodnika” reżyser Tomasz Cyz przekonuje nas, że za Englerta narodowa scena wcale nie była taka świetna, że kolejne premiery nie elektryzowały publiczności. Mam na ten temat inne zdanie. Jego uzasadnienie wymaga oddzielnego tekstu.

W tym artykule znalazł się jednak ciekawy fragment: „W myśl tego (przypomnę: demokratycznego) systemu Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego sprawuje nadzór organizacyjny nad podległymi sobie instytucjami. W tym – Teatrem Narodowym. I to Ministerstwu Kultury – nie pracownikom Teatru Narodowego – przysługuje prawo do podejmowania decyzji w kwestiach zarządczych teatru, choć oczywiście (także w myśl ustawy o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej) pracownicy żywo uczestniczą w tym procesie. Dlatego też to nie członkowie zespołu Teatru Narodowego – jego pracownicy i pracownicy – są (z całym szacunkiem) właścicielami Teatru Narodowego. Jest nim naród, obywatele, mający prawo w wyborach powszechnych głosić w zgodzie z własnym sumieniem”.

Przecież przez osiem ostatnich lat przekonywano nas do czegoś dokładnie przeciwnego. Politycy i urzędnicy, szczególnie ze szczebla centralnego, gdy próbowali jakichkolwiek korekt, choćby personalnych, w teatrach, byli opisywani jako uzurpatorzy. To zespoły artystyczne miały decydować o wszystkim. Czy ten głos to zapowiedź, że ta zasada zostanie odwrócona o 180 stopni? Tomasz Cyz nie jest rzecz jasna politykiem, nie reprezentuje też żadnego urzędu. Jest artystą i skądinąd mężem ostatniej dyrektorki Teatru Telewizji w TVP za czasów PiS. Być może więc reprezentuje tylko siebie. Ale „Dwutygodnik”, publikując jego głos, traktuje go najwyraźniej jako poważny. Czy usłyszemy podobne wypowiedzi władzy?

Oczywiście, kiedy protestują czołowi polscy aktorzy, a takich jest w Narodowym sporo, możliwy jest wciąż kompromis. Choć na razie minister na list nie odpowiedział, a rządowy PAP nawet go nie zamieścił. Ja reprezentuję pogląd być może niepopularny. Uważam, że Jan Englert jako wielki artysta ma prawo zdecydowania, kiedy zechce odejść – na swoich warunkach. Narodowy działa tak, jak działać powinien. I podkreślę to mocno, jest wciąż gwarancją przynajmniej estetycznego, a czasem ideowego pluralizmu.

Z kolei Robert Kostro zasługiwał na poważne potraktowanie. Nie tak dawno rozżalony na prawicę Paweł Machcewicz nazwał go „współtwórcą pisowskiej polityki historycznej”. Ale nieprawicowi sygnatariusze listu do premiera piszą o „mądrym i wyważonym promowaniu polskiej historii”. Czy cięcie równo z trawą wszystkich głów, które nie są do końca „nasze”, to żelazna zasada resortu kultury? I kto ją wymyślił? Bo chyba nie minister Wróblewska. /©©

Powiadają, że pierwszym łodzianinem był Janusz, krnąbrny chłop, który uciekł z dóbr biskupich w Łęczycy. Mając za cały dobytek węzełek, łódkę i nędzną koszulę na grzbiecie, popłynął Starą Strugą w nieznaną. Dobił do brzegu w miejscu, gdzie dziś przez Stare Miasto płynie ujęta murowaną cembrowiną rzeczka Łódka. Tu założył pierwszą osadę, która z czasem wyrosła na wielkie miasto. Może to był pierwszy w historii łodzermensch? Na pewno pierwszy łódzki sołtys miał na imię Janusz – tak stoi w dokumentach spisanych w XIV wieku. Dwóch mężczyzn o tym samym imieniu? A może jeden? Legenda i historia splatają się tak ściśle, że nie sposób ich rozdzielić.

Maj 1896 roku

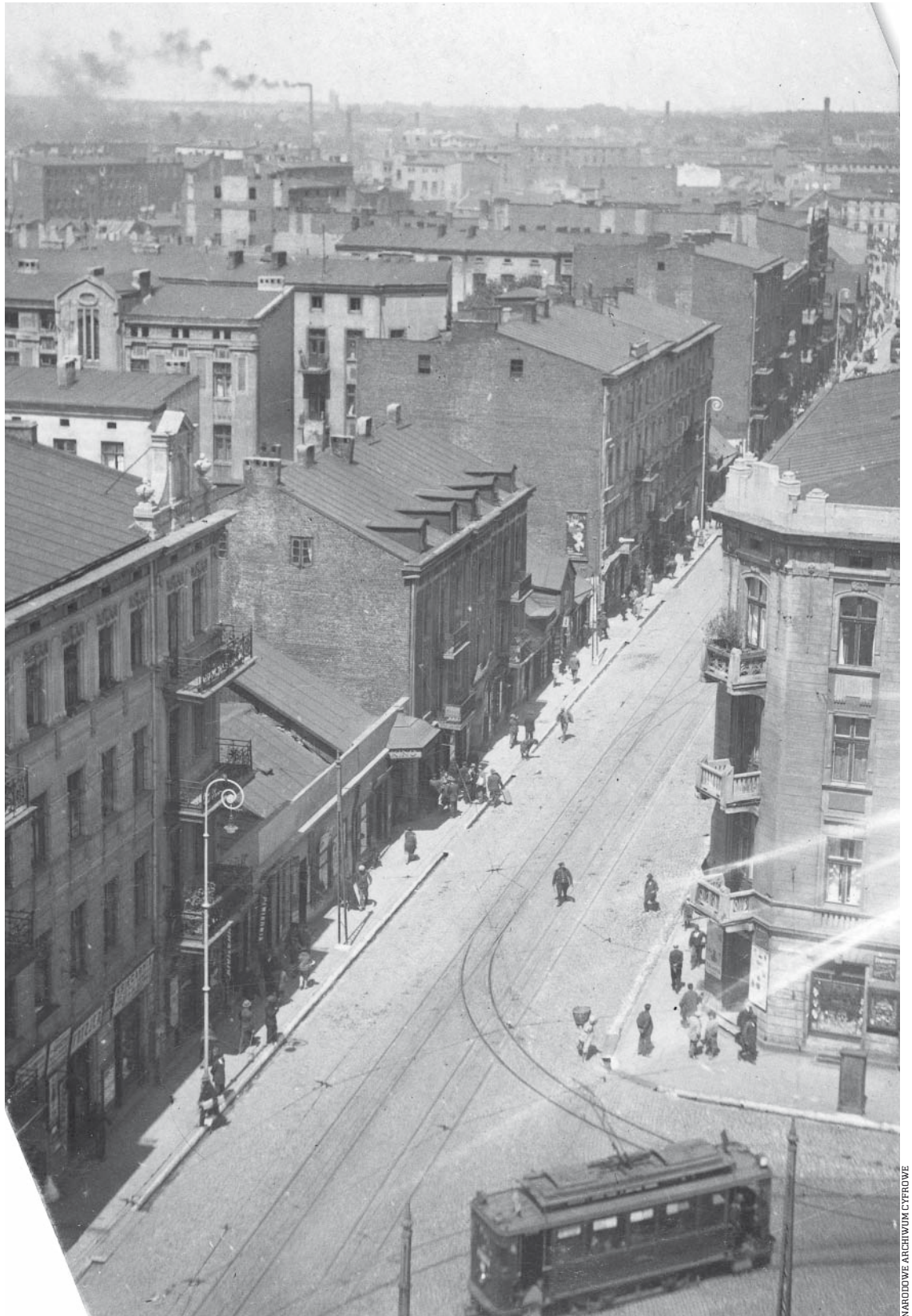
To wszystko buduje i bajki, jakie opowiada się dzieciom, by szybciej zasnęły. R. nie jest nim zainteresowany. Z zawziętością ogara tropi wprawdzie historie, ale tylko te, które bliskie są współczesności. Wędruje ulicami i zaułkami, przesiaduje w kawiarniach. Jego uszy chciwie łowią fragmenty rozmów. Oczy rejestrują mijane budynki niczym aparat migawkowy Bronisława Wilkoszewskiego. Z tych rozproszonych, drobnych kawałków buduje ziemię obiecaną.

„Chcę śpiewać dla Pana, bo zatryumfował, konia i jeźdźca wrzucił w morze”, krzyczy jakiś meszuga, łódzki Mojżesz walący laską w szarą powierzchnię kałuży. Ulica Wschodnia tonie w błocie. Wprawdzie deszcz już nie pada, ale w ciągu ostatnich dni z nieba spadło tyle wody, że leniwa zazwyczaj Łódka pieni się niczym górski potok. R. ostrożnie stawia obute w kalosze stopy. Na próżno. Nie sposób ominąć brudnej brei oblepiającej każdy werszek tego, co przy pewnej dawce fantazji można by nazwać ulicą i trotuarem. Spogląda w dół z grymasem obrzydzenia. „Błoto tutejsze, wiosna tutejsza, ludzie tutejsi – niech to pioruny spala”, mruczy pod nosem, idąc w stronę Rynku Staromiejskiego. R. nie jest jedyną osobą, której nie w smak jest łódzka wiosna. Narzekają chłopcy z okolicznych wsi, bo ulewy niszczą zasiewy. Narzekają fabrykanci z „polskiego Manchesteru”, skarżąc się za zastój w handlu z Cesarstwem. Utyskują stolarze, ponieważ mają zamówienia na kosztowne meble, a drewno cedrowe utknęło gdzieś na boczniczy przed Warszawą. Stary Weinstein psioczy na swego dziesięcioletniego syna Salka, o którym „Iydzień” napisał, że jest genialnym rachmistrzem, chociaż ojciec wolałby, aby bardziej garnął się do pomocy w interesach. Okutane w chusty przekupki na Rynku narzekają na zusammen wszystko i wszystkich: na pogodę, ludzi i miasto.

R. kieruje się ku jednej z kilku bezimiennych bierhal-le, które przycupnęły w pierzejach kwadratowego placu. Mija nigdy nieodnawiane piętrowe domy pełne sklepów. Wszystko wydaje mu się lepkie od brudu, cuchnące starością. Z niesmakiem patrzy na pokraczne budynki obwieszzone szyldami, zastawione szkaradnymi budami i na kłębiący się tłum wydający z siebie słowa i okrzyki, które zlewają się w jeden nic nieznaczący dźwięk. „Przed sklepami, które są pootwierane i pełne ludzi, powystawiano stoły, krzesła, ławki, na których leżą góry galanterii, pończoch, skarpetek, kołder o jaskrawych poszyciach, koronek bawełnianych”. Obok nich wiejskie baby w zapaskach i w wełniakach handlują jajami, masłem i mlekiem. Przez uchylone drzwi zagląda do sieni jednego z domów: spod podwiniętej halki świecą nagie kobiece łydki. Klientki i klienci przymierzają garderobę gdzie bądź – na ulicy, w bramach, za prowizorycznymi zasłonami, które niczego nie zasłaniają.

W północnej pierzei Starego Rynku garbi się pod ciężarem szyldów piętrowa kamieniczka Kalmana Poznńskiego. Tu narodziła się ad litteram wielka kariera, myśli R., patrząc na wystającą z lichego dachu facjatkę i uchylone okna. Na parterze swój warsztat ma szewc. Obok można kupić naftę, dalej masło, a jeszcze dalej – zjeść obiad w bezimiennej restauracji. Od zachodu do Rynku przylegają jatki, na co wskazuje wyczuwalny z odległości dobrych paru sążni mdły zapach surowego mięsa. Wszechobecny zgiełk zdaje się rosnąć, bo od strony Bałut napływają cały czas nowe zastępy kupujących. Gdyby tak móc wzbic się w przestworza i spojrzeć w dół, wówczas Stary Rynek przypominałby rój bzydczących much kłębiących się bezładnie na wołowej łące. To skojarzenie wydaje się R. nader obrzydliwe. Przepycha się przez tłum i skręca w ulicę Drewnowską.

BŁAŻEJ CIARKOWSKI



Widok na dzielnicę Bałuty z wieży kościoła Najświętszej Marii Panny w okresie międzywojennym

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

BAŁUTY PRZEŁOMU WIEKÓW

Jeszcze w końcu XVIII wieku było tu wszystkiego parę chatup, karczmą, targowisko i dwór.

Niemal w jednej chwili trafia do innego świata. Niknie rzawa. Kamienice ustępują miejsca drewnianym domostwom o spadzistych dachach – tym, w których mieszkały rodziny pierwszych łódzkich tkaczy. Zamiast murowanych oficyn w podwórzach usychają stare grusze i wiśnie. I tylko sięgające kostek błoto na ulicy zdaje się takie samo jak w Śródmieściu. Umierające drzewa i zapadające się w wilgotnej ziemi chałupy tchną jakimś dziwnym smutkiem pomieszonym z przecuciem nieuchronnego końca. Oto od strony Starego Rynku wznoszą się kolejne kamienice. Powstają sklepy, warsztaty, synagoga. Za drewnianymi parkanami pną się ku niebu fabryczne kominy. Miasto polip rozrasta się i R. nie dostrzega niczego, co mogłoby ów wzrost zahamować.

Północna granica Łodzi przebiega za placem Kościelnym. Ciągnie się wzdłuż ulicy Chłodnej, a potem lekko skręca w stronę wschodnią, ku Brzezynom. Tak twierdzą jedni. Inni zaś powiadają, że limes Łodzi wznacza rzeka Łódka. Za tą granicą, oznaczoną przydrożnymi krzyżami, rozciąga się przedmieście Bałuty. R. ani myśli zapuszczać się w tamte rejony. Wiele o nich słyszał i jest przekonany, że nie znajdzie tam nic wartego zapisania na kartach wielkiej łódzkiej powieści. Interesują go historie olbrzymich pieniędzy i milionowych interesów. Ani jednego, ani drugiego nie usłyszy na Bałutach.

Miano „przedmieścia” jest dla Bałut nobilitujące, bo wedle prawa są zwykłą wsią. Odmianą, liczącą kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, ale wciąż wsią. Jeszcze w końcu osiemnastego wieku było tu wszystkiego parę chałup, karczma, targowisko i dwór. Dopiero gdy po sąsiedztwo zaczął rozwijać się przemysł włókienniczy, właściciel dóbr, imię Konarski, zaczął szukać sposobu na bardziej efektywne wykorzystanie podległych mu gruntów i rozparcelował je. A może to była żydowska inicjatywa? W 1858 roku do Konarskiego przyszli dwaj kupcy ze Starego Miasta, Bławat i Birencwajg. Wymyślili sobie, że z niczego stworzą miasto – niezależne od Łodzi i z nią konkurujące. Potrzebowali tylko odpowiednich gruntów. Niedrogo kupili od Konarskiego czterysta osiem morgów, na których wyznaczili działki budowlane i rynek. Należało już tylko patrzeć, jak na bałuckiej ziemi wyrośnie miasto! I Bałuty rosły. Powstawały kolejne drewniaki i kamieniczki. Zbijano prowizoryczne budy i kopano ziemianki. Wytyczano błotniste uliczki i ciasne zaułki. Do nich ściągali zewsząd ludzie skuszeni bliskością ziemi obiecanej. Mimo tego Bałuty nie przypominają w niczym prawdziwego miasta, pozostając wsią rozrośniętą do granic możliwości. Tu nic nie jest (i nigdy nie było) pewne. Ani okoliczności powstania osady, ani kwestie własności poszczególnych parceli. Niejasny jest także przebieg granicy oddzielającej Bałuty od Łodzi. Mieszkańcy obu ośrodków toczą od wielu lat spory o „mieście” i w końcu trzeba będzie najać geometrę, który raz na zawsze położy im kres. Ta bałucka niepewność ostatecznie zniechęca R. do dalszych eksploracji. Gdyby zechciał zanurzyć się w błocie półprawd i niedomówień, poznałby tych, którzy stanowią fundament fabrykanckich fortun.

Każdego dnia, na długo zanim rozlegną się świstawki łódzkich fabryk, tysiące dwunożnych istot wylażą z ziemnych nor, wilgotnych szop i suterenu. Podzwaniając blaszanymi kankami z kawą, suną na południe, gdzie czeka praca. Zostawiają za sobą dzieciaki, chorych małżonków, niedołączonych rodziców. Pokonują wiorstę lub dwie (nierazko więcej), by równo z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca stanąć za maszyną. Wrócą po ośmiu godzinach, poszarzałe ze zmęczenia. Te spośród bałuckich kobiet, które nie robią w fabrykach, zatrudniają się jako posługaczki lub pracznice na Starym Mieście. Ich mężowie (o ile żyją) mają się uczciwej pracy lub szukają szczęścia w szemranych interesach. Za to wszyscy bez wyjątku bidują. Niektórych stać na własny kąt, w którym gnieźdzą się niczym w norze. Inni muszą płacić trzy ruble miesięcznie za pomieszknię w ciasnych izdebkach, do których wchodzi się wprost z dworu. Między domami obdarta dziedziarnia bawi się w kałużach, do których spływają nieczystości. Wśród maluchów krążą bezpańskie burki, czekające, aż któraś z gospodyń wyrzuci za próg resztki. Mówi się, że są tacy, którzy łapią psy i zabijają na mięso. Wykorzystują nawet futro z „bałuckich fok”. Może robią to Cyganie, którzy obozują na polach rozciągających się od strony Zgierza? Nikt przy zdrowych zmysłach nie chadza w tamte strony, podobnie jak na Kusy Kąt mię-

dzy ulicami Smutną, Chłodną i Źródłową. To tam od zawsze urzędują najgorsze meły, kwiat bałuckiej bandyterki. Ponoć sam diabeł złodziejski im przewodził. Młodziaki, które chciały do ferajny dołączyć, musiały wpierw ukończyć szkółkę złodziejską u Rudej Zochy z ulicy Pieprzowej. Tak przynajmniej gadano w szynkach i bierhallach na Starym Mieście, ale na Bałutach nie sposób odróżnić prawdy od błagi.

Kwiecień 1907 roku

W biurze policmajstra miasta Łodzi panuje cisza. Słychać jedynie ciężki oddech adwokata przysięgłego Ignacego Zalszupina i dobiegający zza okna turkot dorożek jadących ulicą Długą. Policmajster Hilary Chrzanowski, lat około pięćdziesięciu, wzrostu średniego i przeciętnej tuszy, rozparł się w fotelu. Odchylił głowę i gładząc brodę, którą nosił na wzór rosyjski, spod na wpół przymkniętych powiek spogląda na siedzących po drugiej stronie biura trzech mężczyzn. Zalszupin oraz towarzyszący mu fabrykant Zygmunt Jarociński i architekt Dawid Lande czekają na odpowiedź policmajstra.

Kilka minut temu ze spuszczonej głowami prosili, aby z powodu ostatnich wydarzeń na Starym Mieście oraz Bałutach, a także pogłosek o rychłym pogromie wielmożny pan policmajster raczył przedsięwziąć odpowiednie środki zapobiegawcze. Chrzanowski doskonale orientuje się w sytuacji na północnych przedmieściach Łodzi. Wie, że w ostatnich dniach doszło tam do wielu przykrych incydentów, których

rezultatem było czterdziestu dwóch rannych i pięciu zabitych. Mimo to milczy. Ostatnie miesiące były dla policmajstra miasta Łodzi wyjątkowo trudne. Tłumienie rewolucji i strajków nadwątlilo jego siły. Do tego jeszcze zamach bombowy, z którego cudem uszedł żywy. I nieustanne szykany ze strony władz wojskowych. Nio dziwne, że chce jak najdłużej napawać się swoją władzą nad tymi trzema jewiejami. Wreszcie, nie przestając gładzić brody, przemawia, a każde jego słowo zdaje się posmarowane miodem. Doprawdy, niepotrzebnie się panowie szanowni fatygowali – policja nieustannie czuwa na straży porządku. Pragnie przy tym szanownych panów uspokoić – wszelkie środki zapobiegawcze zostały już przedsięwzięte. Nie warto dawać wiary plotkom hulającym wśród bałuckiej hołoty – o żadnym pogromie nie może być mowy. Chrzanowski uśmiecha się przymilnie,

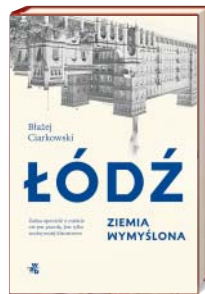
dając przybyłym do zrozumienia, że audyencja właśnie dobiegła końca.

Deputacja obywateli żydów opuszcza kamienicę przy Długiej 29. Myny mają nietęgę. Nie ufają Chrzanowskiemu, który podczas wydarzeń 1905 roku dał się poznać z jak najgorszej strony, ale jednocześnie są skazani na niego i jego zapewnienia. Może nie będzie pogromu? Na pewno nie będzie pogromu!, powtarzają w myślach niczym wezwania Amidy. Wsiadają do dorożek i rozjeżdżają się każdy w swoją stronę. Na odchodnym Dawid Lande spogląda na dwupiętrowy budynek, w którym urzęduje policmajster. To doprawdy niebywałe, by magistrat, zamiast postawić nową siedzibę policji, dzierżawił lokale w prywatnej kamienicy. Prezydent Pienkowski jak zwykle tłumaczy się brakiem funduszy. Czy to nie dziwne, że w policyjnym państwie, gdzie na każdym skrzyżowaniu ulic stoi gorodowaj i gdzie każdy dom ma swojego dwornika spowiadającego się przed rewirowym, policmajster urzęduje kątem w prywatnej kamienicy?

Od dwóch lat łódzkie ulice roją się od policjantów, szpiegów, agentów i wojskowych patroli. Na Bałuty stróżę carskiego prawa zapuszczają się jednak rzadko. Nie było ich, gdy w biały dzień do zakładu fryzjerskiego Szai Bliuta wtargnęło kilku mężczyzn z rewolwerami. Przepędzili klientów, osiemnastoletniego subiekta położyli trupem na miejscu, a samego Szaję ciężko ranili. Następnego dnia na ulicy Młynarskiej zamordowano Ryfkę Goldberg, która podobnie jak Bliut należała do Bundu. Na całych Bałutach giną ludzie – zarówno socjaliści, jak i narodowcy. Partyjne prawo talionu nakazuje pomścić poległych towarzyszy. W ruch idą brauningi i noże. Oko za oko, kula za kulę. Za zniszczone żydowski sklep bundowcy demolują lokal należący do narodowców. Za pobitego narodowca działacz lewicy trafia do piachu lub szpitala. W ciągu jednego tylko tygodnia pogotowie wzywane jest do niemal pięćdziesięciu ofiar strzelanin. Policja i wojsko nie są w stanie zapobiec fali przemocy. Spisują niezliczone raporty, oglądają miejsce zdarzenia, ale jeśli sprawca sam nie wpadnie w ich ręce, to szanse na odnalezienie winnego są znikome.

Znów ktoś kogoś zasztyletował. Ktoś kogoś zastrzelił. Ludzie na Bałutach wiedzą kto. Nierzadko znają zabójcę syna, męża czy kolegi. Wiedzą, gdzie mieszka. Na ulicy kłaniają się jego ojcu i matce. Ale w obliczu policji milczą zawzięcie. To przecież Bałuty – tu z glinami, z hintami, się nie gada i już! A jutro, kto wie, może to należący do narodowców syn sąsiada dostanie wyrok od socjałów? Może to u nich zasłonią lustro w mieszkaniu, a na stole stanie zbity z sosnowych desek trumna? Może to spod ich drzwi odejdzie z kwitkiem węszący rewirowy? Nie, nic nie wiemy, nic nie widzieliśmy. /©©

Fragment książki Błażeja Ciarkowskiego „Łódź. Ziemia wymyślona”, która ukazała się nakładem wydawnictwa WAB



Łódzcy bezdomni przed swoimi prowizorycznymi mieszkaniami, druga połowa lat 30.



MARCIN KUJEWICZ

ROZMOWA Z PAWŁEM KOWALEWSKIM, ARTYSTĄ

Straszne, że sprawdziła się moja przepowiednia z „Symulatora totalitaryzmu” z 2012 r. Wtedy nie obchodziło nas, że rosyjskie czołgi rozjeżdżają Czeczenię i Gruzję. Musimy zrozumieć, że naszym sąsiadem jest psychopata zdolny do wszystkiego.

KULTURĘ PO 1989 POTRAKTOWANO TAK JAK ROBOTNIKÓW

JACEK CIEŚLAK

W książkowym wywiadzie rzece „Sztuka to jest wszystko” przekonuje pan, opierając się na faktach, że polscy politycy raczej gardzą sztuką, a fak zwani zwykli Polacy też niewiele się nią interesują. Może przyjmijmy założenie, że zaczynając od kwestii „Paweł Kowalewski w konfakcie z wielką polityką”, przyciągniemy do rozmowy o sztuce więcej czytelników?

Czytanie o sztuce jest potwornie męczące. Nawet Anda Rottenberg, która całe życie pisała o sztuce, w pewnym momencie zaczęła pisać książki autobiograficzne i wspomnieniowe i stała się artystyczną celebrytką. Sama Anda mi o tym powiedziała, a więc nie ma w tym żadnej złośliwości. I żeby była jasność, nie mam pretensji ani do ludzi, ani do polityków, że nie chcą czytać o sztuce. Mam za to pretensję do nas, czyli artystów, że nie zabiegamy wystarczająco

mocno o naszych odbiorców, nie budzimy w ludziach wystarczająco silnej potrzeby obcowania ze sztuką.

Jak to zrobić?

Mogę podać prosty przykład. W Miami na Florydzie dwadzieścia lat temu wprowadzono przepis, że każdy deweloper musi przekazywać 1 procent swoich dochodów na sztukę. To wydawało się dosyć ryzykownym przedsięwzięciem z punktu widzenia Ameryki, która w ekonomicznym aspekcie bardzo twardo stąpa po ziemi. Ale co się wydarzyło, kiedy przepis wszedł w życie? Wcale nie zaczęto inwestować w najwyższą sztukę. Pozyskane środki były przeznaczane na budowę muszli koncertowych, pięknych placów zabaw dla dzieci. W pewnym momencie ludzie zaczęli rozumieć, jaki sens w ich codziennym życiu ma sztuka, jaki sens ma piękno. A teraz, po latach, to w Miami właśnie odbywają się jedne

z najważniejszych targów sztuki na świecie. A u nas? Od czasu do czasu wszyscy słyszymy płacze, jak to Polska została ograbiona ze sztuki w czasie ostatnich wojen. To oczywiście prawda. Od Niemiec udało nam się jakieś dzieła odzyskać. Od Rosji nigdy nic. Ale właśnie dlatego teraz powinniśmy zabiegać o to, żeby w Polsce tej sztuki znalazło się jak najwięcej.

W odpowiedzi na te lamente zadaję pytanie: dlaczego kupując za granicą światowej klasy dzieło sztuki, nie możemy liczyć na żadną ulgę podatkową? Załóżmy, że chciałbym do kraju wwieźć zakupiony obraz Picassa i na przykład podarować go muzeum. Wspaniały gest, ważne dzieło. Ale ja od niego muszę zapłacić 23 procent podatku! I jak my mamy mieć pozytywne podejście do sztuki, skoro politycy chcą karać tego, kto wwozi sztukę do tego ograbionego ze sztuki kraju.

Właśnie dlatego będę także w Polsce lansował pomysły z 1 procentem od deweloperów, ponieważ bez dodatkowych finansów na sztukę Polska będzie szara i brudna. Dlaczego wciąż musi być tak, że jeśli chcemy zobaczyć coś ładnego, to musimy jechać za granicę? Czy naprawdę pałac imienia Stalina musi być jedyną atrakcją Polski?

Podzieleni Polacy mają pewnie różne opinie o tym, kto jest ważniejszy dla Polski – Donald Tusk czy Antoni Macierewicz, ale zaczynijmy od Macierewicza. Zdecydował się pan przypomnieć w książce swoje spacerzy z dwoma starszymi kolegami z opozycji, Wojciechem Onyszkiewiczem i Wojciechem Falkowskim, podczas których próbował ich przekonać, że rozbijanie przez Macierewicza KOR, zanim jeszcze okrzepnął – to jeden z powodów, by posadzać go o współpracę z SB. Pana rozmówcy uważali, że ma po prostu inne poglądy. Kto ma rację?

Rację ma historia. Antoni Macierewicz był świetnie wykształconym i inteligentnym człowiekiem. Jego decyzje i jego postępowanie z całą pewnością nie wynikały z szaleństwa. To nigdy nie była osoba, że ktoś nie wiedziała, co robi i na jakim świecie żyje. Jego działania wtedy sprawiły mi po prostu ból. Byliśmy na tym spacerze, ponieważ nie mogliśmy rozmawiać w domu, bo wszędzie były podsłuchy. Moi starsi koledzy dla sprawy ryzykowali życie zawodowe, rodzinne, wszystko. Nie mogliśmy się pogodzić z tym, że ktoś raptem zaczyna rozważać coś, co jeszcze dobrze nie powstało. Moje wrażenie było porażające, szczególnie że patrzyłem na to oczami niespełna 20-latka.

Gdyby nie współpraca z Macierewiczem w MON, w randze wiceministra, Wojciech Fijałkowski nie zostałby pewnie dyrektorem Zamku Królewskiego za rządów PiS, ale i nie stracił teraz posady z ręki ministery Hanny Wróblewskiej. Jak pan ocenia fakcie „dile” ludzi sztuki?

Zupełnie ich nie oceniam. Z Wojtkiem nie mam kontaktu od 40 lat. Z tego, co wiem, bezpośrednią przyczyną odwołania go ze stanowiska nie były polityczne sympatie czy antypatie, ale raczej nieprawidłowości finansowe. Dla mnie nie ma tu żadnej politycznej zemsty, ale raczej twarde fakty, którym będą się teraz przyglądać niezawisłe sądy.

Porozmawiajmy o Tusku. To pan wspierał jego kampanię, gdy walczył o prezydenturę pod hasłem „Prezydent Tusk – człowiek z zasadami. Będziemy dumni z Polski”, i wylansował ówczesnego wicemarszałka Sejmu na zwycięzcę pierwszej tury wyborów. Czuł się pan wtedy człowiekiem sukcesu?

Szczerze mówiąc, tak. Zrobiliśmy wtedy kawał dobrej roboty i naprawdę ciężko pracowaliśmy. To był 2005 rok. Donald Tusk był mało znanym wicemarszałkiem Sejmu. Miał rozpoznawalność na poziomie 13 lub 14 procent. Teraz trochę wstyd o tym mówić, ale w tamtych czasach imię Donald bardzo źle w Polsce brzmiało. Wymyśliłszy więc, że nie będziemy go używać w kampanii. Naszym kandydatem był po prostu prezydent Tusk. I tak przeszliśmy do II tury. To był wielki sukces. Ale wiele pracy nas jeszcze czekało. Tym bardziej że sztab Lecha Kaczyńskiego postanowił zaatakować mocno pamiętanym przez wszystkich „dziadkiem z Wermachtu”. Przygotowaliśmy kontrpropozycję – zamiast grzecznego filmiku wyborczego zamierzaliśmy uderzyć w Lecha Kaczyńskiego rozkopane było na przykład skrzyżowanie przy Wołoskiej. Nikt tam nie pracował, bo wszyscy czekali, aż ratusz sprawdzi, czy przetarg został przeprowadzony zgodnie z prawem. Byliśmy więc przygotowani na kolejną turę.

I jak to się zakończyło?

Pamiętam, jak w jednej z kawiarni czekaliśmy na decyzję ze sztabu Tuska. Nudziło nam się, a więc zaczęliśmy przysłuchiwać się innym gościom kawiarni. Za naszym stolikiem usiadły właśnie dwie młode dziewczyny. Jedna zapytała drugą, na kogo będzie głosowała, a tamta odpowiedziała, że na Kaczora. I wtedy ta, która zadała pytanie, uśmiechnęła się zadowolona i odpowiedziała: „To tak jak ja. Ja też na

Donald”. Ta anegdota pokazuje coś, czego politycy nadal nie rozumieją – że świadomość polityczna wśród ich wyborców jest bardzo niska. Dlatego właśnie często później są takie, a nie inne wyniki wyborów. W tamtym zaś czasie sztab Tuska zrezygnował z naszej koncepcji. Podczas gdy Kaczyński walczył ostro, Donald Tusk opowiadał w telewizji jakąś bajkę o żółwiu i zającu. Rozumiałem wtedy, że podjął decyzję, że nie chce brudnej polityki. Tylko że słono za to zapłacił i przegrał wybory. Kiedy jednak po latach został prezydentem Europy, to uznaliśmy że pokłosie także tamtej naszej kampanii.

Pana „Mon Chéri Bolszeviq” w wersji z 2005 r. jest wariacją na temat pana wcześniejszego obrazu. Pierwszy pokazuje ruskiego soldata, a później Pufina. Który obraz kuratorka Anda Rottenberg włączyła do wystawy „Warszawa– Moskwa. Moskwa–Warszawa 1900–2000” w 2005 r. w Galerii Trietfiakowskiej w Moskwie?

Nawet w tamtych czasach tego Putina nie pokazywaliśmy. Anda Rottenberg pokazywała obraz wcześniejszy. Ale jadąc do Moskwy, wydrukowałem pocztówki z Putinem. To był Putin w ruskiej czapie, z krwistymi ślepiami i krwistoczerwonymi ustami. Wyglądał jak wampir. Rozdawałem te pocztówki na prawo i lewo. I oprócz jednej baletnicy z teatru Bolszoi, która była zgorziona, wszystkim się podobało. Na bankiecie po wernisażu usiadłem obok jakiegoś faceta w garniturze. Zaczęliśmy ostro popijać. Pan z radością klepał mnie po mordzie, używam tego sformułowania celowo, i zachwycił się, jakim jestem świetnym facetem. A ponieważ ja do 24 lutego 2022 roku mówiłem po rosyjsku, to zaczęła nam się układać rozmowa. Ja dałem mu kartkę z Putinem, a on wręczył mi swoją wizytówkę, na której przeczytałem, że pracuje w Ministerstwie Kultury. Napelnilem więc szybko nasze kieliszki i wniosłem toast za przyjaźń. Mojemu kompanowi nie wypadało odmówić Polakowi. Później zapytałem Andę, co to był za facet, a ona odpowiedziała, że to jeden z najgorszych zakapiorów Putina. I kto wie, może moja pocztówka wisi teraz na tej słynnej korkowej tablicy Putina, obok zdjęć wszystkich tych, których on uznał za wrogów narodu.

Jeśli dodać do portretu Putina instalację „Symulator totalitaryzmu” z 2012 r., to chyba mówiono, że pan przesadza: przecież to był czas Euro 2012, które organizowaliśmy z Ukrainą, czyli samego szczytu naszego optymizmu. A może pana przeczcucie złych tendencji w historii współczesnej i recydywy tego, co najgorsze z przeszłości – bierze się z pana żydowskich korzeni, o których przypomniał panu pod prysznicem licealny kolega, pytający wcześniej o żydowskie pochodzenie nauczycielki – tak się składa, że w 1968, czyli w okresie najgorszej nagonki na Żydów?

Myślę, że takich rzeczy w historii zdarzyło się wiele i ta czujność, którą należy zachować wobec zła, jest naszym obowiązkiem. To jest wielkie zaniechanie ze strony nas wszystkich, że doprowadziliśmy do sytuacji, w której teraz musimy wydawać miliardy na zbrojenia. Straszne jest to, że sprawdziła się moja przepowiednia z „Symulatora totalitaryzmu” z 2012 roku. Wtedy w stronę Rosji nie chcieliśmy nawet patrzeć. Nie obchodziło nas, że rosyjskie czołgi rozjeżdżają Czeczenię, że Rosjanie interwenują w Gruzji. Wszyscy musimy w końcu zrozumieć,

że naszym sąsiadem jest psychopata zdolny do wszystkiego.

Mało kto wie, że to pan stał za kampaniami reklamowymi Kropelki: „Co kropelka sklei, sklei... żadna siła nie rozklei” czy mleka: „Pij mleko, będziesz wielki”. Kim pan właściwie jest, panie Kowalewski: artystą czy biznesmenem? I czy niezależnemu artyście nie wstyd za faceta, który umiał robić wielki szmal?

Mogę odwrócić to pytanie na sto sposobów. Wciąż zdarza się, że moi koledzy biznesmeni wysmiewają moje obrazy, uważając je za naiwne i niepoważne, ale sami nie potrafią nawet narysować dziecku rybki. Sztuka europejska i sztuka światowa przeszły przez okres konceptualizmu, a po tym okresie można już wszystko. Czy ktoś zadaje takie pytanie Hirstowi albo Cattelanowi? Ja naprawdę sam maluję swoje obrazy i to jest część mojego życia. Ten wstyd, który jest po stronie biznesmena, który musi się przyznać, że namalował „Wściekłego czerwonego psa na zielonym tle”, to naprawdę nie jest nic strasznego. To jest część mojego artystycznego ja.

Z pierwszą żoną wprowadzał pan na polski rynek harlequiny. Artysta w latach 90. musiał chwycić się takiego zarobku, bo Polacy odwrócili się od ambifnej sztuki i zaczęli konsumować?

Harlequin to była moja zemsta na Polsce. Bo ja wiem, że robotnicy po 1989 roku zostali wydy...ni. Ich pierwszych wysłało się do walki, a potem przytaczano kopalnie i stocznie. A ja czułem, że kultura została wydy...na równie bezwzględnie. Nagle przestała być potrzebna. Harlequiny tworzyli ogromnie zdolni ludzie i to była moja największa artystyczna akcja. O tym, że zadziałała, świadczy choćby wystawa w Łodzi przygotowana przez kuratora Kubę Banasiaka, który opowiadając o długim trwaniu lat 80., położył egzemplarz harlequina obok mojej pracy.

Jak pan sądzi – jaki wpływ miało czytanie Harlequinów na Polaków? Psuło gust czy mimo wszystko ożywiło czytelnictwo?

To były miliony sprzedanych egzemplarzy. Naprawdę miliony. Czy ktoś później osiągnął taki sukces? Nie. Czy to była ambitna literatura? Nie. Ale nie zapominajmy, czytanie rozbudza wyobraźnię. Wydawałem te książki także z myślą o tych kobietach, które o 5 czy 6 rano jechały autobusami do pracy. Miałem nadzieję, że dzięki tym książkom te poranki będą dla nich trochę miłsze, że odkryją w swoim życiu trochę romantyzmu.

Tego tematu nie unikniemy: proszę powiedzieć ludziom niezorientowanym w sztuce współczesnej, czym właściwie była ta Grupa, którą pan współtworzył z ówczesnymi kolegami Ryszardem Grzybem, Jarosławem Modzelewskim, Włodzimierzem Pawlakiem, Markiem Sobczykiem i Ryszardem Woźniakiem, z którymi ostatecznie się pan poróżnił lub poszedł inną drogą.

Grupa była zjawiskiem, które zmieniło albo nawet stworzyło polskie malarstwo. Do tej pory malarze inspirowali się malarstwem francuskim, niemieckim, a my od początku podążaliśmy własną drogą, nie oglądając się na nikogo. Stworzyliśmy kanon polskiego malarstwa, wnieśliśmy je na inny poziom. Do tej pory w polskiej sztuce trudno doszukiwać się czegoś tak oryginalnego jak polskie malarstwo. Dlatego powinniśmy być dumni z tego, czego dokonała Grupa.

Podzielił was stosunek do tego, co nazywa pan malarstwem w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Koledzy z czasem stali się zbyt tradycyjni i nie cenili konceptualizmu?

Tak. Tak było. Niektórzy z nas uznali, że jesteśmy jedynie jakimś zjawiskiem malarskim, a my byliśmy zjawiskiem artystycznym.

Intrygujący jest w waszej działalności happening, odczyty, koncerty, ale najbardziej performance’y, które dziś, zwłaszcza w twórczości młodego pokolenia, wchłaniają całą sztukę. Te wasze oscylowały od próby komentowania „Dziennika Telewizyjnego” z perspektywy kanapy, co robiły co wieczór miliony Polaków, gdy z telewizorów wylewało się komunistyczne kłamstwo, po próbie sabotowania wystawy zorganizowanej przez Łódź Kaliską, która zastawiła na was pułapkę. Jak dziś pan to ocenia?

Potwornie żałuję, że nie mieliśmy instynktu, żeby je dobrze zdokumentować, bo gdyby istniały dobre filmy obrazujące to, co wtedy robiliśmy, to polski performance byłby dziś dużo istotniejszy.

Mam skrajnie różne odczucia na temat wydarzeń na Documenta w Kassel w 1987 r., gdzie wszyscy członkowie Grupy zaczęli malować wielkoformatowy obraz wokół motywu waginy, ciesząc się biesiadami, alkoholem. Na koniec jednak kilku z was, bez zgody pozostałych, w tym pana, przemaalowało grupową pracę w jednej tonacji. Pogwałcono wolność artystów w ramach Grupy czy to był kolejny happening – prowokacja, na którą taki prowokator jak pan powinien być jednak przygotowany?

Nie sądzę. To po prostu było ch...we i tyle.

Dziś Polacy piją wino, piwo, drinki, mają inne używki, tymczasem w opowieści o Grupie leje się rzeka wódki, o której zapomnieliśmy już, że była chyba narkotykiem codziennej potrzeby dla wielu Polaków w PRL. Czy równie groźnym jak heroina?

Bardziej jak kokaina. I jak patrzę na Rosję, która wciąż się z tego nie wyzwoliła, to jestem przerażony, że ten los mógłby być także naszym udziałem.

Wspomina pan, że będąc „pod wpływem”, nastraszył pan jednego z kolegów tzw. tulipanem, rozbił faszka przystawioną do szyi. Brakuje panu takich zbójceckich emocji z czasu „burzy i naporu” czy dobrze, że już się nie zdarzają?

Zupełnie mi ich nie brakuje i dobrze, że się nie zdarzają.

Teraz wielką emocją jest kolejna potyczka z nowotworem?

Tak.

Kogo z młodych artystów ceni pan w aż tak szczególnie sposób, że zainwestowałby pan w jego prace spore pieniądze?

Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, bo strzeliłbym sobie w kolano.

Czy nasza rozmowa przerwała panu pracę nad nową pracą?

Tak.

/©©

Paweł Kowalewski (ur. 1958) – malarz, rzeźbiarz, performer, autor instalacji, kolekcjoner. Współtwórca Grupy, z wyróżnieniem ukończył studia malarskie w pracowni Stefana Gierowskiego w warszawskiej ASP. Od 2019 r. jej profesor. Od 1985 r. wykładowca na Wydziale Wzornictwa. W radomskiej Elektrowni trwa jego wystawa „Porazka rozum”. Książka „Sztuka to jest wszystko. Paweł Kowalewski opowiada Aleksandrowi Chudzikowi” wyszła nakładem Luna House

MUZYKA

WASZ NOWY ULUBIONY ALBUM

Wśród 11 piosenek na „Romance”, czwartej płycie irlandzkiego zespołu Fontaines D.C., próżno szukać słabej pozycji.

Członkowie tego irlandzkiego kwintetu poznali się na dublińskim uniwersytecie BIMM, na wydziale muzycznym i tam dziesięć lat temu założyli zespół The Fontaines. Inspiracją dla nazwy była postać „Ojca chrzestnego” – Johnny Fontane, ale z czasem odjęli przedrostek „the”, za to dopisali dwie litery jako hołd dla rodzinnego Dublin City. „Romance” to ich czwarta płyta i wszystko wskazuje na to, że przełomowa. Przenosząca Irlandczyków ze sceny alternatywnej do mainstreamu.

W wywiadzie dla NME Grian Chatten, wokalista, mówi o kulisach powstawania albumu: „Nienawidzę słowa »eksperyment«, nie jestem Frankiem Zappą. »Romance« to wynik muzycznej podróży każdego z nas, nasz najbardziej rozbudowany i pełny album”. I rzeczywiście, nowa płyta Fontaines D.C. brzmi zupełnie inaczej niż trzy poprzednie. Surowe, gitarowe brzmienia ustąpiły miejsca dużo bogatszym aranżacjom oraz syntezatorom, do czego przyłożył rękę nowy producent James Ford, odpowiedzialny też za ostatnie płyty Depeche Mode, Pet Shop Boys, Blur czy Arctic Monkeys.

„Romance” otwiera utwór tytułowy, w którym grana na gitarze basowej melodia przypomina nieco początek „Enter Sandman” Metalliki, a chwilę później dołączają do niej dźwięki pozytywki tworzące wraz z delikatnie śpiewającym Chattenem bajkowy klimat. Pryska on jednak kilkadziesiąt sekund później wraz z niskimi dźwiękami instrumentów dętych, gitarowymi piskami i elektronicznym szumem.

Ta krótka kompozycja stanowi doskonały wstęp dla „Starbustera”, pierwszego singla promującego płytę i doskonale oddającego nowy styl Fontaines D.C. Ten chaotyczny utwór nawiązuje do ataku paniki, którego doświadczył w metrze lider zespołu. Towarzysząca mu burza myśli mocno wybrzmiewa zarówno w warstwie tekstowej, jak



i muzycznej. W ciągu niecałych czterech minut nastrój piosenki zmienia się kilkakrotnie. Słyszysz tu echa twórczości zarówno wczesnego Kasabiana, jak i Beatlesów z czasów „Sgt. Pepper’s Lonely Hearts Club Band”. Największe, piorunujące wręcz wrażenie robi jednak odgłos desperackiego wdechu kończący każdy wers refrenu. Ów genialny w swojej prostocie pomysł zarejestrowania na taśmie czynności niezbędnej do życia pojawia się również w „Here’s the Thing”. To drugi singiel z płyty, ale zupełnie inny niż poprzednik. Zimnofalowa zwrotka napędzana przez bas przypomina Joy Division, natomiast wysoko zaśpiewany w dwugłosie refren pełny jest gitarowego jazgotu. Gdzieś w pamięci miga charakterystyczne brzmienie grupy Klaxons, której płytę „Myths of the Near Future” wyprodukował nie kto inny jak obecny producent Fontaines D.C. Podobne nawiązania słychać w „Desire”, wielopłaszczyznowej balladzie opowiadającej o pragnieniu wyrwania się ze schematu. Za to w „Death Kink” znajdujemy muzyczne odniesienia do Pixies.

Przebojowy „In the Modern World” można czytać jako grę z pytaniem zadany przez Bradleya Coopera w piosence „Shallow” do filmu „Narodziny gwiazdy”. Cooper śpiewał: „Powiedz mi, dziewczyno, jesteś szczęśliwa w tych nowych czasach?”, na co wokalista Fontaines D.C. odśpiewuje, że „w nowoczesnym świecie odczuwa niewiele, ale nie czuje się źle”.

Wśród 11 piosenek na „Romance” próżno szukać słabej pozycji. Utwory są zróżnicowane, raz wprawiają w stan czułości, potem niemal kołyszają do snu. W wieńczącej dzieło „Favourite” wielokrotnie słyszymy słowa „you’ve been my favourite for a long time”. Jestem przekonany, iż ta płyta stanie się ulubioną dla wielu osób na długi czas, a o Fontaines D.C. jeszcze długo będzie głośno. Mocny kandydat na muzyczny album roku. /©©

Kamil Brzózka

„Romance”, Fontaines D.C., prod. XL Recordings, dystr. Sonic

GOŚĆ „PLUSA MINUSA” POLECA

MAM SWOJĄ
ZIEMIĘ OBIECANĄ

KRZYSZTOF BOCHUS
dziennikarz, pisarz

Zarówno w muzyce, jak i w literaturze łatwo o fałsz i nietrafione tony. Trzeba ich unikać za wszelką cenę, żeby nie rozczarować odbiorców.

Moim sposobem na relaks i resetowanie umysłu są lektury i muzyka. Teraz czytam „Napoleona” Andrew Robertsa, świetnie napisaną biografię cesarza Francuzów. Czytam ją niejako w ramach prowadzonej dokumentacji, ponieważ fabułę mojej kolejnej powieści lokuję w czasach napoleońskich w Gdańsku A.D. 1807. Wcześniej czytałem „Galicję” Normana Daviesa, którego niezwykle cenię jako historyka. Duże wrażenie zrobiła na mnie też książka Grzegorza Łysia „Bzik kolonialny. II Rzeczpospolitej przypadki zamorskie”. Najchętniej, z uwagi na swoje osobiste zainteresowania, czytam właśnie pozycje historyczne, znacznie częściej niż kryminały.

Te ostatnie dobieram w sposób bardzo przemyślany. Mam swoje preferencje i faworytów, należą do nich m.in. Mieczysław Gorzka i Michał Śmielak. Mieczysław to znakomity pisarz, którego dzieła wyróżniają się stylem i błyskotliwością. Jego książkę „Nie Anioł” przeczytałem z zapartym tchem. Nigdy nie nudzę się też przy książkach Śmielaka. Jego dwie ostatnie powieści „Osada” i „Wilcza chata” są znakomite. Z dużą przyjemnością przeczytałem też ostatnio „Biuro spraw tajemnych” Erica Fouassiera: retrokryminał, w którym nauka inspiruje zbrodnie. Świetnie napisana, klimatyczna pozycja.

Bardzo lubię słuchać Chopina, wyciszam się przy jego muzyce, zwłaszcza przy nieśmiertelnym Nokturnie Es-dur op. 9 Nr 2. Lubię duet Kwiat Jabłoni,

często towarzyszy mi ich piosenka „Dziś późno pójde spać”, może dlatego, że sam należę do nocnych marków. Jestem fanem również rockowych brzmień: AC/DC, Erica Claptona czy Red Hot Chili Peppers. To upodobanie do muzyki wynika chyba z przekonania, że literatura i muzyka są do siebie w pewnym sensie podobne. Zarówno w muzyce, jak i w literaturze łatwo o fałsz i nietrafione tony. Trzeba ich unikać za wszelką cenę, żeby nie rozczarować odbiorców.

2024 to dla mnie pracowity rok. Ukazało się kilka wznowień moich powieści i wydałem dwie nowe książki. Wkrótce premiera „Kamienia tunguskiego”, najbardziej sensacyjnej i epickiej części serii z dziennikarzem Adamem Bergiem. Można ją czytać, nie znając wcześniejszych tomów, stanowi oddzielną historię. To powieść o miłości i nienawiści, utraconej pamięci i pięknej tożsamości – z wielką historią w tle. Od wybuchu meteorytu nad Syberią w 1908 r., poprzez wrzesień 1939, zbrodnię w Piaśnicy, Bitwę o Anglię, ucieczkę ze stalagu w Żaganiu i frankistowską Hiszpanię, po włoskie Grosseto i jezioro Como.

Jednak nie samą pracą na szczęście człowiek żyje. Dwukrotnie odwiedziłem Hiszpanię, w tym Andaluzję. Odpoczywając, zbierałem tam materiały do powieści. Natomiast każdą wolną chwilę spędzam w moim ukochanym Gdańsku, który stanowi moją literacką ziemię obiecaną. /©©

not. luko

Krzysztof Bochus (ur. 1955 r. w Kwidzynie) – autor serii książek o Christianie Abellu, Marku Smudze oraz Adamie Bergu. Jego najnowsza książka „Kamień tunguski” ukaże się w październiku (wyd. Skarpa Warszawska)

FILM

MIŁOŚĆ ZZA GROBU

Akcja ciekawie zapowiadającej się „Lisy Frankenstein” rozwija się w sposób najgorszy z możliwych.

Kino od dekad przekonuje, że dojrzenie jest straszne. Czemu by więc nie zrobić filmu, który byłby połączeniem nastoletniego dramatu o znamionach komedii romantycznej z krwawym horrorem? Któż bardziej nadawałby się do napisania takiej mieszanki niż Diablo Cody, scenarzystka mająca na koncie zarówno znakomitą „Juno” (2007), jak i nędzne „Zabójcze ciało” (2009)?

Jej najnowszy projekt, wyreżyserowana przez Zeldę Williams „Lisa Frankenstein”, jest miksturą zapowiadającą się nad wyraz ciekawie, ale rozwijającą się w sposób najgorszy z możliwych, bo nijako. Tytułowa Lisa (Kathryn Newton) to dziewczyna, która nie może pozbić się po śmierci matki (uwaga! – zamordowanej siekierą). Czas spędza na opuszczonym cmentarzu, gdzie spoczywa wiktoriański muzyk. Wypowiedziawszy życzenie w trakcie



burzy, Lisa ożywia chłopaka, który pod postacią niemego Monstrum (Cole Sprouse) zjawia się w jej domu. Para zaczyna krucjatę przeciwko tym, którzy zasłali Lisie za skórę, ćwiartując ich zwłoki, a poszczególne członki przyszywając do korpusu młodzieńca.

Makabryczne, ale urocze, przynajmniej na początku. Rzecz bowiem w tym, że dzieło Williams (prywatnie córki aktora Robina) opiera się głównie na zapożyczeniach, zwłaszcza z imaginarij Tima Burtona. Echa „Soku z żuka” (1988) i „Edwarda Nożycorękiego” (1990) słychać tu wyraźnie. O emocjach towarzyszących bohaterce widz nie dowiaduje się natomiast niczego. Jej przemiana z zahukanej samotniczki w gotycką bestię jest zaś jedynie zewnętrzną. Cody i Williams błędzą, wpędzając do grobu obiecujący pomysł.

Rafał Glapiak, Mocnepunkt.pl / ©

„Lisa Frankenstein”, reż. Zeldy Williams, dyst. VOD: Prime, iTunes

KSIĄŻKA

DWIE KSIĘŻNICZKI DIUNY

„Księżniczka Diuny” ma słaści świadczące o schyłku procederu dopisywania prequeli Herbertowi.

Tytuł tej powieści, 20. z kolei dopisanej do cyklu „Kroniki Diuny” Franka Herberta, powinien brzmieć „Księżniczki Diuny”, gdyż oprócz córki Imperatora Irulany równorzędną pozycję zajmuje w niej Fremenka Chani, córka imperialnego planetologa Arrakis. Obie reprezentują przeciwne krańce Imperium, samej góry, czyli jego sfer rządzących, i samego dołu, czyli Fremenów z planety Arrakis (Diuny). Osoby obu panien są niewralgiczne dla cyklu Franka Herberta, gdyż Irulana zostanie poślubiona na pokaz przez Paula Atrydę (który w ten sposób zostanie nowym Imperatorem), natomiast Chani będzie jego żoną „prawdziwą”, choć nieoficjalną.

Lecz Herbert jr i Kevin J. Anderson uznali chyba, że tego za mało na powieść, więc dodali bunt ofice-

ra, który zgłosił chęć poślubienia Irulany. Równolegle Fremeni organizują zamach na Imperatora. Nie udaje się go zabić, za to ginie sporo młodzieży fremenkiej. Także intryga zbudowana na wykradzeniu zwłok zmarłego Nawigatora Gildii nie broni się przed krytyką – skoro są takie cenne, lekkomyślnością jest porzucać je na pustyni, by burza piaskowa osobiście zadbała o pogrzeb.

Chciałoby się powiedzieć, że „Księżniczka Diuny” trzyma podobnie wysoki poziom jak pozostałe tomy spółki Herbert jr/Anderson, ale zarówno bunt, jak i zamach są możliwe tylko dzięki woli obu autorów. W opisanych okolicznościach nie miałyby szans na sukces, tyle w nich zapaści logicznych. Świadczy to o schyłkowości procederu dopisywania prequeli papie Herbertowi – wiele wskazuje, że obecny może być zarazem ostatni.

/ © Marek Oramus

„Księżniczka Diuny”, Brian Herbert, Kevin J. Anderson, tłum. Andrzej Jankowski, Dom Wydawniczy Rebis



GRA

COŚ DLA RYZYKANTÓW

Karcianka „Klink” udowadnia, że cyferki bawią nie tylko księgowych.

Na pierwszy rzut oka „Klink” nie przekonuje. Ot, talia 63 kart, a na nich liczby od -5 do 20. Owszem, ładnie wydrukowane, kolorowe, ale jak nimi grać? Darrell Cannon wpadł jednak na pomysł, by zmusić uczestników zabawy do szacowania ryzyka i decydowania na tej podstawie o przebiegu rozgrywki.

Celem gry jest zebranie kolekcji kart o jak najniższej łącznej wartości. W swojej turze gracz ciągnie dwie karty i kładzie je przed sobą. Zakryte! Jedną z nich może podejrzeć, nie pokazując nikomu. Następnie musi zdecydować, czy chce obie zatrzymać, czy też przekazać kolejnemu uczestnikowi. Decyzję tę podejmuje w ciemno – w końcu nie zna drugiej karty; nie wie, jakiej jest wartości.

Jeśli zdecyduje się karty zatrzymać, odkrywa obie i może skorzystać z dwóch efektów specjalnych. Jeśli ma w swojej kolekcji dwie takie same

karty (na przykład dwie „dwójki”), to równoważą się one i nie liczą do łącznej wartości jego zbioru. Dlatego warto polować na takie pary! Jeśli natomiast gracz ma trzy kolejne karty, może skorzystać z dostępnych zdolności specjalnych i np. oddać część swoich kart rywalom bądź wymienić je.

Jeśli gracz nie zdecydował się zatrzymać wyciągniętych kart, przekazuje je kolejnemu uczestnikowi zabawy, który staje przed identyczną decyzją: podgląda wybraną kartę, a potem może parę zatrzymać lub przekazać dalej. Gdy wrócić one do gracza, który je wyciągnął, ów nie ma już wyboru – musi je zatrzymać. I tyle!

„Klink” to wciągająca karcianka, która przypadnie do gustu osobom o żyłce hazardowej. Nie ma tu co prawda licytacji, ale jest owo szacowanie ryzyka i niezwykle emocje towarzyszące każdej podejmowanej decyzji.

/ © Michał Zacharzewski, Zdalaodpolityki.pl

„Klink”, wyd. Rebel



KSIĄŻKA

WIĘCEJ NIŻ PARĘ PROCENT SZTUKI

„Historia sztuki bez mężczyzn” Katy Hessel to przemyślane kompendium wiedzy dla ciekawych sztuki błakającej się dotąd po marginesach.

Autorka jest historyczką sztuki i to praktykującą jako autorka tekstów dla „Guardiana”, wykładowczyni i kuratorka. Ta solidna podbudowa sprawiła, że powstała książka stanowiąca wartościowy wstęp do poznawania artystek, których dzieło pozostawało do tej pory albo mało, albo wręcz nieznanne.

Rzetelna praca dokumentacyjna zaowocowała publikacją porządkującą dzieje sztuki kobiet. „Dominuje w niej perspektywa męska oraz zachodnioeuropejska – to właśnie chcę ujawnić i zakwestionować. To (...) opowieść, w której staram się podać w wątpliwość kanon obowiązujący w moim kręgu kulturowym” – deklaruje autorka, proponując zestaw artystek udowadniający, że mimo rozlicznych przeszkód były zawsze obecne w historii sztuki. „Jeżeli nie będziemy postrzegać sztuki jako dziedziny tworzonej przez wiele rozmaitych osób, nie ujrzymy pełnego obrazu społeczeństwa, dziejów czy kultury” – twierdzi nie bez racji Katy Hessel.

Wyniki badań z 2019 r. pokazują, że 87 proc. dzieł sztuki w zbiorach 18 największych amerykańskich muzeów stworzyli mężczyźni. Dzieła artystek stanowią tylko 1 proc. zbiorów londyńskiej National Gallery. Z przeprowadzonego przez autorkę sondażu wynika, że 30 proc. Brytyjczyków nie potrafi wymienić więcej niż trzech nazwisk artystek.

Zwięzłe, ale wyraziste i precyzyjne notki o artystkach (są ich dziesiątki), z datami, kluczowymi wydarzeniami w biografii i osiągnięciami artystycznymi, spięte komentarzem od autorskim, uzupełnione o reprodukcje dzieł, rozmieszczone zostały w pięciu częściach, z których każda skupia się na przełomowych momentach historii sztuki, głównie w kulturze zachodniej.

Są w książce i dwa polskie ślady. W rozdziale „Ciało” pojawia się Alina Szapocznikow. A w „Tkaniu nowych tradycji” Magdalena Abakanowicz. Dopiero od 2019 r., po 450 latach od powstania, oglądać można w kościele Santa Maria Novella we Florencji namalowaną na płótnie gigantyczną 7x2 m „Ostatnią wieczerzę” Plautilli Nelli, renesansowej artystki, jednej z czterech, o których wspomina w „Zywotach...” Vasari.

W XVI i XVII w. artystki zajmowały się głównie malowaniem martwych natur i portretów, bo tyle mogły bez utrudnień. W tym czasie w holenderskim Haarlemie tworzyła Judith Leyster (1609–1660), która mając 24 lata, została przyjęta do cechu jako najmłodsza jego członkini. Jej obrazy przedstawiające rośliny i owady osiągały cenę 750 guldenów – dwa razy większą niż obrazy Rembrandta za jego życia. W XVIII w. zawodowo pracowało w Europie niemal 300 artystek. W XIX w. nadal nie miały pełnego wstępu do akademii artystycznych, aż do XX w. nie mogły uczyć się rysowania nagiego modela. Jedyną kobietą uczestniczącą w pierwszej wystawie impresjonistów w 1874 r. była Berthe Morisot.

Choć stworzenie koncepcji ready made przypisuje się Marcelowi Duchampowi, to autorka przypomina, że baronowa Elsa von Freytag-Loringhoven (1874–1927) rok przed „Susząrką do butelek” słynnego artysty, stworzyła swoją „Trwałą ozdobę”. W latach 70. XX w. artystki zaczęły prowadzić kampanie w obronie swoich praw. W 1985 r., gdy na prestiżowej wystawie International Survey of Recent Painting and Sculpture pokazano dzieła tylko 14 kobiet na 165 uczestników, powstała grupa Guerrilla Girls, której członkinie wyszły na ulice walczyć o uznanie i wsparcie dla artystek. Mają co robić, bo jak autorka przypomina, jeszcze w 2013 r. Georg Baselitz, modny malarz dekady, twierdził, że „kobiety niezbyt dobrze malują (...) taka jest prawda”.

Po tej lekturze wiadomo, że o wiele bardziej skomplikowana.

/ © Małgorzata Piwowar

„Historia sztuki bez mężczyzn”, Katy Hessel, przetł. Małgorzata Glasenapp, wyd. Marginesy



BARBARA NAŁĘCZ-NIENIEWSKA

Białorusini identyfikują się z tym, co wydarzyło się na ich ziemi. Najważniejszą tożsamością jest dla nich bycie „stad”. Dlatego też Czestaw Niemen jest białoruskim piosenkarzem.

TUTEJSI, ALE SWOJSCY

Ponad 20 lat temu przekraczałam pociągiem granicę polsko-białoruską. Staliśmy na niej trzy godziny, by zmienić podwozie. W krajach byłego Związku Sowieckiego tory są szersze o kilka centymetrów niż w Europie. Wielkimi lewarami uniesiono wagony, wysunięto europejskie koła i wtoczono postsowieckie. Gdy wjeżdżaliśmy do Brześcia, widziałam, jak starsze panie w chustkach na głowach i z ciężkimi reklamówkami biegną w naszą stronę. Na peronie dopadły do pociągu i przez okna oferowały kupno jedzenia, które same przyrządziły: naleśniki czy suszoną rybę.

Pierwszy raz na Białoruś pojechałam w 2000 roku, następnie trzy lata później. Były to wizyty rodzinne. Moja babcia urodziła się na Polesiu w latach 20. XX wieku, które wówczas należało do II Rzeczypospolitej. Losy wojny rzuciły ją najpierw na roboty do Niemiec, a potem do Polski centralnej, dlatego ja urodziłam się w Łodzi. Ale jej rodzeństwo zostało we wsi, która w 1945 roku znalazła się na terenie republiki białoruskiej Związku Sowieckiego. Zawsze miałam przeświadczenie, że babcia była Polką, za taką się uważała, była polską patriotką i chodziła do kościoła katolickiego. Z siostrami z Białorusi korespondowała w języku polskim. Zachowały się w naszym domu rodzinne fotografie przesłane z Białorusi w latach 40. opisane po polsku. Ale co ciekawe, dzieci i wnuczka siostr mojej babci (czyli moje ciocie i kuzynostwo) uważają się całkowicie za Białorusinów i ich pierwszym językiem jest rosyjski. Są prawosławni. We wsi, gdzie dorastała babcia, była cerkiew. Zatem wychowała się w wierze prawosławnej, gdy zamieszkała w Polsce zaczęła chodzić do kościoła katolickiego.

Zagadkowe pochodzenie

Zaczął być dla mnie zagadką, jakiej narodowości była moja rodzina trzy pokolenia temu. Gdy mówiłam moim białoruskim ciotkom, że babcia uważała się za Polkę, dziwiły się. Kiedy pytałam, w jakim języku rozmawiały ich matki w domu, gdy były małe – nie umiały odpowiedzieć – bo one same były wychowywane już w języku rosyjskim. Jednakowoż ich matki nieraz używały polskich powiedzonek. Ostatecznie doszłam do wniosku, że jako ludzie pogranicza rozmawiali mieszaną mową polsko-białorusko-ukraińską.

Jestem zatem Polką bardzo związaną z polską kulturą i historią, a moi kuzyni w drugiej linii są Białorusinami mówiącymi po rosyjsku. Cudem udało nam się przez trzy pokolenia utrzymać kontakt. Babcia nie tylko często korespondowała z siostrami, ale też wyjeżdżała na Białoruś, a jej rodzeństwo i siostrzeńcy przyjeżdżali do Polski. Zmarła w 1997 r. Wtedy korespondencję z rodziną ze Wschodu przejęli moi rodzice, a niedługo potem ja. Temat Białorusi był zawsze obecny w moim domu i miałam z nim miłe skojarzenia. Z tego powodu, idąc do liceum, wybrałam takie, w którym można było się uczyć języka rosyjskiego, bo chciałam umieć porozumieć się z krewnymi. Należy wspomnieć, że język rosyjski jest powszechnie używany na Białorusi. Białoruskim posługuje około 10 proc. społeczeństwa. Głównie mieszkańcy wsi lub opozycjoniści, którzy zdecydowali, że będą posługiwać się właśnie tym językiem.

Kiedy odwiedzałam Białoruś blisko ćwierć wieku temu, miałam poczucie, że jest nieco zacofana względem Polski, że wolniej się rozwija. Minęło wtedy dopie-

ro 11 lat od zmiany ustroju w Polsce i dziewięć od upadku Związku Sowieckiego. Architektura i samochody były jak z minionej epoki. Ale rzucała się w oczy niezwykła czystość. I coś, co było najbardziej zaskakujące – drogi były wtedy lepsze niż u nas! Równe, bez dziur i szerokie. A szosy lat 90. w Polsce były przecież koszmarem. Wąskie i dziurawe. Pamiętam też, że chociaż Aleksander Łukaszenko dopiero rozpoczął drugą kadencję prezydencką, to już był uważany za dyktatora. A przecież jeszcze wtedy nie było wiadomo, że pozostanie „na tronie” kolejne 24 lata (w tym roku mija 30-lecie jego „panowania” na Białorusi).

Urokliwa strefa czarnobylska

Choć większość najbliższej rodziny mieszkała już wtedy w Mińsku, wybraliśmy się na Polesie. Piękną krainę na południu Białorusi. Kiedyś słynącą z rozległych bagien, dziś w dużej mierze osuszonych. Zapadła mi w pamięć ta podróż. Przyroda jest tam ujmująca. Zrozumiałam, dlaczego babcia tak tęskniła za tymi terenami. Pod koniec życia żyła tylko wspomnieniami z Polesia. Całe swoje dorosłe życie spędziła w Łodzi, pracowała jako prządka w fabryce. W PRL-u było to dość mroczne miasto, głośnie i zanieczyszczone od tysięcy zakładów przemysłu włókienniczego. Było to miejsce leżące na przeciwnym biegunie względem Polesia – pełnego czarujących moczarów i bujnych puszczy.

We wsi, którą odwiedziliśmy, były drewniane domy z oknami dekorowanymi snycerskimi obramowaniami, choć niestety kryte jednocześnie azbestowymi falistymi dachami. Pamiętam wizytę u dalekiej krewnej, która pokazywała stare rodzinne zdjęcia. Na jednym z nich widniał mężczyzna w polskim mundurze. Powiedziała, że był ranny „jeszcze przed wojną – w 39. albo 40. roku” (sic!). Ta wypowiedź najlepiej obrazuje, jaką wersję historii sprzedawała sowiecka propaganda. Dla ludzi wychowanych w tych krajach wojna zaczęła się dopiero w 1941 roku – od napaści Niemiec na Związek Sowiecki. Wcześniej według nich żadnej wojny nie było. Ciekawe, jak – swoją drogą – ów wujek został rany... Widzieliśmy też nazwę ulicy „17 września 1939 r.” – co w sowieckiej wersji historii jest pozytywną datą – początkiem wyzwolenia uciśnionych narodów spod jarzma Polaków...

Polesie jest strefą czarnobylską, lepiej nie przebywać tam dłużej niż kilka dni. Choć trzeba przyznać, że jedzenie jest tam pyszne, a gościnność ujmująca. Do jakiegokolwiek domu byśmy weszli, to w ciągu kilku minut zapelniał się stół, za którym byliśmy sadzani. Po prostu niemożliwym było odmówić.

Gdy odwiedziłam Białoruś trzy lata później, więcej czasu poświęciłam na zwiedzanie zabytków. Zaskoczyły mnie pozostałości polskości. Zamek w Nieświeżu był wówczas zniszczony. Można było go oglądać z zewnątrz, wejść na dziedziniec i klatkę schodową. Zapamiętałam tablice pamiątkowe ustawione w okolicy zamku z polskimi napisami i zaciekało mnie, że Białorusini nie traktowali tego jako czegoś obcego, tylko stanowiło to część ich własnej historii. W Muzeum Narodowym w Mińsku oglądałam galerię portretów. Było tam wiele portretów sarmackich. Z muzealnych ścian spoglądali nobliwi Radziwiłłowie, Sapiehowie i inni reprezentanci litewskich rodów przybrani w żupany i kontusze. Kojarzyło się to bardzo swojsko. Zapamiętałam starszego pana – Białorusina – który zwiedzał wystawę z wnuczką. Wyjaśniał mu

po rosyjsku, kim były owe historyczne postaci. W jego tonie i sposobie wypowiedzi dało się wyczuć dumę z tego dziedzictwa.

Koniec swobody, pozostało piękno

Minęło kilkanaście lat, gdy znów wybrałam się na Białoruś. Był to rok 2019. Potem okazało się, że był to ostatni moment, kiedy jeszcze swobodnie można było tam wjechać. Rok później odbyły się pamiętne sfałszowane wybory prezydenckie, po których na protesty na ulice wyszły setki tysięcy osób. Wychodzili przez wiele dni, domagając się uczciwego przeliczenia głosów. Protesty zostały krwawo stłumione. Przez wiele tygodni trwały aresztowania, ludzi torturowano w więzieniach i skazywano na wieloletnie wyroki. Robiono to tak długo, aż zastraszone społeczeństwo. Potem nastąpił kryzys migracyjny, a następnie pełnoskalowa wojna w Ukrainie. Białoruś udostępniła wtedy swoje terytoria Rosji, aby ta mogła ostrzeliwać Kijów. Uszczelnianie granicy polsko-białoruskiej utrudnia dzisiaj turystyczny wyjazd. A poza tym służby dość dokładnie sprawdzają osoby, które obecnie udają się na Białoruś, więc należy być ostrożnym.

Wracając do mojej wizyty sprzed pięciu lat. Pokazała mi ona dobitnie, jak wiele mamy z tym narodem wspólnego. Przed wyjazdem wiele czytałam o tym, że Białorusini budują swoją tożsamość narodową na dziedzictwie Wielkiego Księstwa Litewskiego i Rzeczypospolitej Obojga Narodów. A w 2019 roku zobaczyłam to na własne oczy. Zamek w Nieświeżu został wspaniale odrestaurowany, a wręcz zrekonstruowany! Wnętrza ociekają teraz bogactwem, tkaninowe tapety utkano w historyczne wzory, zrekonstruowano snycerkę i zagospodarowano na nowo park. To miejsce stało się najpopularniejszym centrum turystycznym Białorusi. Podobnie odnowiono zamek w Mirze znajdujący się nieopodal. Trzeba nadmienić, że Nieśwież był przez setki lat najważniejszą rezydencją Radziwiłłów i opowiada się o nich dużo podczas oprowadzania po zamku. W sklepiku muzealnym można kupić wspaniałe pamiątki nawiązujące do historii tego szlacheckiego rodu oraz historii Rzeczypospolitej. Najdroższym i najbardziej ekskluzywnym suwenirem jest pas kontuszowy wyprodukowany nie gdzie indziej jak w Słucku, w którym po dziś dzień działa fabryka tkanin, gdzie oprócz pracy maszynowej tką się także tradycyjnymi technikami.

Wybraliśmy się również na północ Białorusi, do Zalesia. Jest to miejscowość położona koło miasta Mołodeczno. Znajduje się tam dwór, gdzie mieszkał kompozytor i dyplomata Michał Kleofas Ogiński. Popularny polonez jego autorstwa „Pożegnanie Ojczyzny” był kiedyś utworem numer jeden na studniówkach, dopóki palmy pierwszeństwa nie przejął polonez Wojciecha Kilara skomponowany w 1999 roku do filmu „Pan Tadeusz”. Od tamtej pory Ogiński zaczął w Polsce odchodzić w zapomnienie. Inaczej jest na Białorusi. Tutaj pamięć o nim jest wciąż żywa, a „Pożegnanie Ojczyzny” jest ukochanym przez Białorusinów utworem. Podobno był rozważany jako nowy hymn wolnej Białorusi po 1991 r. (jeszcze przed prezydenturą Łukaszenki). Muzeum w Zalesiu działa bardzo prężnie, ma bogatą ofertę kulturalną, dorocznie organizowane są bale kostiumowe z okazji urodzin Ogińskiego. Odbywają się koncerty. A w dwusetną rocznicę jego śmierci (w 2015 r.) wydano bogato ilustrowany album biograficzny. I mimo że poza budynkiem nie zachowały się w Zalesiu żadne pamiąt-



Białoruś to kraj dość dziewiczy, jeśli chodzi o przyrodę. Jest tam dużo lasów i jezior, powietrze jest czyste, a rolnictwo dość naturalne. Na zdjęciu: rzeka Uboró (prawy dopływ Prypeci) na zachodnim Polesiu podczas wschodu słońca

ki po Ogińskim, a wnętrza są raczej stylizacją na epokę (owszem, z oryginalnymi meblami z epoki, ale nienależącymi nigdy do Ogińskiego), to robi wrażenie poziom zaangażowania w dbałość o pamięć o kompozytorze i dyplomacie. Co dla nas zaskakujące, oczywiście Białorusini uważają go za swojego. Nazywają go białoruskim kompozytorem. Ogiński był to stary książęcy ród litewski wywodzący się z Rurykowiczów, ale także z arystokracji zachodnio-europejskiej. W czasach Michała Kleofasa posługiwali się językiem polskim, a on sam służył – rzecz jasna – Rzeczypospolitej.

To, co wydarzyło się na tej ziemi

Białoruskim kompozytorem jest również Stanisław Moniuszko, białoruskim bohaterem narodowym – Tadeusz Kościuszko, białoruskim poetą – Adam Mickiewicz, a białoruskim piosenkarzem – Czesław Niemen! I to nie są żarty. Białorusini identyfikują się z tym, co wydarzyło się na ich ziemi. Wyżej wymienione postacie urodziły się na tych terenach i mieszkały tam przez część życia. Najważniejszą tożsamością jest dla Białorusinów bycie tzw. tutejszym. Tak siebie nazywali chłopci w przedwojennych ankietach, gdzie w rubryce narodowość wpisywali: „tutejszy”. Współcześnie Białorusini używają tego słowa dowcipnie, a jednocześnie z pełną świadomością tego, co oznacza to dla ich tożsamości. Jak np. wideobloger „Tutejszy szlachcic”, który prowadzi kanał na YouTube o szlacheckiej i rzeczpospolitańskiej historii Białorusi.

Wydano także państwowe pieniądze na całkowitą rekonstrukcję czy właściwie budowę od podstaw (z pełnym wyposażeniem) dworu, w którym urodził się Tade-

usz Kościuszko we wsi Mereszowszczyzna. Przed budowlą odsłonięto pomnik bohatera. W Grodnie, które jest zadbanym pięknym miastem, gdzie także zrekonstruowano zamek, od lat funkcjonuje muzeum Elizy Orzeszkowej. W pobliskiej wsi Bohatyrowicze zachowany jest krzyż na grobie legendarnej pary – Jana i Cecylii – opisanej w „Nad Niemnem”. W Nowogródku odwiedzić można Muzeum Mickiewicza umiejscowione z odbudowanym po II wojnie światowej dworze. Muzeum zostało wyremontowane na początku XXI wieku za pieniądze lokalnych władz.

Nasuwa się pytanie, dlaczego reżim Łukaszenki tak silnie związany z Rosją dofinansowywał przedsięwzięcia mające na celu kultywowanie rzeczpospolitańskiej historii Białorusi. Otóż, był taki okres w historii białoruskiego dyktatora, że chciał zmanifestować swoją odrębność od Putina czy nawet pewną niezależność. Zwracał się wtedy nieco w kierunku Europy. Stosował wówczas narrację o tym, że Białoruś ma własną historię czy wręcz europejską tożsamość. A odwoływanie się do historii Wielkiego Księstwa Litewskiego i Rzeczypospolitej Obojga Narodów było na to dobrym sposobem.

Zahamowana nowoczesność

Białoruś można zwiedzać nie tylko śladami polskimi czy rzeczpospolitańskimi. Jest to kraj dość dziewiczy, jeśli chodzi o przyrodę. Nie ma zbyt wielu zakładów przemysłowych, a terytorium jest słabo zaludnione. Większość ludzi mieszka w miastach. Jest tam dużo lasów i jezior, powietrze jest czyste, a rolnictwo dość naturalne. Ostatnimi laty

rozwijają się mocno agroturystyka. Można więc wypożyczyć tu w ekologicznym stylu. Natomiast gdyby ktoś chciał poznać nowocześniejszą Białoruś, to może wybrać się do Mińska, które jest dość dynamicznie rozwijającym się miastem. Nie brakuje tam interesujących restauracji, hoteli na wysokim poziomie czy młodzieżowych dzielnic z modnymi pubami. Białoruś potrafi zaskoczyć.

Jednakowoż wiele zmieniło się po wspomnianym wyżej 2020 roku. Od tamtego czasu tłamszono wszelkie przejawy wolności, zlikwidowano niezależne media i stowarzyszenia pozarządowe. Z kraju wyjechały setki tysięcy osób, najczęściej wykształconych, zaangażowanych politycznie czy społecznie. Uciekły z kraju całe firmy prężnie rozwijającej się branży IT. To z pewnością zahamowało rozwój. Aktualna bardzo napięta sytuacja polityczna między naszymi krajami bardzo utrudnia wyjazdy turystyczne. Oczywiście nie funkcjonuje już pociąg relacji Warszawa–Grodno, który w ramach ocieplenia stosunków kursował przez kilka lat.

Od jakiegoś czasu historia przyspieszyła. Sytuacja na świecie i w naszym regionie zmienia się tak dynamicznie, że można spodziewać się wszystkiego. Żywię nadzieję na polityczne zmiany na Białorusi. Wspieram całym sercem walkę Białorusinów o ich ojczyznę wolną od reżimu i zwróconą w stronę Zachodu. Gdy ten moment nastąpi, warto zacząć odwiedzać ten nieodkryty kraj. Zapewniam, że pozytywnie państwa zaskoczą. /©©

Barbara Nałęcz-Nieniewska – z zawodu reżyserka filmowa, absolwentka Szkoły Filmowej w Łodzi oraz New York Film Academy w USA. Reżyseruje filmy animowane, dokumentalne i fabularne, tworzy ilustracje graficzne. Jako członek Klubu Jagiellońskiego współtworzy program „Rzeczpospolita nie tylko polska”, – opowiadający o wspólnocie narodów będących niegdyś częścią Rzeczypospolitej

W biznesie Arkadiusz Muś jest spełniony. Według „Forbesa” znajduje się w pierwszej dziesiątce najbogatszych Polaków. Założyciel i prezes Fundacji Wolności Gospodarczej od dawna jest wśród liderów polskiej przedsiębiorczości. Jego 15 fabryk pod szyldem Press Glass, produkujących szyby zespolone, działa w kilku miejscach świata i, niezależnie od okoliczności ekonomicznych, przynosi dochody.

Nazwisko polskiego biznesmena połączyło się na trwałe z golfem po śmiałej inwestycji w 2004 roku w pole Rosa Private Golf Club, po południowo-zachodniej stronie Częstochowy, 14 km od miasta, wieś Konopiska, blisko trasy A1. Z gabinetu szefa (zresztą przy ulicy Golfowej) na najwyższym piętrze przez wielkie (zespolone) szyby pięknie widać wystrzyżone fairwaye, błyszczące jeziora oraz bogatą zielen liczących drzew i krzewów. Z dachu widok jest jeszcze bardziej efektowny.

Pasja do golfa popchnęła byłego prawnika, asesora w prokuraturze, zmienionego w latach 90. w odważnego biznesmena, do budowy na kilkudziesięciu hektarach niezbyt żyznej ziemi pola bezkompromisowego. Wody jest na nim mnóstwo, tak samo jak strategicznych bunkrów (w sumie 117), pochyłości terenu i solidnych drzew wielu gatunków. Takie przeszkody należy brać w grze na poważnie, nawet jeśli wyglądają z pozoru niewinnie, jak wyjątkowo urozmaicony park. Architekt Hans-Georg Erhardt z firmy Golf & Land Design, w Polsce znany też z prac dla Amber Baltic GC i Przytok GC, wykonał dobrą robotę, zachowując przy okazji wysokie amerykańskie normy takich projektów. Arkadiusz Muś mówi, bez fałszywej skromności, że ma za oknami biura „chyba najlepsze pole golfowe w Polsce” i wiele osób chętnie się z tym zdaniem zgodzi.

O pole Rosa GC dba od lat zespół greenkeeperów, czyli wyspecjalizowanych fachowców od utrzymania tych hektarów uporządkowanej zieleni w stanie zarówno oznaczającym wyzwania, jak i dającym przyjemność gry oraz, to też ważne, naturalny wygląd cieszący oko. Z powodu tej dbałości i niespecjalnie wielkiej liczby członków klubu oraz gości (czyli pobieranych od nich opłat), także z powodu surowych polskich regulacji prawnych dotyczących podatków od nietypowych posiadłości sportowych takich jak pola golfowe, właściciel od lat w zasadzie dopłaca do tego interesu, co tłumaczyć można tylko w jeden sposób: Arkadiusz Muś widzi we wbijaniu piłek do dołków w przyjemnych okolicznościach śląskiej przyrody znacznie więcej niż prosty interes.

Challenge numer sześć

T takich jak on, zauroczonych kilkusetletnią grą i mających możliwości budowy własnego pola golfowego wedle światowych standardów, nie ma w Polsce wielu. Przed laty podobną wizję miał Jan Wejchert, lecz nie doczekał otwarcia pola w Brześciach.

Arkadiusz Muś realizuje swe golfowe pomysły z godną podziwu konsekwencją – klub w Konopiskach ma zasłużoną renomę, właściciel zdobył jednocyfrowy handicap (handicap w golfie to miara poziomu gry amatorskiej – jednocyfrowy oznacza bardzo dobre umiejętności, zerowy – grę niemal jak zawodowiec), tylko wokół nie zobaczył szturm Polak i Polaków na budowane od początku lat 90. pola golfowe. Oczywiście dla golfistów zalety ich sportu: fantastyczny relaks, łączność z naturą, rywalizacja dająca frajdę w każdym wieku i przy każdym poziomie umiejętności, walory społeczne i kulturowe, jakoś nie przebijają się do zbiorowej polskiej wyobraźni wypełnionej stereotypami z zupełnie innej rzeczywistości.

Pomysł, by zmienić ten stan, dając rodakom możliwość oglądania w akcji niezłych zawodowców, nie jest nowy. W Polsce pierwszy turniej Challenge Tour zorganizowano już w drugiej połowie lat 90., gdy golf nad Wisłą doczekał kilku pól i paru ambitnych osób, które chciały więcej. Pierwsza edycja odbyła się w Rajszewie, na polu First Warsaw Golf & Country Club, miała nazwę Bank Pekao Polish Open i zachęcającą pulę nagród wysokości 40 tysięcy funtów szterlingów.

Złota październikowa jesień 1996 roku dopisała, grupka zapaleńców (nie tylko polskich) śledziła każdy ruch uczestników, można było przypuszczać, że ten zapal przeloży się wkrótce na większe zainteresowanie dyscypliną. Przeszkody pojawiły się szybko. Druga edycja, w 1997 roku, także w FWG&CC, została odwo-

łana z powodu powodzi, granicząca z polem Wisła wylała szeroko. W XX wieku udało się zorganizować turniej Challenge Tour na podwarszawskim polu jeszcze dwa razy: w 1998 (Warsaw Golf Open, pula 54 256 funtów) i 1999 roku (Daewoo Warsaw Golf Open, 102 564 euro).

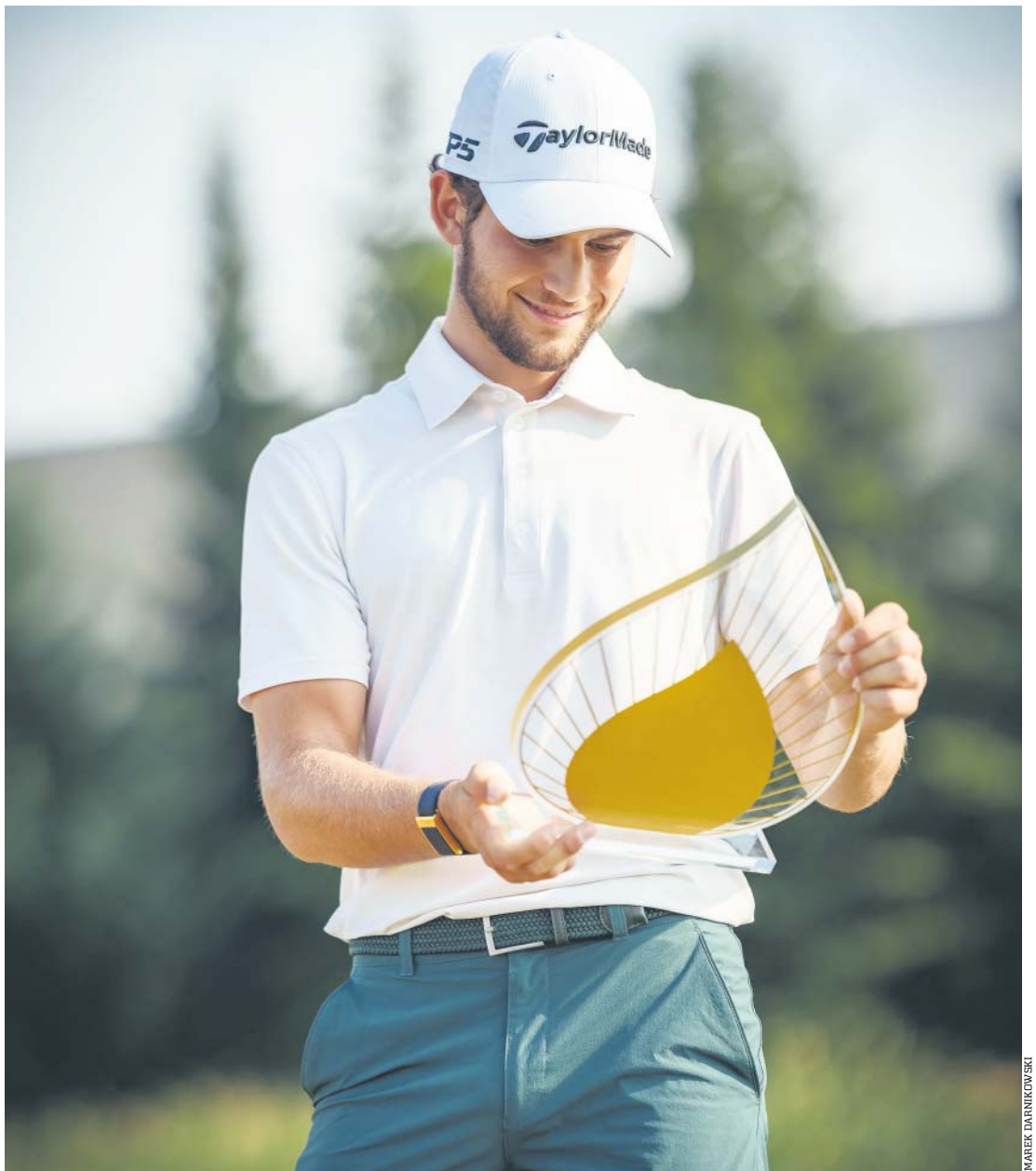
Przerwa trwała do 2008 roku, w którym działacze z klubu Toya Golf & Country Club (dziś Wrocław Golf Club) podjęli przerwane dzieło. Turniej DHL Wrocław Open 2008 z pulą 150 tys. euro wszedł do kalendarza Challenge Tour, ale przetrwał w nim tylko kolejny rok.

Po 15 latach przerwy Arkadiusz Muś postanowił zatem podjąć wyzwanie, czyli challenge numer sześć, i wrócić do idei, która wydawała się obiecująca, lecz

jedynie pięć udanych edycji w ciągu 13 lat nie dało poczucia stabilności rozwoju tej inicjatywy.

Dwa ligowe światy

Challenge Tour to druga liga zawodowego golfa w Europie. Pierwszą jest DP World Tour (jeszcze niedawno European Tour), nazwa słusznie podpowiada, że główny cykl ma ambicje globalne. Ten drugoligowy powstał w 1989 roku na trzyletnich fundamentach rozgrywek Satellite Tour i też dziś zagląda



Angel Ayora, zwycięzca turnieju Rosa Challenge Tour 2024, opuścił Konopiska z czekiem na 43 200 euro i szklanym trofeum w kształcie złotego liścia

ZŁOTY SZKLANY LIŚĆ

KRZYSZTOF RAWA

Ceniony przedsiębiorca Arkadiusz Muś, organizując turniej Rosa Challenge Tour, spełnił tęsknoty polskich miłośników szkockiej gry i ożywił nadzieje, że znajdzie się sposób, by do uroków wbijania piłek do dołków wreszcie dało się przekonać więcej rodaków.

poza Europę, do Emiratów Arabskich, RPA, Indii i Chin, ale korzenie ma na Starym Kontynencie i na razie jest do nich mocno przywiązany. Różnica między cyklami jest oczywista: Challenge Tour w 2024 roku to 29 turniejów w 18 krajach, z łączną pulą nagród przekraczającą 8 mln euro. Wychodzi średnio ponad 275 tysięcy na turniej, z wielkim finałem na Majorce, gdzie najlepsi dzielą między siebie 500 tysięcy. Rosa Golf Challenge z pulą 270 tysięcy euro to zatem regularny turniej cyklu, przy czym pełne koszty organizacji to z grubsza dwukrotność puli nagród, czyli ok. pół miliona euro.

DP World Tour to przeskok do innego świata: 44 turnieje w 28 krajach, z łączną pulą przekraczającą 148,5 mln dolarów. Cztery specjalne imprezy z cyklu Rolex Series mają dla uczestników po 9 mln dolarów, wielki finał w Dubaju, też z marką szwajcarskich zegarków w tle – 10 mln. Plus bonusy. Oczywiście swoje dodają transmisje telewizyjne i internetowe, których szczybel niżej brak.

„Zwykły” sezonowy turniej w Europie oznacza dziś średnio wypłatę 2,5 mln dolarów dla tych, którzy przetrwali dwie z czterech rund. Inaczej ujmując, większość grających w DP World Tour godziwie zarabia na życie, większość obecnych w Challenge Tour gra o przeżycie w zawodzie golfisty.

Nawet jeśli ktoś policzył, że 198 golfistów występujących od 1989 roku w Challenge Tour potem wygrało w sumie 13 turniejów Wielkiego Szlema i 581 turniejów DP World Tour/European Tour, że przez tę fazę przeszli naprawdę wielcy: Thomas Bjoern, Henrik Stenson, Tommy Fleetwood czy Brooks Koepka, to tej różnicy się nie zatrze.

Oba cykle łączy jednak ogólny zarząd i logiczne pragnienie działaczy, by gra w Challenge Tour stała się drogą awansu najzdolniejszych do bardziej prestiżowej ligi, która kreuje największe gwiazdy golfa i napędza przy okazji cały biznes wokół dyscypliny.

Cierpliwość i wiara

Czy tak się dzieje? Odpowiedź nie jest czarno-biała, najbliższej prawdy jest stwierdzenie, że na wyklucie gwiazd trzeba czasu i nie wszyscy nimi zostaną. Zwycięzcy polskich edycji Challenge Tour: niemiecki Turek Erol Simsek, Hiszpan Jose Manuel Lara, Szwed Niclas Fasth, Anglik Gary Clark i Szkot Eric Ramsay wielkich karier raczej nie mieli. Zdecydowanie najwięcej sławy zdobył Fasth, który po awansie do European Tour wygrał w tej lidze sześć turniejów, był nawet drugi w wielkoszlemowym The Open 2001 i zagrał w zwycięskiej drużynie Europy w meczu o Puchar Rydera z USA w 2002 roku.

Jednak spojrzenie na pełne listy startowe polskich turniejów dowodzi, że Challenge Tour był dla wielu cichym początkiem niemałych sukcesów. W 1996 roku bez powodzenia grał w Rajszewie Duńczyk Soeren Kjeldsen, późniejszy czterokrotny mistrz imprez European Tour, podpora duńskiego golfa. Dwa lata później w stawce pojawił się Anglik Richard Bland (był 16.), który czekał wprawdzie do ukończenia 48 lat, by wygrać pierwszy turniej European Tour (został w 2021 roku najstarszym zwycięzcą), aby potem rozwinąć skrzydła w PGA Tour i Wielkim Szlemie. Od 2023 roku skutecznie monetizuje te osiągnięcia, będąc kolegą z drużyny Adriana Meronka w saudyjskiej lidze LIV Golf.

W 1999 roku Bland był w Polsce nawet szósty, ale po latach wiemy, że najważniejszym z uczestników tamtego turnieju był w istocie Anglik Justin Rose, przyszły mistrz olimpijski z Rio de Janeiro, mistrz US Open 2013, dwukrotnie drugi w Masters, ostoja Europy w kilku edycjach Ryder Cup oraz wielokrotny zwycięzca w European Tour i PGA Tour.

Wtedy jednak śledziliśmy grę Justina („angielskiej róży” – mówiono) tylko dlatego, że jako amator był czwarty w The Open 1998. Z niemałym trudem dopiero uczył się życia zawodowca. Zajął dzielone 19. miejsce, ledwie przechodząc cięcie stawki (cut) po dwóch rundach. Jeszcze niżej, na dzielnym 36. miejscu turniej zakończył rodak Rose’a, Ian Poulter, późniejsza legenda rozgrywek o Puchar Rydera, niegdyś piąty golfista świata (12 wygranych w European Tour, 3 w PGA Tour), dziś jeszcze aktywny w LIV Golf.

Dwa turnieje wrocławskie warte były oglądania m.in. dlatego, że grali w nich Branden Grace z RPA, Austriak Bernd Wiesberger, Belg Nicolas Colsaerts, Duńczyk Thorbjørn Olesen, to postacie rozpoznawalne w światowym golfie, ale warto też pamiętać, że w 2009 roku na

pole wyszli z zawodowcami dwaj chłopcy dopiero z startkami na golfistów. Jeden nazywał się Adrian Meronk, miał 16 lat i zajął 131. miejsce; drugi, Mateusz Gradecki, miał 15 lat i był 138. na 156 startujących. Meronk zwyciężył w turnieju Challenge Tour – Open de Portugal – dopiero dekadę później, w 2019 roku, Gradecki zajął pierwsze miejsce w Limpopo Championships w 2022, więc cierpliwość i wiara w ich sukcesy były wskazane.

Chłopak od Ballesterosa

Turniej Rosa Challenge Tour 2024 wygrał Angel Ayora, rocznik 2004 (na początku października skończy 20 lat), nr 321. w rankingu światowym zawodowców, debutant w Challenge Tour. Zaledwie dwa lata temu cieszył się z awansu do drugiej setki rankingu amatorskiego, gdy jako młody, zdolny z Club de Golf La Cañada w San Roque wygrał turniej na Balearach.

Potem było jeszcze lepiej: został członkiem hiszpańskiej drużyny, która wygrała Mistrzostwa Europy Amatorów, za co mistrzowie dostali stosowne medale od Królewskiej Hiszpańskiej Federacji Golfa.

Pod koniec września 2023 roku (wciąż jako amator) wygrał w Donnington Grove Golf Club pierwszy etap cyklu kwalifikacyjnego (tzw. Qualifying School) do DP World Tour i zdobył kartę Challenge Tour. W drugim etapie zajął znakomite trzecie miejsce. Uczestniczył następnie w Spanish Open, by tuż przed trzecim etapem Qualifying School, w listopadzie 2023 roku, zostać profesjonalistą.

W tej ostatniej fazie kwalifikacji nie poszło mu tak dobrze, by zdobyć pełen dostęp do turniejów DP World Tour, ale skoro w budowie kariery pomogła mu dobrze znana w branży golfowej firma TaylorMade, która uznała, że warto zainwestować w młodego Hiszpana, to drzwi do pierwszoligowych turniejów nie zostały dlań zatrzęsnięte.

Sponsorskie wsparcie potentata w dziedzinie produkcji sprzętu oraz wysiłki agencji marketingowej All in Sports Group, w której karierą Andaluzijczyka kieruje m.in. Javier Ballesteros (syn zmarłej sławy hiszpańskiego golfa Severiano Ballesterosa), oznaczały okazje startu w DP World Tour. Nie było ich wiele, ale Angel dał radę, dotarł do rund finałowych w Mauritius Open, Australian Open, BMW International Open i Italian Open, także w jedynym starcie w najbardziej prestiżowej lidze świata – PGA Tour – w Puerto Rico Open.

W Challenge Tour przed przyjazdem do Polski spisywał się obiecująco, tydzień po tygodniu wytrwale ciału punkty i premie, by przed startem w Rosa Challenge Tour zajmować dziewiąte miejsce w rankingu ligi (Road to Mallorca).

Liderem turnieju został po trzeciej rundzie, miał dwa uderzenia przewagi nad Szwedem Jensem Fahrbringiem i Włochem Gregorio de Leo. Finałowa runda: 70 uderzeń, równo z turniejową normą (par) pola, wystarczyła, by Hiszpan wyprzedził rywali z ostatniej grupy, jak i kilku tych, którzy zaatakowali z dalszych miejsc.

Opuścił Konopiska z czekiem na 43 200 euro (największym w karierze), szklanym trofeum w kształcie złotego liścia oraz prawem gry w kolejnym tygodniu w turnieju DP World Tour w Szwajcarii – Omega European Masters i awansem na ósme miejsce w klasyfikacji całego sezonu. Nie dziwi, że powtarzał, jakie to szczęście grać tak dobrze pod Częstochową. Wprawdzie w Omega Masters mistrzowi z Rosy tak pięknie nie poszło, ale trzy tygodnie po wygranej w Konopiskach był czwarty w Italian Challenge Open w Monte Argentario, w klasyfikacji Road to Mallorca podskoczył kolejne dwie pozycje i jego marzenia o stałej grze w DP World Tour stają się już bardzo realne, gdyż awans do wyższej ligi zdobywa pierwsza dwudziestka z Challenge Tour. Jego trenerem i caddie’em jest Juan Ochoa, który pracował kilka lat w Polsce, trenował naszych golfistów, także Mateusza Gradeckiego.

Czy Angel będzie talentem na miarę innych hiszpańskich sław wciąż trudno orzec, ale kto oglądał finałową rundę, zobaczył, że Ayora umie nieco dalej od innych

posłać piłkę driverem, potrafi zachować chłodną głowę, gdy rywale zaczęli się zbliżać, wie, kiedy warto ryzykować i kiedy nie warto.

Kto chodził za innymi golfistami, też się nie nudził. Mógł zobaczyć jak drugiego dnia Duńczyk Christoffer Bring trafił do celu za pierwszym uderzeniem z tee. Hole-in-one, zdarzenie zawsze podnoszące adrenalinę na polu golfowym, zapisano mu na dołku nr 14, do chorągiewki było 168 metrów, wystarczyła 9-iron. Podczas trzeciej rundy emocji było chyba nawet więcej, gdy Gregorio de Leo ustanawiał rekord pola – 61 uderzeń.

Mormonów nie wzywano

Na ich tle start Polaków wypadł blado. Było ich 14, to mały rekord naszego uczestnictwa w turnieju tej rangi. Przed laty Polskę reprezentowali jedynie nieliczni zdeterminowani instruktorzy golfa, którzy mieli ambicję porównać z tymi, którzy z gry turniejowej zrobili sobie stałe zajęcie, więc szanse były nierówne. Teraz, dzięki zawodom kwalifikacyjnym, dzikim kartom i specjalnym turniejom juniorskim okazji startu dla polskich golfistów było więcej, lecz jak w 2009 roku, na efekty trzeba czekać.

W 2024 roku nikt z polskiej grupki nie awansował do gry w sobotę i niedzielę, najbliższy był rekonwalescent po operacji kolana Mateusz Gradecki (ostatecznie zajął 73. miejsce, od awansu dzieliły go dwa stracone uderzenia) i pozostaje najlepszym Polakiem obecnym w rankingu Road to Mallorca (R2M). Oznacza to 202. pozycję.

Alejandro Pedryc (240. R2M), którego droga do gry zawodowej wiodła przez grę i studia w uniwersytetach Texas Tech i Mississippi State, był 96., Marcin Bogusz 109., Michał Bargenda 117. Juniorzy zamykali listę.

Kibice jednak dopisali, nawet jeśli część z nich musiała kupić w internecie bilety (młodzież wchodziła za darmo) i, odmiennie niż w turniejach wyższej rangi, nikt im trybun z krzeselkami przy głównych dołkach nie stawiał. Chodzenie za zawodowcami po polu golfowym to jednak też duża przyjemność, nawet jeśli wspierać żadnego rodaka się nie dało.

W finałową niedzielę za najlepszymi szedł więc tłumek dawno nieoglądany na polskim polu, były brawa, okrzyki podziwu i emocji, także wiwaty na ostatnim greenie. Kto zna środowisko, widział wokół władze Polskiego Związku Golfa i stowarzyszenia instruktorów PGA Polska, dostrzegł znanych ambasadorów dyscypliny, Mariusza Czerkawskiego i Jerzego Dudka, także wiele znanych osób grających w golfa ze świata biznesu i sztuki.

Kamery telewizyjne też się pojawiły, co w turniejach Challenge Tour nie jest regułą. Gdy na pole zgodnie z obietnicą przybył w niedzielę sam Adrian Meronk (z dziewczyną) i cierpliwie pozował do zdjęć oraz podpisywał wszystko, co mu podłożono pod pisak, można było przez te chwile uwierzyć, że golf ma nad Wisłą świetlaną przyszłość.

Zawodnicy też nie mieli prawa narzekać, gdy zobaczyli zaplecze, stołówkę, urzędzenia do fachowej regeneracji zmęczonych nóg i markowe piłki na driving range’u. Dawno temu podczas jednego z turniejów w FWG&CC członkowie klubu zawiedli, więc organizator w przypływie desperacji poprosił o pomoc wspólnotę mormonów w Warszawie i ją otrzymał. Dwa autobusy pomocników w czarnych uniformach przybyły na czas i, mimo nieznanomości reguł gry, uratowały turniej. W Konopiskach mormonów

na pomoc nie wzywano. Zaangażowano wolontariuszy, o których w takich imprezach wciąż niełatwo, bo tradycja wolontariatu przy takich okazjach dopiero się buduje. Ci, którzy jednak przybyli do Rosy, spisali się wzorowo.

Arkadiusz Muś raczej jest z tych, dla których mowa jest srebrem, a działanie złotem, więc druga edycja Rosa Challenge Tour zapewne poprawi drobne niedociągnięcia pierwszej, choć wiele poprawiać nie trzeba. Wedle zapowiedzi właściciela Press Glass ma być też edycja trzecia, na tyle podpisał umowę z Challenge Tour. Trzy lata to byłby rekord trwałości takiej imprezy w Polsce. Golfiści trzymają kiuki.

ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM ZOLLEM, PRAWNIKIEM, W LATACH 1993-1997 PREZESEM TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO

W licznych wypowiedziach prezesa PiS można znaleźć myśl, że musi być jakaś komórka w społeczeństwie, która stoi ponad prawem. I ją zbudował. Jarosław Kaczyński przez osiem lat rządów PiS dyktował, co się ma w Polsce dziać. Bez podstawy prawnej.

DEMOKRACJA JEST ALBO JEJ NIE MA

ELIZA OLCZYK

Jak to się stało, że naprawiając przez 30 lat kraj po komunizmie, doszliśmy do ogromnego chaosu w wymiarze sprawiedliwości, do dwuwładzy w sądownictwie, do wielointerpretacji prawa, bo co prawnik, to ma swoją interpretację?

Bez wątplenia jest to pochodna rządów PiS. Trzeba powiedzieć, że PiS w pewnym sensie osiągnęło swój cel. Jarosław Kaczyński od lat w swoich wypowiedziach dawał do zrozumienia, że zbudowanie państwa autorytarnego jest jego celem. Robił doktorat u Stanisława Ehrlicha, który miał fatalną przeszłość, ale to nie był zły prawnik. Tyle że jego mistrzem był Carl Schmitt, twórca podstawy teoretycznej prawa nazistowskiego, który głosił, że prawo powinno być instrumentem władzy, że władza polityczna musi stać ponad prawem, a nie być ograniczona zasadami prawnymi. Ta teza jest bliska Kaczyńskiemu, w licznych jego wypowiedziach można znaleźć myśl, że musi być jakaś komórka w społeczeństwie, która stoi ponad prawem. I ją zbudował - Nowogrodzka była ośrodkiem władzy ponad prawem. Kaczyński przez osiem lat rządów PiS dyktował, co się ma w Polsce dziać, bez podstawy prawnej. Próbował to zrobić już w 2005 roku, ale to mu się nie udało, choć był blisko.

Co pan ma na myśli?

Nie mówi się o tym, ale w 2007 roku w sierpniu, czyli tuż przed awanturą z Andrzejem Lepperem, liderem Samoobrony, która doprowadziła do rozwiązania parlamentu, leżał w Sejmie po drugim czytaniu projekt ustawy o Trybunale Konstytucyjnym, który bardzo ograniczał kompetencje tego organu. Prac nie dokończono, bo skończyła się kadencja Sejmu. Gdy Kaczyński zdobył władzę w 2015 roku, to pierwszym jego krokiem był zamach na Trybunał Konstytucyjny, który mógłby zablokować utworzenie systemu autorytarnego.

Ale nie uchwalili żadnej ustawy w tej sprawie, a przecież mógł, prawda?

Zgoda, ale tutaj dała mu pretekst Platforma Obywatelska, wybierając członków Trybunału na zapas. Muszę powiedzieć, że to był fatalny krok. Zresztą prof. Andrzej Rzepliński, ówczesny prezes TK, był obecny na posiedzeniu komisji sejmowej, kiedy posłowie PO przeforsowali wybór pięciu sędziów Trybunału, choć w dwóch przypadkach kadencje ich poprzedników ewidentnie kończyły się już w nowej kadencji Sejmu.

Prof. Rzepliński wtedy protestował?

Tak. Ale posłowie PO się uparli i doszło do tego wyboru. Proszę zwrócić uwagę na bardzo charakterystyczną rzecz - 7 sierpnia 2015 roku zaczął swoje urządowanie nowo wybrany prezydent Andrzej Duda. Mógł skierować tę ustawę (mówiącą o sposobie wybierania sędziów TK - red.) do Trybunału Konstytucyjnego, bo była niezgodna z konstytucją. Nie zrobił tego. Skargę wniosła grupa posłów PiS, ale po wygranych wyborach ją wycofała. I teraz można tu odczytać jasno myśl Kaczyńskiego - trzeba opanować Trybunał, bo będziemy mogli swobodnie remontować inne organy, które są bezpiecznikami przed wprowadzeniem autorytaryzmu.

Pamiętam argumenty PiS na rzecz przejęcia Trybunału Konstytucyjnego. Mówili: zawetuje nam 500+, które my chcemy wprowadzić, i inne nasze reformy.

Z całą pewnością nie chodziło o konkretną sprawę, tylko o system. O odrzucenie demokracji. I mówienie

o tym, że demokrację liberalną zastępujemy demokracją nieliberalną. To jest bzdura. Demokracja jest albo jej nie ma. Przymiotniki są zbędne. Za PRL była demokracja ludowa i to nie była żadna demokracja.

Co pan w takim razie sądzi o demokracji walczącej? Był pan na spotkaniu, na którym premier Donald Tusk o tym mówił. Czy szef rządu słusznie poszedł w tym kierunku?

Rzeczywiście, byłem świadkiem tej wypowiedzi. Nie podoba mi się ten przymiotnik. Z drugiej strony inaczej trzeba postępować w sytuacji, kiedy chcemy naprawić coś, co zostało zepsute. Przykładowo, jeżeli mamy niekonstytucyjną Krajową Radę Sądownictwa, to nie wiem, czy przy rozwiązywaniu tego problemu metoda na TVP nie byłaby najbardziej skuteczna.

Jest pan za rozwiązaniem siłowym? Za wyłączeniem kart wejściowych do gmachu instytucji?

Tak, ale to trzeba było zrobić w grudniu ubiegłego roku. Teraz jest za późno. Jednak tak bym zrobił i z Trybunałem Konstytucyjnym, i z KRS.

Wtedy nie byłoby w ogóle Krajowej Rady.

Można by wybrać nową.

Podejrzewam, że prezydent Andrzej Duda nie powołałby nowych członków KRS, gdyby starzy zostali w ten sposób rozpuści.

No to do wyborów nowego prezydenta Krajowej Rady by nie było. Taka niekonstytucyjna i tak nie jest nam potrzebna. Obecny Trybunał Konstytucyjny też nie jest



SĘDZIOWIE, KTÓRZY POPEŁNILI TAKIE CZY INNE ŚWIŃSTEWKA ALBO BYLI BARDZO POSŁUSZNI, BĘDĄ MIELI POSTĘPOWANIE DYSCIPLINARNE, A NIEKTÓRZY Z NICH NAWET KARNE. MOIM ZDANIEM TO JEST W PORZĄDKU I TO TRZEBA ZROBIĆ

nam potrzebny. Oba te organy przez samo swoje istnienie łamią konstytucję, dlatego powinny być zlikwidowane, a w ich miejsce powołane nowe, zgodne z konstytucją. Tak rozumiem wypowiedź premiera i to jest w porządku.

Ale cofnięcie przez niego kontrasygnaty pan jednak skrytykował?

I dalej krytykuje. To jest niebezpieczne, bo każdy od czasu do czasu ma ochotę cofnąć swój podpis, lecz tego nie wolno robić. Choć oczywiście wyznaczenie neosędziego na osobę prowadzącą wybór prezesa Izby Cywilnej Sądu Najwyższego przez prezydenta jest niezgodne w ogóle z konstytucją. PiS od początku szło w kierunku likwidacji zasad demokratycznych. A ponieważ podstawową zasadą demokracji jest podział władzy, trzeba było ten organ, który stał najbardziej na straży podziału władzy, czyli Trybunał Konstytucyjny, spacyfikować. Jeszcze do 2016 roku, czyli do końca kadencji Andrzeja Rzeplińskiego, było im trudno. Ale już wtedy premier Beata Szydło nie publikowała orzeczeń Trybunału.

Mówiła, że to nie są orzeczenia Trybunału, tylko grupy sędziów, bo zostały podjęte w niepełnym składzie.

Zgadza się, Trybunał wtedy już zaczął blokować sędziów - dublerów. Rzepliński nie dopuszczał ich do udziału w posiedzeniach. Po odejściu prof. Rzeplińskiego już nie było żadnej przeszkody, by przejąć Trybunał Konstytucyjny. Drugim bezpiecznikiem była niezależność wymiaru sprawiedliwości, niezależność sądów i niezawisłość sędziów. Na straży tej niezależności stoi Krajowa Rada Sądownictwa. No więc trzeba było ją opanować. W 2017 roku wpłynął do Sejmu projekt ustawy o KRS, w którym zmieniono sposób wyboru jej członków. Są w konstytucji wymienione podmioty, które z urzędu wchodzi w skład Krajowej Rady, czyli I prezes Sądu Najwyższego, minister sprawiedliwości, przedstawiciel prezydenta i prezes Naczelnego Sądu Administracyjnego.

Tego PiS nie mogło zmienić, bo musiałoby zmienić konstytucję.

Tak samo nie mogli zmienić przepisu, że w skład Krajowej Rady wchodzi czterech posłów wybieranych przez Sejm i dwóch senatorów wybieranych przez Senat. Ale 15 sędziów zgodnie z konstytucją to mają być osoby wyłonione spośród sędziów przez sędziów. Krajowa Rada Sądownictwa powstała w wyniku rozmów przy Okrągłym Stole. W kwietniu 1989 roku, czyli po podpisaniu porozumień okrągłostołowych, została wprowadzona do konstytucji. A pomyślana była jako reprezentacja sędziów. Do 2017 roku sędziowie wybierali tę piętnastkę członków KRS. A PiS zdecydowało, że tę reprezentację będzie wybierał Sejm. Zatem władza legislacyjna została wprowadzona na pole władzy sądowniczej. Czyli znowu poszliśmy o krok dalej w likwidacji podziału władzy. Tę ustawę przedstawiał w Sejmie poseł Stanisław Piotrowicz, dzisiejszy sędzia Trybunału, który wówczas wypowiedział jedno bardzo ważne zdanie - że sędziowie są sługami państwa. Tylko uczeń Carla Schmitta może takie zdanie wypowiedzieć. Bo w państwie demokratycznym sędziowie są sługami prawa, a nie państwa. Od 2018 roku Krajowa Rada Sądownictwa stała się posłuszną dyrektywom politycznym płynącym z Nowogrodzkiej. Bez kamuflażu.

Konieczność zmian uzasadniano również tym, że w sądownictwie funkcjonowało towarzystwo wzajemnej adoracji - sędziowie wybierali członków KRS, a potem ci awansowali tych, którzy ich wybrali. Było coś w tej argumentacji?

Zmiany trzeba było jakoś uzasadnić, nie tylko stwierdzeniem, że sędziowie mają być sługami państwa. Dodano zatem narrację, którą pani przytoczyła, ale nie było na to żadnych dowodów. Nie wykluczam, że można było znaleźć jakieś poszczególne przypadki kumoterstwa. Ale sama konstrukcja była dobra, gwarantowała niezależność sądów, a o to chodziło. Ten system dobrze funkcjonował.

Zapadały jednak wyroki, które bardzo bulwersowały społeczeństwo, np. w procesach dotyczących stanu wojennego albo wydarzeń na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku. Sądy orzekały wyroki w zawieszaniu, choć w jednym i drugim wydarzeniu zginęli ludzie.

Zgoda. Szczególnie bulwersujący był wyrok dotyczący jednej z osób bardzo aktywnie zwalczającej opozycję w okresie stanu wojennego. Ta osoba została uniewinniona i to w Sądzie Najwyższym. Nie jestem w stanie powiedzieć, jakie mechanizmy zadziałały w tej konkretnej sprawie, ale zawsze się znajdzie jakiś indywidualny przypadek,

który budzi wątpliwości. W tamtym przypadku trzeba było uruchomić postępowanie dyscyplinarne wobec sędziów, którzy brali udział w wydaniu tego wyroku.

Sędziów Sądu Najwyższego?

Dlaczego nie? Po to jest postępowanie dyscyplinarne, żeby pociągać do odpowiedzialności osoby, które łamią prawo. A to na pewno było złamanie prawa. W każdym razie trzeba było to zbadać.

Z całą pewnością pojedyncze przypadki nie mogą jednak prowadzić do zmiany całego systemu i jego upolitycznienia. Tymczasem minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro tak to urządził, że sądami kierowały przede wszystkim osoby, które miały być gwarantami prowadzenia wymiaru sprawiedliwości zgodnego z polityką. Do tego włączył się jeszcze Trybunał Konstytucyjny. Nowo wybrana Krajowa Rada Sądownictwa wysłała do TK wnioski o stwierdzenie, czy ustawa, na mocy której została powołana, jest zgodna z konstytucją. I oczywiście Trybunał uznał, że wszystko jest w porządku.

Dlaczego to zrobiono?

Spodziewano się ataku na tę ustawę, więc potwierdzono jej legalność w Trybunale Konstytucyjnym.

Co z tego wszystkiego teraz wyniknie?

Teraz mamy próby odwracania tego wszystkiego i dopiero teraz widzimy, jak cały system został zabetonowany przez poprzednią władzę. Powołano Izbę Dyscyplinarną Sądu Najwyższego obsadzoną wyłącznie przez osoby podyktowane przez ministra Ziobrę. To był taki specjalny sąd, co jest w Polsce zakazane.

Dlaczego specjalny?

o bo to nie był sąd w ramach struktury Sądu Najwyższego, miał cechy odrębne, a jego członkowie mieli wyższe pensje niż sędziowie SN. Na żądanie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej zlikwidowano tę izbę w taki sposób, że jej członkowie mogli sobie wybrać, do jakiej izby mają być przeniesieni jako sędziowie Sądu Najwyższego. Niektórzy poszli w stan spoczynku, choć mieli ledwie po 40 lat. A potem władza powołała dwie nowe izby – Kontrolę Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych oraz Odpowiedzialności Zawodowej. Obie zostały obsadzone przez neosędziów i mają polityczny charakter. Przy czym jedna z tych izb decyduje o ważności wyborów. Od 1993 r. o ważności wyborów decydowała Izba Pracy Sądu Najwyższego, a PiS przekazało to Izbie Kontroli Nadzwyczajnej, do której dało swoich ludzi.

Uważa pan, że orzekała niewłaściwie w sprawie ważności wyborów?

Nie, tego zarzutu postawić nie mogę. Ale troszkę był strach, że może wybory październikowe mogą być zakwestionowane. Choć państwo należące do Unii Europejskiej jednak na to sobie pozwolić nie mogło. Ale dzisiaj mamy problem z decyzją Państwowej Komisji Wyborczej. Będzie ją oceniała Izba Kontroli



JEŻELI MAMY NIEKONSTYTUCYJNĄ KRAJOWĄ RADĘ SĄDOWNICTWA, TO NIE WIEM, CZY PRZY ROZWIĄZYWANIU TEGO PROBLEMU METODA NA TVP NIE BYŁABY NAJBARDZIEJ SKUTECZNA

Nadzwyczajnej i nie wiemy, jak zdecyduje. A system powinien być tak skonstruowany, żeby decyzje sądów nie budziły wątpliwości. Nikomu do głowy nie może wpaść, że Sąd Najwyższy może być manipulowany czy podporządkowany politycznie. I do tego wszystkiego mamy status neosędziów, to znaczy tych, którzy zostali powołani lub awansowani na wniosek KRS, która jest sprzeczna z konstytucją niezależnie od tego, co orzekł Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej. Ci wszyscy sędziowie awansowali, co było niezgodne z konstytucją, i prezydent nie powinien podpisywać im nominacji. Stąd jest ten cały bałagan.



Andrzej Zoll – prawnik i nauczyciel akademicki, profesor nauk prawnych, profesor zwyczajny Uniwersytetu Jagiellońskiego, w latach 1991–1993 przewodniczący Państwowej Komisji Wyborczej, w latach 1989–1997 sędzia, a w okresie 1993–1997 prezes Trybunału Konstytucyjnego, od 2000 do 2006 roku pełnił funkcję rzecznika praw obywatelskich

A propozycja ministra sprawiedliwości Adama Bodnara – cofnięcie wszystkich awansów od 2018 roku – jest w porządku?

Moim zdaniem tak. Skoro KRS jest niekonstytucyjna, to te nominacje też są niekonstytucyjne.

Nie sądzi pan, że trąci to odpowiedzialnością zbiorową?

Nie, ponieważ sędziowie, którzy otrzymali nominacje po ukończeniu szkoły, nie są uznawani za neosędziów. Jest ok. 1600 osób awansowanych. I z tego ok. 900 do 1000 osób ma wrócić na poprzednie stanowisko. Oni mogą od razu stanąć do konkursu, który będzie rozstrzygała prawidłowo uformowana Krajowa Rada Sądownictwa. Natomiast ok. 500 osób będzie miało postępowanie dyscyplinarne.

Środowisko sędziowskie jest w tej chwili bardzo skłócone. Między sędziami panuje taka sama nienawiść jak między politykami. Wyobraża pan sobie, że tzw. neosędzia, który wystartuje w konkursie na wyższe stanowisko, ma szanse je uzyskać?

Nie wykluczam tego. Przeciwnie w tych wyższych sądach będzie brakowało sędziów. Oni tam muszą pozostać, jeżeli nie ma do nich zastrzeżeń.

No to po co to wszystko? Czy chodzi o upokorzenie człowieka?

Nie chcemy, żeby były niesnaski między sędziami. Ale te osoby nie postąpiły fair, występując do Krajowej Rady o awans, a wiedząc, że jest to organ niekonstytucyjny. Za taki czyn trzeba odpowiedzieć. Zatem nie uważam, żeby to była jakaś dyskryminująca dolegliwość. Natomiast ci, którzy popełnili takie czy inne świństwo albo byli bardzo posłuszni, będą mieli postępowanie dyscyplinarne, a niektórzy z nich nawet karne. Moim zdaniem to jest w porządku i to trzeba zrobić.

Czy uważa pan, że możliwe jest wyłonienie Trybunału, który będzie uznawany przez wszystkich?

Jest bardzo dobra ustawa, która została ostatnio przyjęta przez Sejm po poprawkach Senatu. Prezydent jej nie podpisze, to jest zupełnie oczywiste. Mam pewne uwagi do tej ustawy, ale ona idzie w dobrym kierunku. Przede wszystkim jest na nowo zbudowana procedura wybierania sędziów Trybunału. Kandydatem nie może być osoba, która mniej niż cztery lata przed wyborem była członkiem

partii, zajmowała stanowisko w rządzie lub pełniła inne funkcje publiczne np. prezesa NIK. To jest bardzo dobre sito. Poza tym kandydaci muszą uzyskać trzy piąte głosów w Sejmie. A więc też i opozycja miałaby głos decydujący. Dopóki nie będzie następcy, to przedłuża się kadencję sędziego, który ma być zastąpiony.

Senat wprowadził do tej ustawy poprawkę, że jeżeli w ciągu 14 dni wybrany sędzia nie zostanie zaprzysiężony przez prezydenta, to może zaprzysięć się w pewnym sensie sam, za pośrednictwem notariusza. Czy to nie jest ograniczenie konstytucyjnej prerogatywy prezydenta?

Jeżeli prezydent nie chce skorzystać ze swojej prerogatywy, to trudno. Choć muszę pani powiedzieć, że jestem przeciwko temu rozwiązaniu. Rozumiem, że to jest pokłosie 2015 roku, kiedy prezydent odmówił przyjęcia ślubowania od sędziów wybranych przez Sejm kończący kadencję, tylko przyjął ślubowanie od tzw. dublerów wybranych w nowym Sejmie. Wtedy pojawił się taki pomysł, żeby ta trójka wysłała poświadczony przez notariusza ślubowanie do prezydenta. Jednak to jest nieeleganckie rozwiązanie.

Czy pana zdaniem obecne rozliczenia z tzw. neosędziami są adekwatne do ich przewinień? Po okresie komunizmu sędziowie nie zostali rozliczeni. Wymiar sprawiedliwości nie został zdekomunizowany.

Jak już mówiłem, byłem przy Okrągłym Stole i decyzja w tej sprawie zapadła przy podstoliku prawniczym. Udało nam się przeforsować lustrację prokuratorów, w której wyniku 20 proc. ludzi wyleciało z zawodu. Dokonaliśmy też lustracji Sądu Najwyższego. To był najbardziej upolityczniony sąd, w którym obowiązywała kadencyjność. Sędziowie byli wybierani na pięć lat i jeżeli byli „grzeczni”, to Biuro Polityczne zatwierdzało ich na następne pięć lat. W wyniku tej lustracji w Izbie Karnej zostało dwóch sędziów z 27. Reszta została wyrzucona. Izba wojskowa też została wyrzucona prawie w całości. Natomiast w Izbie Cywilnej wyrzuconych było mniej, bo ona nie była nadmiernie upolityczniona. Inna była sytuacja z sędziami sądów powszechnych. Wyszliśmy z założenia, że sami sędziowie w postępowaniach dyscyplinarnych się oczyszczą. Z dzisiejszej perspektywy było to bardzo naiwne. Ale trzeba sobie wyobrazić sytuację, że w drodze takiej lustracji wyeliminowalibyśmy 50 proc. sędziów orzekających w sprawach karnych. Co byśmy zrobili ze sprawami karnymi?

Może wystarczyłoby wyrzucić 20 proc. sędziów, tak jak prokuratorów?

Ale skąd byśmy tych sędziów wzięli później? I co zrobić z wyrokami przez nich wydanymi? Unieważnić?

Minister Bodnar znalazł sposób – wszystkie wyroki są ważne. Zatem nie było to chyba takie trudne.

Zgoda, ale proszę zwrócić uwagę, że to był 1989 rok. Mieliliśmy bardzo ograniczony margines działań. Dlatego zdecydowaliśmy, żeby nie ruszać sędziów sądów powszechnych. Dziś to już nie jest problem, bo większość tych sędziów nie orzeka. PiS używa tego argumentu propagandowo. Oczywiście, w latach 90. to był problem. Ale myślę, że trzeba zawsze jakąś cenę zapłacić przy takich zmianach.

W rezultacie sądownictwo po 1989 roku zostało praktycznie nieruszone, za to po ośmiu latach rządu PiS chce się je przeorać i wyrzucać ludzi.

Wyrzucać nie, bo przechodzą na dawniej zajmowane stanowisko. A wobec tych, którzy złamali etykę zawodu sędziowskiego, zostaną wdrożone postępowania dyscyplinarne.

Czy środowisko sędziowskie nie zostanie na amen skłócone, jeżeli jedni sędziowie będą decydowali o degradacji albo o wyrzuceniu innych sędziów z pracy?

To nie inni sędziowie będą o tym decydowali, tylko odbędzie się to na mocy ustawy. Są wśród sędziów osoby, które mają na sumieniu bardzo brzydkie rzeczy. Wyroki, komisje dyscyplinarne itd. Dużo jest takich osób, m.in. sędzia Małgorzata Manowska, i prezes Sądu Najwyższego.

Uważa pan, że prezes Manowska zasługuje na to, żeby ją usunąć z zawodu?

Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Nie powinna być już w ogóle sędzią.

MAGDALENA KAWALEC-SEGOND

Naukownicy odkryli, że tlen może powstawać bez udziału organizmów żywych.

Skoro tak, to nie ma co go wypatrywać w kosmosie w nadziei, że naprowadzi nas na ich ślady.



DENNA WIADOMOŚĆ DLA POSZUKIWACZY ŻYCIA

Natura naszej planety jest przebogata i nieodkryta, stąd o wywrócone paradygmaty w szkolnym gabinecie do przyrody też się już można przewrócić. Do najbardziej spektakularnych w tym roku, a ośmieliłabym się twierdzić, że i w dekadzie, należy niedawne odkrycie, że tlen może na Ziemi (a więc na każdej innej skalistej i posiadającej wodę planecie we wszechświecie) powstawać całkowicie abiotycznie. Mianowicie dzięki aktywności skupisk minerałów zwanych kongregacjami polimetalicznymi, leżących sobie spokojnie na dnie Pacyfiku. Choć niekoniecznie tylko tam.

Owo odkrycie ma potencjalnie kolosalne skutki nie tylko dla naukowców, ale i obrońców środowiska oraz... producentów smartfonów czy elektrycznych samochodów.

Kluczowe zdolności pewnych bakterii

Tlen stanowi dziś niemal 21 proc. składu atmosfery ziemskiej, jest dobrze rozpuszczalny w wodzie, aczkolwiek znacznie lepiej w zimnej niż w ciepłej. Stąd lato jest okresem niedotlenienia zbiorników wodnych, zwłaszcza przydennie – bo przenikanie tlenu z powietrza do wody odbywa się jedynie na granicy styku. Niedotlenienie zbiorników ma miejsce zatem i wtedy, gdy lód skuje ich powierzchnię, uniemożliwiając natlenianie wody. Wody na szczęście zupełnie naturalnie się mieszają, woda bowiem najgęstsza, a zatem najcięższa jest, gdy ma 4 stopnie Celsjusza, takowa więc musi opaść na dno, co powoduje nieustający ruch.

Odkrycia, że istnieje „ciemny tlen” abiotyczny (na razie formułowany jako wynika z obserwacji i wyli-

czeń hipoteza do dalszych wnikliwych badań), dokonali współpracujący ze sobą oceanolodzy, geochemicy i elektrochemicy z wielu prominentnych ośrodków brytyjskich, amerykańskich i niemieckich, pod kierunkiem Andrew K. Sweetmana. Oznajmili o tym na łamach „Nature Geoscience” pod koniec lipca tego roku. Ich odkrycie ma liczne konsekwencje natury naukowej i praktycznej, ale przede wszystkim oznacza, że tlen w zbiornikach wodnych, tak niezbędny do przeżycia gigantycznej biomasie tam żyjącej, nie pochodzi li tylko z atmosfery oraz fotosyntezy prowadzonej przez glony i inne rośliny wodne.

Dotychczasowy paradygmat powstawania cząsteczkowego tlenu, kultywowany przez geochemików, biochemików, kosmologów, biologów od uniwersyteckich katedr aż po szkołę powszechną głosił, że każda kropla wody spadła na naszą planetę z kosmosu, ale każda cząsteczka tlenu powstała z tej wody na drodze aktywności żywych komórek.

Trudno powiedzieć, jakie były te żywe komórki najprawdawniej. Mikropaleontologia wciąż spiera się z innymi naukami czy jakieś mikroskamieniałości są pozostałościami po żywych komórkach, czy jednak po czymś całkiem nieożywionym. Ziemia powstała jakieś 4,5–4,6 mld lat temu, a życie zaczęło na niej istnieć w sposób dla nas dziś „do odkrycia” jakieś 900 mln lat później. Szacuje się to dzięki trzem źródłom: z danych mikropaleontologicznych, analizy tzw. zegara molekularnego, którego kołami zębatymi są mutacje w bardzo silnie konserwowanych fragmentach DNA różnych żyjących dziś organizmów, oraz właśnie analizy pojawienia się tlenu atmosferycznego w najdawniejszych epokach geologicznych. Co oznacza, że najnowsze odkrycie niektóre z tych wliczeń może postawić pod sporym znakiem zapytania.

Najwcześniejsze wyraźne dowody życia pochodzą z liczących sobie bagatela 3,7 mld lat biogenicznych

sygnatur węglowych (to taki dość szczególnie grafit) i skamieniałości buł stromatolitowych (zaraz wyjaśnię, co to za twór, bo dla tej opowieści będzie on kluczowy) odkrytych w skałach osadowych zachodniej Grenlandii. Niecałą dekadę temu potencjalne „pozostałości życia” znaleziono w liczących sobie 4,1 mld lat skałach w Australii Zachodniej. Opowieści o wcześniejszych formach życia (skamieniałe mikroorganizmy w osadach z komińców hydrotermalnych z wschodniego wybrzeżu Zatoki Hudsona w kanadyjskim Quebecu) sprzed 4,28 mld lat, czyli niedługo po uformowaniu się oceanów 4,4 mld lat temu, są, jak to bywa w tej nauce, kwestionowane.

Najdawniejsza epoka geologiczna naszej planety zwie się archaikiem. Jeśli coś wtedy żyło, to... niekoniecznie do dziś wyzdychało. Były to bowiem mikrobiologiczne maty współistniejących bakterii i archeonów (te ostatnie jednokomórkowce podobnie jak bakterie nie mają jądra komórkowego, ale w wielu biochemicznych aspektach przypominają bardziej nasze komórki niż bakteryjne). To w tym środowisku przebiegały główne etapy wczesnej ewolucji życia na Ziemi. Nie ma zaś trwalszej wobec wszelkich przeciwności formy życia niż jednokomórkowce – bakterie były tu na długo przed nami i będą tu po nas, aczkolwiek ewoluują bardzo szybko. Dla niniejszej opowieści najistotniejsza będzie zdolność pewnych pradawnych bakterii – zwanych dziś sinicami – do fotosyntezy, której zaistnienie szacuje się na jakieś 3,5 mld lat temu.

Dlaczego to ważne? Po pierwsze, już wspominałam o bułach stromatolitowych – to są właśnie formacje budowane przez żyjące w gigantycznych koloniach sinice. Potrafią skamieniać i być dla nas świadkiem pradawnej przeszłości. Po drugie zaś – istotnie to właśnie te niewielkie bakterie wykształciły i posiadają do dziś zdolność do wychwytywania energii słonecznej i wykorzystywania jej do asymilacji dwutlenku węgla z atmosfery.

Za mało czasu na to wszystko

Gdy jednak uczymy się o fotosyntezie w szkole, nie mówi nam się wiele o jej kluczowym elemencie, wyjaśnianym w szczegółach dopiero na studiach. Mianowicie, że to, co energia słoneczna w istocie robi dzięki zielonemu barwnikowi zarówno sinic, jak glonów i innych roślin, zwanemu chlorofilem, nazywa się fotolizą wody. Foton rozbija cząsteczkę wody na wodór (niezbędny dalej do asymilacji dwutlenku węgla) i zupełnie zbędny, a nawet szkodliwy tlen, którego zielone komórki się pozbywają, ile muszą.

Nie, to nie pomyłka – tlen jest jedną z najbardziej zabójczych, szkodliwych i... postarzących substancji na świecie, co wie każda niewiasta wklepująca w skórę krem przeciwzmarszczkowy „zwalczający wolne rodniki”, czyli właśnie tlen w swej najaktywniejszej formie. Sinice zatem ewolucyjnie zaistniały i zaczęły się mnożyć, bo zdołały się uniezależnić od źródeł pokarmu (dwutlenek węgla był w atmosferze aż w nadmiarze, a słońce świeciło). Całe swoje ciała mogły budować z redukcji atmosferycznego CO₂. W konsekwencji ilość produkowanej przez nie tlenowej trucizny tak w wodzie, jak w atmosferze zaczęła rosnać. Nie bez konsekwencji. Po pierwsze, jak każda trucizna, tlen w pewnym stężeniu zaczął wybijać wszystko, co wokół niego nie umiało sobie z nim poradzić. Po drugie, drastycznie oziębził się klimat. Rzecz cała nosi nazwę „wielkiej rewolucji tlenowej”.

Jak to? Przecież w szkole uczą, że bez tlenu nie ma życia! To niekoniecznie cała prawda. Istnieją beztlenowe mikroorganizmy (tlen je zabija, stąd skuteczność wody utlenionej na rany, aby zapobiegać zakażeniu beztlenowcami). Są też wielokomórkowe stworzenia, które wtórnie przestały zależeć od oddychania tlenowego (tasiemce, nasze własne mięśnie w stanie wzmożonego wysiłku...). Choć istotnie, świat po wielkiej rewolucji tlenowej był pobożewiskiem, na którym życie wykazywały albo organizmy zdolne się przed tlenem schować (choćby głęboko w muł), albo te zdolne coś z nim zrobić.

Po wielu próbach i błędach pewne bakterie, najbardziej podobne do dzisiejszych roznoszonych przez wszy riketsji wywołujących prawdziwy tyfus, zdołały jakoś „ogarnąć temat”. Do tego stopnia, że ostatecznie wykorzystują tlen do „spalania” w nim wydajnie swojego pokarmu (to się nazywa oddychanie tlenowe). Fermentacja bowiem czy rozpady beztlenowe dostarczają z tej samej cząsteczki cukru znacznie mniej energii niż „spalenie” jej w tlenie.

Ostatecznie oba wspomniane typy bakterii, poczynając od tych radzących sobie z tlenem, znalazły się – na drodze bycia pożartym i niestrawionym lub aktywnego zakażenia gospodarza, jak to w tyfusie – we wnętrzu przodków naszych komórek. Od pierwotniaków i grzybów po rośliny i zwierzęta, komórki wyposażone w jądro komórkowe posiadają je i dają w spadku swoim komórkom potomnym jako tzw. mitochondria (oddychające tlenem) i – tylko u roślin – chloroplasty (fotosyntetyzujące).

Zagadnienie to tytułuje się w naukach przyrodniczych jako teorię endosymbioz. Zasadniczo niemal wszystko, co na Ziemi żyje i ma jądro w komórkach (tzw. eukarionty), ma też mitochondria i oddycha tlenowo. Jak to bywa w uzależnieniach, trucizna – tlen – stała się im niezbędna do życia. Część tych komórek – i to kilkakrotnie – nabywała też zdolności do fotosyntezy, stąd tlen produkują dziś nie tylko sinice, ale wiele pierwotniaków, glony oraz wszelkie inne rośliny zielone. I dlatego właśnie tlen zaczął życie na Ziemi warunkować, zamiast mu zagrażać. Stąd także kojarzy się z istnieniem życia, bo to żywe fotosyntetyzujące komórki go tworzą. Sądziłyśmy dotąd, że wyłącznie one.

Uważano, że przed fotosyntezą czy innymi biotycznymi procesami wytwarzającymi tlen, na Ziemi po prostu nie było, ergo jego zarejestrowanie gdzieś we wszechświecie – choćby metodami spektroskopowymi – oznacza, że tam jest życie.

Oczywiście, takie postawienie sprawy już od dawna wiązało się z różnymi ograniczeniami. Pierwsze dwa są natury filozoficznej. Nie trzeba czytać Lema, by być sobie w stanie wyobrazić, że życie nie musi być ani komórkowe, ani oparte na DNA jako materiale genetycznym i białkach jako budulcu oraz enzymach, nie musi wymagać energii pochodzącej z lokalnej gwiazdy, nie musi znać fotosyntezy ani oddychania etc. Nasze ziemskie życie jest chwilowo jedynym, które znamy, uważając go za modelowe to jednak spore nadużycie z wielu względów. To, jak postrzegamy życie, jego aktywność, jest ponadto w niemałej mierze wynikiem takiej, a nie innej ewolucji naszych narządów percepcji i mózgu.

Oraz taksonomii i nomenklatury, którą zajmujemy się namietnie, odkąd Bóg rzekł do Adama: „Ponazywaj je!”.

Kolejne zastrzeżenia budzi fakt, że początki pojawiania się tlenu według dotychczas obowiązującej koncepcji musiałyby nastąpić już 3,5 mld lat temu, a gdy tlen cząsteczkowy nasycił wszystkie dostępne substancje redukujące na powierzchni Ziemi, nagromadził się w atmosferze około 2,4 mld lat temu. Systemy białkowo-błonowe, które dziś przeprowadzają fotosyntezę w sinicach, ergo tego tlenu miałyby dostarczać, są jednak szalenie skomplikowane. Maksymalne ich teoretyczne uproszczenie nadal daje wynik wymagający wyjątkowych warunków i grubego miliarda lat ciężkiej ewolucyjnej pracy u podstaw – zaczyna brakować czasu, żeby to się wszystko zdążyło wydarzyć.

Pożądane metaliczne kartofle

Aby w tym miejscu opowieść o najstarszych dziejach doprowadzić do jakiegoś końca, w proteozoiku, jakieś 1,6–1,7 mld lat temu, na Ziemi pojawiły się według mikropaleontologów nie tylko niewątpliwe eukarionty (znane z formacji Deonar w Indiach), ale też organizmy wielokomórkowe. Oznacza to, że endosymbioza bakterii będących dzisiejszymi mitochondriami (wydaje się jednostkowe wydarzenie w całej historii życia na Ziemi, a przynajmniej u początków tego życia, które trwa do dziś) musiała nastąpić wcześniej, aczkolwiek trudno z pewnością powiedzieć, kiedy dokładnie. Wielka rewolucja tlenowa według geochemików i geofizyków to też 2, a nie 2,4 mld lat temu. Potem anomalie stężenia tlenu w atmosferze owiane dziś nadal mgłą tajemnicy co do swej genezy mają miejsce jakiś miliard lat temu. Od 400 mln lat mieliśmy mieć na naszej planecie stężenie tlenu mniej więcej takie, jak dziś.

Problem w tym, że aby to wszystko ustalić, naukowcy wykorzystali metodę pomiarów izotopów węgla w węglanach (ze skał wapiennych – to taki uwieziony dwutlenek węgla) stanowiących dna płytkich mórz różnych epok geologicznych. W ten sposób da się wyliczyć poziom fotosyntezy nawet przed milionami lat. Z tego wnioskowali, jakie wówczas panowało stężenie tlenu, tak w oceanie, jak w atmosferze. Patrząc na to dzisiejszym okiem, które właśnie dostrzegło, że tlen może być pochodzenia abiotycznego, nie tylko wątpimy w te wyliczenia sprzed kilku zaledwie lat, ale wpada nam tu do myślenia o geologicznej przeszłości Ziemi czynnik, który na razie niekoniecznie umiemy oszacować, mianowicie ów tlen z koncentracji polimetalicznych. Ile go jest dziś i ile byłoby go kiedyś, tego nie wie nikt.

Leżą sobie na dnie jakieś 4, a nawet 6 tys. m pod powierzchnią wody, w całkowitej ciemności grudki metaliczne, okruchy skalne wielkości wisienki albo i kartofla, zasadniczo zawierające mangan i wiele innych metali, takich jak: żelazo, miedź, kobalt, nikiel, lit i inne metale ziem rzadkich. Stąd się ich poszukuje i intensywnie bada jako potencjalne źródło surowców do produkcji baterii. To dno usłane koncentracjami, gdzie, jak wskazują analizy, powstaje tlen, jest pozbawione organizmów fotosyntetyzujących.

Przy kominach podmorskich wulkanów, w wysokiej temperaturze i zasoleniu szczególne bakterie siarkowe umieją tam czerpać energię z procesów utleniania siarkowodoru non stop wydobywającego się z owych kominów, podobnie jak dwutlenek węgla. Żyją one w symbiozie, a dosłownie wypełniają trzewia innym organizmom, np. robakom ryftowym, którymi żywią się zbieleńce (bo po co komu kolory w ciemności) małże i kraby, stanowiące z kolei żer dla ryb węgorzycowatych. Tam nie ma fotoautotrofii, ale u podstaw piramidy pokarmowej leży bakteryjna chemoautotrofia.

W badaniach przedstawionych na łamach lipcowego „Nature Geoscience” widzimy głębinowy świat, gdzie powolutku i bez zakłóceń, spontanicznie i nieustannie, być może już od początku oceanów na naszej skalistej planecie powstaje „ciemny tlen”. Został on dostrzeżony, mimo że jako żywo fotosyntezy tam żadnej być nie może. A jednak różnorodność fauny na dnie oceanicznym na obszarach bogatych w koncentracje jest wyższa niż w najbardziej zróżnicowanych tropikalnych lasach deszczowych (jeśli ufać zapewnieniom uczonych, choć myślę, że obie te bioróżnorodności nie są jeszcze w pełni poznane). Może to oznaczać, że „ciemny tlen” jest wykorzystywany przez te zwierzęta do oddychania i niezbędny.

Mamy zatem z eksploatacją tych bezcennych metalicznych kartofli nowy problem, nie tyle techniczny, ile środowiskowy. Jeśli jakiś „nautilus” potrafiłby je nawet delikatnie pobierać z dna, coż wtedy zapewni tlen głębinowym organizmom morskimi, które ewidentnie mogą korzystać odwiecznie z tego nieznanego uczonym dotąd zasobu? Wystarczy „Degradacja środowiska” jako hasło i plakat z foczką (plakat z potwornie nieraz wyglądającymi rybami głębinowymi mógłby nie wywołać tyle współczucia) – a każda firma wydobywcza miałaby dziś pozamiatane i mogłaby się pakować, bo to nie są lata 80. XX wieku.

Złoża w formie tych tlenotwórczych grudek, potwierdzone w trakcie badań ok. 3000 km na zachód od wybrzeży Meksyku, wystarczyłyby dla całej planety na kilka dekad przy rosnącym zapotrzebowaniu. Amerykanie w sposób oczywisty szukają dziś dostępnych im złóż, aby ograniczyć konieczny, wymuszany transformacją energetyczną import, chociażby litu z Chin. Jak to bywa w takich sytuacjach – i czego sucha w swej treści publikacja naukowa z „Nature Geoscience” nie opisuje, ale uczeni dopowiadają – gdy czujniki wykazały obecność tlenu na dnie w sąsiedztwie koncentracji, uznano je za wadliwe i wymieniono. Potem nawet zmieniono metodę pomiaru i... nic. Tlen ciągle był wykrywany.

Skąd on się bierze? Pomocne nam tu będzie zrozumienie, że tak jak w wyniku działania energii słonecznej dochodzi do fotolizy wody, tak w wyniku działania energii elektrycznej może dochodzić do jej elektrolizy. W wyniku obu tych procesów tlen zawsze wydzielą się na jakimś typie anody (anodą, podobnie jak katodą może być wiele rzeczy, nie ograniczamy swojej wyobraźni do działania baterii alkalicznej, takiej z telefonu czy latarki). Już od jakiegoś czasu jest jasne, że rdza zanurzona w słonej wodzie jest źródłem elektryczności. Pytanie brzmi, czy koncentracje metaliczne na dnie oceanu, w razie stykania się w większych grupach, działałyby jak połączone szeregowo źródła energii elektrycznej.

Okazuje się, że do elektrolizy wody morskiej wystarczy napięcie 1,5 wolta, a pojedyncza solidna koncentracja z dna Oceanu Spokojnego daje niemal 1 wolt! Autorzy pracy, kierowani w tym aspekcie przez specjalistę z Northwestern University Franza Geigera, nazywają to zjawisko połączonych szeregowo koncentracji, zdolnych wytwarzać znacznie wyższe napięcie, „geobateria”.

Coś, co należałoby chronić

Co to ostatecznie oznacza? Że tlen przestaje być dobrym wyznacznikiem istnienia życia gdzieś tam w kosmosie i że mogą nam się nieco rozspać pewne datowania zjawisk zachodzących na naszej planecie w czasach, o których szalenie chcielibyśmy się dowiedzieć, czyli „na początku”. Że oddychające tlenem życie mogłoby równie dobrze powstać na dnie oceanu, gdzie leżały koncentracje metaliczne, jak w płytkich zatokach, gdzie rosły i trwały tlenem były stromatolity. Że przydenna oceaniczna fauna ma skąd czerpać tlen do życia i te zasoby należałoby chyba jednak jakoś chronić. A chrapkę na nie ma wielu, bo tlen ów powstaje dzięki elektrycznej aktywności grudek złożonych z wymieszanych ze sobą częstokroć cennych i rzadkich metali.

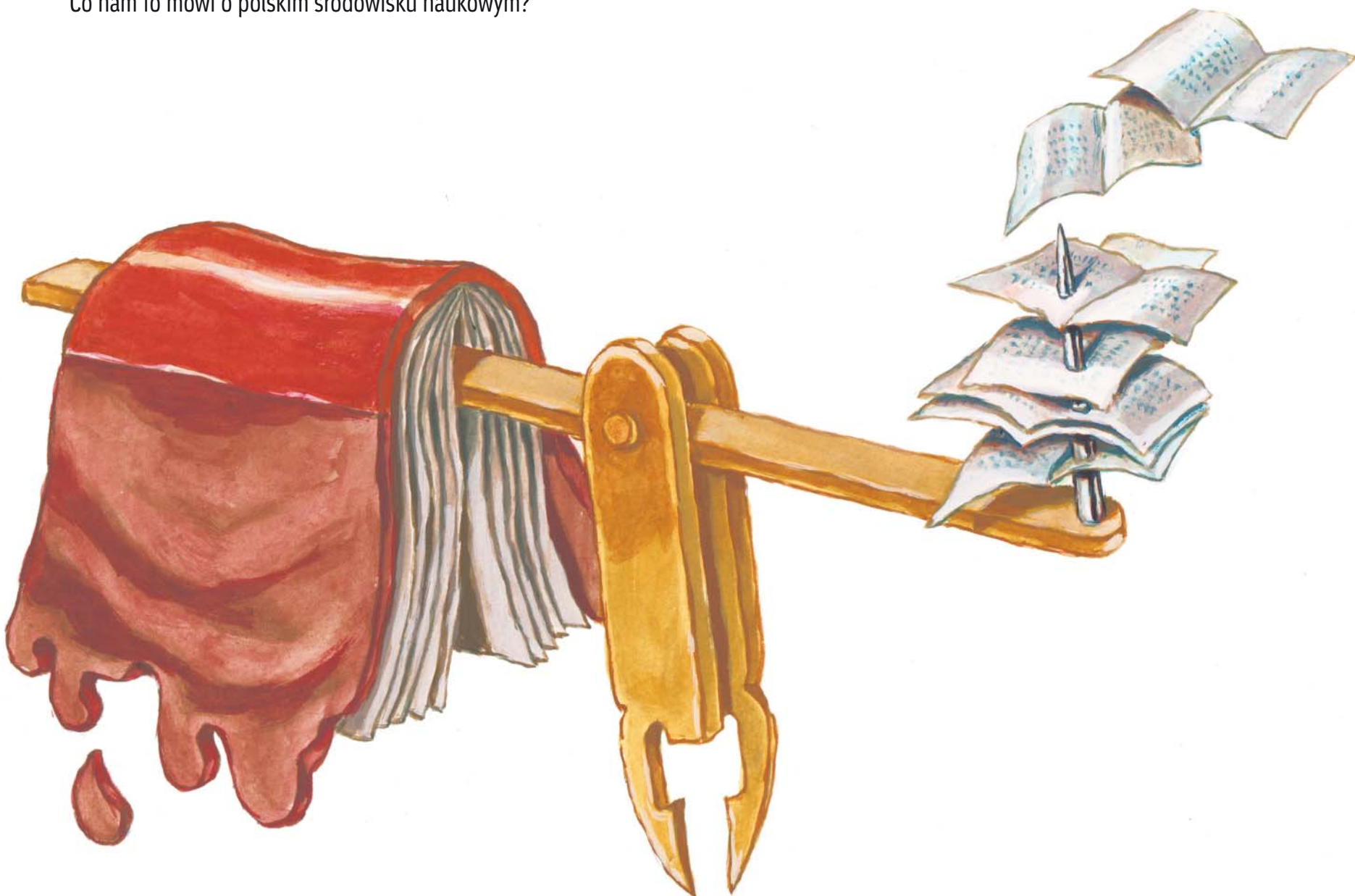
Bez tlenu dziś istotnie na Ziemi prawie nie ma życia, ale tlen bez życia już jednak na Ziemi jest.

Postscriptum

Po publikacji w „Nature Geoscience” niezależni naukowcy, głównie jednak firmy zajmujące się wydobywaniem głębinowym, wyrażają swój sceptycyzm wobec tego badania. Najsilniejszy sprzeciw pochodzi od Metals Company, która sponsorowała niektóre rejsy badawcze zespołu Andrew Sweetmana ze Scottish Association for Marine Science. W formalnej krytyce firma twierdzi, że zaobserwowany tlen można wyjaśnić uwiezionymi pęcherzykami powietrza lub przebiegiem prądu elektrycznego w głębinowym aparacie używanym przez badaczy. Kilka lat temu naukowcy z europejskiego projektu Mining-Impact2 (kierowani przez Matthiasa Haeckela z GEOMAR Helmholtz Centre for Ocean Research w Kilonii) wykonali kilkadziesiąt odczytów w polach koncentrycznych. Nie zaobserwowali żadnych oznak produkcji tlenu, chociaż nie opublikowali jeszcze swoich danych. Sprawa jest zatem, jak to się mawia podczas śledztw prokuratorskich, rozwojowa.

BOGUSŁAW NIERENBERG

Wniosek o uhonorowanie na UJ wybitnej polskiej uczoney utknął na lata. O tym, że sprawa w końcu ruszyła, nie przesądził światowej miary dorobek owej badaczki, lecz argument, że honorowe doktoraty otrzymuje zbyt mało kobiet. Co nam to mówi o polskim środowisku naukowym?



DO NAUKI TRZEBA MIEĆ NIE TYLKO GŁOWĘ

Czy polska nauka i wartości, które winna nieść, są jeszcze komukolwiek potrzebne? To pytanie w gruncie rzeczy nie jest retoryczne. Wiele lat temu mieliśmy z prof. Teresą Sasińską-Klas - koleżanką z Uniwersytetu Jagiellońskiego - odmienne poglądy w kwestii tego, czy we współczesnym świecie potrzebny jest jeszcze zawód dziennikarski. Prof. Sasińska, socjolog, zdecydowanie optowała za potrzebą tego zawodu; ja już taki pewny nie byłem. Swoją sceptycyzm brałem z powszechnego dostępu do sieci. Argumentowałem wówczas, nieco bałamutnie, że po co chodzić do lasu i zbierać grzyby, skoro każdego dnia rano ktoś dostarcza je pod nasze drzwi.

Prof. Sasińska utrzymywała jednak, że wciąż potrzebni są dziennikarze, by było komu objaśniać otaczający nas świat. Na co ja, jeszcze bardziej bałamutnie, używałem takiego argumentu: w czasach mojej młodości powszechne były piece kaflowe do ogrzewania naszych mieszkań. Zatem potrzebny był zdun, który te piece przestawiał (wyjaśniam młodszym osobom, że nie chodzi tu o przenoszenie pieca z jednego miejsca na inne; „przestawianie pieca” oznaczało jego rozebranie,

wyczyszczenie, ewentualną wymianę cięgieł szamotowych i ponowne postawienie; części składowe pieca zdun zlepił gliną). Dziś prawie nie ma pieców kaflowych, po zdunach słuch zaginął, a jednak nie marzniemy - ogrzewamy się w inny sposób. Chodziło mi o to, że za pomocą nowych sposobów komunikowania nie jesteśmy pozbawieni informacji.

Przyznaję, funta kłaków warta była ta moja kazuistyka. Po latach sam z siebie się śmieję, gdy oglądam obraz świata serwowany przez wiele ze współczesnych mediów.

Demarczyk za słaba na skwerek

Stratyfikacja społeczna uległa zepsuciu. Masy społeczne emocjonują się doniesieniami, czy jakaś piosenkarka włożyła na swój koncert bieliznę. O śpiewaku disco polo (przepraszam wszystkich prawdziwych śpiewaków za użycie tego określenia w tym kontekście) realizowane są filmy dokumentalne

ukazujące życie i „dzieło”. Pewna pani, która w przeszłości kierowała domem publicznym i siedziała w więzieniu, jest gwiazdą programów telewizyjnych.

Miliony konsumentów mediów w Polsce znają nazwiska tych postaci. Tymczasem o wielu wybitnych uczonych i ich dokonaniach wie zaledwie garstka, i to na ogół tych, którzy zajmują się daną dziedziną wiedzy. Dlaczego tak się dzieje? To publicystyczne pytanie ma sens, bo hierarchia wartości uległa przesunięciu. Pozycja społeczna zdobyta wiedzą i ciężką pracą przestała być w cenie, a znaczenia nabrały bardziej przyziemne mierniki statusu społecznego. Najczęściej są to pieniądze. Wszystko jedno, skąd pochodzą, jakie jest ich źródło, ważne, by było ich dużo. Im więcej, tym lepiej. Osoby znane z tego, że są znane, tezauryzują swoją popularność na potęgę. Właśnie przeczytałem informację o 20-letniej influencerce z TikToka, która za reklamowanie diety sokowej kupiła sobie trzy domy w Hiszpanii. Badanie przeprowadzone w 2021 r. wykazało, że prawie połowa polskich nastolatków w przyszłości widzi się youtuberką, influencerką lub tiktokerką.

Jednak nie trzeba zakrojonych na szeroką skalę badań, by pojąć, że nie służy to społecznemu rozwojowi, lecz raczej psuje społeczną hierarchię, stawiając na jej szczycie Zenka Martyniuka zamiast Ewy Demarczyk. W pewnym mieście – w sieci można znaleźć jego nazwę – urządzono plebiscyt na nazwę skwerku. Wśród kandydatów było właśnie nazwisko Ewy Demarczyk, artystki wybitnej, oraz kilka innych, które lud uznaje za artystów. Jak nietrudno się domyślić, Demarczyk przegrała. Niby-demokratycznie, bo „Vox populi, vox Dei”. Paradoksalnie autor tej myśli Karol Wielki demokratą nie był. Wręcz przeciwnie, a kolejne podboje wojenne tłumaczył potrzebą rozszerzania wiary. A jednak to właśnie ten władca gościł na swoim dworze wiele wybitnych postaci tamtego czasu (dziś nazwalibyśmy je uczonymi), których rad chętnie słuchał. Mało tego, był orędownikiem nauki i edukacji. Potrafił czytać i pisać, co w owym czasie było rzadkością, a na dokładkę znał grekę, łacinę, studiował matematykę i astronomię. Upowszechnił łacinę, w przekonaniu, że cesarstwo, by było sprawnie zarządzane, wymaga skutecznej komunikacji.

Jakoś to będzie?

O sensowności słuchania mądrych rad przekonuje lektura najdawniejszych ksiąg, jak choćby Starego Testamentu. Znajdujemy w nim opowieść o Józefie i o tym, jak objaśnił sen faraona o siedmiu krowach chudych i tłustych. Mówił do faraona: „Bo nadejdzie siedem lat obfitości wielkiej w całym Egipcie. A po nich nastanie siedem lat głodu; i pójdzie w niepamięć cała ta obfitość w Egipcie, gdy głód będzie niszczył kraj (...). Teraz niech faraon upatrzy sobie kogoś roztropnego i mądrego i ustanowi go zarządcą Egiptu. Niech faraon ustanowi nadzorców, by zebrać piątą część urodzajów w Egipcie podczas siedmiu lat obfitości (...). A będzie ta żywność zachowana dla kraju na siedem lat głodu”.

Prekognicja nie jest współcześnie uznawana za naukę. Wedle Biblii podstawą do sensownego wyводу Józefa był sen władcy, jednak rada udzielona faraonowi uratowała Egipt przed głodem. Historia naszej cywilizacji poucza, że pojęcia onegdaj traktowane ze śmiertelną powagą (np. astrologia) traciły swój naukowy status, a inne, niemające naukowej rangi (np. intuicja), taką rangę zyskiwały. Dla przykładu tak uczynili z intuicją Amos Tversky wspólnie z Danielem Kahnemanem. Na kanwie tych rozważań powstała teoria perspektywy, za którą ten drugi otrzymał Nagrodę Nobla. Tversky też zostałby nią uhonorowany, ale zmarł, zanim Komitet Noblowski docenił rangę wspomnianych badań.

Postawmy sprawę jasno: sztuka, w tym także nauka, nie jest demokratyczna. O tym, czy ktoś zagra Hamleta, nie może decydować plebiscyt wśród aktorów, tylko talent. O przyznaniu Nagrody Nobla decyduje komitet, który nie ma żadnego demokratycznego mandatu. Mało tego, Komitety Noblowskie informują o stosowanych przez siebie kryteriach dopiero, kiedy minie pół wieku od wyboru laureata.

Ale też chcę jasno podkreślić, że nie jestem przeciwnikiem demokracji. Kiedy moi rodacy, wraz z nimi ja, demokratycznie decydują o tym, która partia będzie rządzić w Polsce albo kto zostanie prezydentem naszego kraju, to ja te wyroki demokratyczne szanuję, choć czasami mi się nie podobają. Jednak kiedy ze względów raczej sentymentalnych, a może i politycznych, forsowana jest ustawa o języku śląskim, o którym prof. Jan Miodek powiada, że nie istnieje, bo to odmiana gwarowa języka polskiego z naleciałościami niemieckimi, czeskimi i morawskimi, to ja ufam raczej językoznawcy, a nie rozmaitym politykom i działaczom. I nie ma to nic do rzeczy, że akurat prof. Miodek znam, lubię i szanuję.

Mamy w Polsce pomniki nieznanym żołnierzom, i słusznie, bo to hołd złożony wielu bezimiennym, którzy oddali życie za ojczyznę. Warto jednak pamiętać o słowach mądrego prymasa Polski, kardynała Wyszyńskiego, który powiedział, że „sztuką jest umrzeć dla Ojczyzny, ale największą sztuką jest dobrze żyć

dla niej”. Do tych słów dodałbym, że nie tylko żyć, ale i pracować.

W Polsce jest obecnie ponad 30 tys. pomników, jednak nie słyszałem o tym, by gdziekolwiek stanął pomnik bezimiennemu uczonemu albo mądrym i pracowitemu Polakowi. Te cechy rzadko umieszczano na sztafardach. Wieszczy Adam Mickiewicz tę bylejaką usankcjonował w „Panu Tadeuszu”, wkładając w usta sędziego takie słowa: „Szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń wszędzie, Ja z synowcem na czele, i – jakoś to będzie!”.

Wybitny polski uczony Tadeusz Kotarbiński, twórca prakseologii, nauk o skutecznym działaniu, zachęca, by każde nasze działanie było teleologiczne; miało swój cel, a nie „jakoś to będzie”. Prakseologia winna być obowiązkowo nauczana w naszym kraju, a nie jest. Wydaje się, że większość moich rodaków woli działać wedle zasady „jakoś to będzie”, niż planowo zdążać do celu, jak to zalecał prof. Kotarbiński.

Cudze chwalicie, swego nie znacie

Jest wielu polskich uczonych, których talent, pracowitość, gruntowna wiedza zdobywana latami badań zasługują na uznanie. Do takich wybitnych postaci zaliczam zmarłą niedawno prof. Barbarę Czarniawską. Obok prof. Zygmunta Baumana była najczęściej cytowaną na świecie polską uczoną w dziedzinie nauk społecznych. Poczytuję sobie za wielki honor, że ją znałem. Ba, sądzę, że mnie lubiła, a nawet darzyła przyjaźnią. Zamierzaliśmy prowadzić wspólne badania; co potwierdza dedykacja w jednej z jej książek („Cyberfactories. How News Agencies Produce News”, Edward Elgar, Cheltenham, Northampton 2011): „Bogusiowi – z nadzieją, że będziemy kontynuować wspólne zainteresowania, Basia”.

Wielkość prof. Czarniawskiej brała się z jej talentu, pracowitości, ale też rozległych zainteresowań. Publikowała jej artykuły i książki najbardziej znane uniwersytety świata i najbardziej prestiżowe wydawnictwa. Była laureatką wielu doktoratów honoris causa, także wielu prestiżowych nagród, jak choćby Lily and Sven Thuréus Technical-Economic Award za osiągnięcia światowe w naukach organizacji (w 2000 r.) oraz Wihuri International Prize za twórczy wkład w naukę, w szczególności przyczyniającą się do kulturalnego i gospodarczego postępu ludzkości (2003). Była członkinią wielu prestiżowych organizacji naukowych na całym świecie, w tym Komitetu Noblowskiego, Szwedzkiej Akademii Nauk, ale także wspólnie z nami, polskimi uczonymi, stworzyła w 2014 roku Komisję Zarządzania Kulturą i Mediami Polskiej Akademii Umiejętności.

Pamiętam jej zdziwienie, kiedy okazało się, że nasi studenci nie dysponują polskim tłumaczeniem „Sense-

making in Organizations” Karla Weicka, więc ta wybitna uczona za darmo dokonała takiego przekładu i w 2016 r. ukazało się nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego „Tworzenie sensu w organizacjach”. Obok strony tytułowej znajduje się podziękowanie: „Władze Wydziału Zarządzania i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego składają serdeczne podziękowania Pani Profesor Barbarze Czarniawskiej za bezinteresowne wykonanie tłumaczenia tekstu tej publikacji”.

W uznaniu wybitnych zasług profesorowie WZiKS UJ postanowili wystąpić z wnioskiem o nadanie prof. Czarniawskiej doktoratu honorowego Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 2015 r. tak między innymi uzasadniali swój wniosek skierowany do władz uczelni:

„(...) wybitny i niepodważalny w skali całego świata dorobek naukowy w zakresie nauk o organizacji i zarządzaniu, a także Jej postawa jako wybitnej Polki i ambasadorki naukowej Polski w świecie (...). Pisze w językach polskim, angielskim, szwedzkim i włoskim. Jej teksty tłumaczone były na arabski, chiński, francuski, duński, niemiecki i rosyjski. (...) wskaźnik wkładu w naukę Pani Profesor (oryginalny, a więc nie oparty na danych typu Google Scholar, wskaźnik Hirscha) wynosi 76”.

Jednak wniosek utknął w Konwencji Godności Honorowych i to na lata. Jeden z jego członków – chcę wierzyć, że był to skutek jedynie niewiedzy, a nie jakichś innych, bardziej przyziemnych uczuć – stwierdził, że „dorobek prof. B. Czarniawskiej jest kontrowersyjny”.

Na Uniwersytecie Jagiellońskim obowiązuje zasada – poniekąd słuszna – że w kwestii doktoratu honorowego członkowie Konwentu winni być jednomyślni. Zatem choć wszyscy – z wyjątkiem tego jednego, wątpliwego – byli za, wniosek upadł. Nie upadł jednak duch ani wola kolejnych dziekanów Wydziału Zarządzania i Komunikacji Społecznej UJ, by prof. Czarniawską uhonorować tą najwyższą godnością Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Kwestia wracała za sprawą najpierw dziekana prof. Piotra Jedynaka (obecnego rektora UJ), a potem dziekana prof. Ewy Bogacz-Wojtanowskiej. Dorobek polskiej uczoney mieszkającej w Szwecji powiększał się znacząco z każdym kolejnym rokiem, przybywało doktoratów honorowych, rósł indeks Hirscha – to jednak nadal nie przekonywało owego wątpliwego z Konwentu Godności Honorowych UJ, by uznać swój błąd i zagłosować za uhonorowaniem prof. Czarniawskiej. I dopiero argument, który wymyśliła prof. Bogacz-Wojtanowska, sprawił, że cokolwiek zmaskulinizowane władze UJ ochno rozpoczęły procedurę nadania doktoratu honorowego prof. Czarniawskiej. Nie chodziło bynajmniej o dorobek naukowy (przypominam: indeks Hirscha powyżej 76, czyli na poziomie laureatów Nagrody Nobla); dziekan kolejny wniosek uzasadniła tym, że w ostatnich latach zaledwie 2 proc. kobiet otrzymało doktorat honorowy UJ.

Wreszcie więc także ów wąpliwy profesor przestał mieć wątpliwości i konwent postanowił jednomyślnie, że prof. Czarniawskiej winno się ten tytuł nadać. Wyznaczono recenzentów z dwóch innych uczelni, którzy uznali, że uczona bez żadnych wątpliwości zasługuje na to zaszczytne wyróżnienie najstarszego polskiego uniwersytetu. Kiedy recenzje były gotowe, poparte stosownymi uchwałami senatów obu uczelni, w których zatrudnieni byli recenzenci, przyszła ze Szwecji smutna wiadomość: profesor Barbara Czarniawska zmarła 7 kwietnia 2024 r.

Otrzymała ona pięć doktoratów honorowych różnych europejskich uniwersytetów, ale ani jednego z Polski. Uwiera mnie ten fakt, bo marnie świadczy o niektórych działaniach polskich uniwersytetów, a właściwie ich pracowników. Boli mnie tym bardziej, że nie udało się polskiemu środowisku naukowemu, którego i ja jestem częścią, oddać należnych honorów wybitnej uczoney. To zdarzenie skłoniło mnie do refleksji ogólniejszej natury nad tym, co takiego stało się i co dzieje się z polskim środowiskiem naukowym.

Gamoń i niezguła cytowań sobie nie załatwił

Sam tego chciałeś, Grzegorz Dyndało – to powszechnie znane powiedzenie wywodzące się z komedii Moliere oznacza ludzi cynicznych, łasych na rozmaite dobra, których przędy czy później los ukarze jako owego bogatego chłopca, który ożenił się z ubogą szlachcianką. Piszę o tym dlatego, że wiele moich koleżanek i kolegów profesorów łasych jest na popularność medialną. Często – niestety – wypowiadają się w gazecie, radiu czy telewizji na tematy, które nie są przedmiotem ich dociekań naukowych. Taki stan rzeczy sprawia, że tytuł profesorski traci na wartości. Czytelnicy, słuchacze czy widzowie myślą sobie: skoro profesor może opowiadać takie dyrdymały, to i ja mogę.

W konsekwencji debata publiczna staje się zbiorem niewiele wartych opinii. A to z kolei pcha ludzi do rozmaitych baniek informacyjnych, które utwierdzają ich, że wiele sądów nieprawdziwych to jednak najprawdziwsza prawda. Jedynym sposobem na wyrwanie się z tego zakłętego kręgu jest – jak się wydaje – przywrócenie wartości, o których mowa, i mozołne odbudowanie stratyfikacji społecznej opartej na tych właśnie wartościach, które od wieków uznawane są za fundament naszej cywilizacji. Dla osób wierzących to Dekalog, dla niewierzących – powszechnie akceptowane idee humanizmu. Przepraszam za to uproszczenie, ale oddaje ono ogólny sens tych rozważań.

Lipcowy numer tygodnika „O!Polska” opisuje piórem Piotra Guzika, jak to „prorektor Politechniki Opolskiej ma więcej punktów w Indeksie Hirscha niż sir Roger

Penrose, laureat Nagrody Nobla, wieloletni współpracownik Stephena Hawkinga”, a wszystko to za sprawą „spółdzielni” uczonych wzajemnie się cytujących, recenzujących i dopisujących do tekstów.

Byłbym hipokrytą, gdybym udawał, że nic o tym nie wiem. Wiem i to mnie smuci, bo jest to praktykowane przez jakąś część środowiska naukowego, zresztą nie tylko w Polsce. A w naszym kraju ma jeszcze do tego – na ogół – przyzwolenie rządzących, którzy za pomocą tych bałamutnych i oszukańczych statystyk pokazują, jak rozwija się pod ich rządami polska nauka i jak goni światową czołówkę.

Ktoś taki jak autor niniejszego tekstu, z indeksem Hirscha na poziomie 7, uważany jest przez część uniwersyteckich koleżanek i kolegów za niezgułę i gamonia, który nie potrafi sobie załatwić dużo większego wskaźnika cytowań. Cóż, widać jakoś inaczej pojmuję naukę, bo moja ostatnia książka „Sternicy mediów” zajęła mi dziesięć lat. Tyle trwało przygotowanie badań, ich przeprowadzenie, opracowanie wyników i napisanie samej monografii. Wiem, taką metodą nie napompuję sobie indeksu Hirscha. Tylko po co komu taki rozdęty, oszukany miernik? No, może poza politykami, którzy mogą w mediach snuć bałamutne opowieści o naszej rosnącej „potęgce naukowej”? Ale jest jeszcze gorzej, bo często te oszukańcze wskaźniki są podstawą do rozdziału dotacji na naukę i szkolnictwo wyższe.

No właśnie, byłbym też nieuczciwy, gdybym nie wspomniał o marnej kondycji finansowej polskiej nauki. Coraz mniej młodych ludzi chce prowadzić badania, pisać prace naukowe, bo i prestiż coraz mniejszy, a doktoratu do garnka nie włożysz, że o utrzymaniu rodziny czy kupieniu mieszkania nie wspomnę.

Mógłby ktoś powiedzieć: są jeszcze granty badawcze. No są, ale w jak nieprzejrzysty sposób rozdysponowane są te środki – co chwilę informują media. Młody badacz, który nie należy do żadnej koterii naukowej czy politycznej, w zasadzie niewielkie ma szanse na otrzymanie środków, które wystarczyłyby na zaplanowane badania i jeszcze jako takie utrzymanie.

Dziwić się można, że w Polsce prowadzone są jeszcze jakieś rzetelne badania, jeszcze coś powstaje sensownego. Wspomniany tygodnik pisze, że wzmiankowany prorektor pisze 50 artykułów naukowych w roku, czyli każdego tygodnia jeden artykuł. Cóż, pozostawiam to bez komentarza.

Jak nie wylądować na końcu

tu znowu ze smutkiem stwierdzam, że wiele moich koleżanek i kolegów dokłada do swoich badań z chudych pensyjek akademickich. Patrzę na nich z podziwem, bo są to na ogół ci, którzy poważnie traktują etos akademicki, solidnie prowadzą badania i wykłady, a do tego nie „pompują” żadnych wskaźników, bo przykład biorą ze swoich dawnych mistrzów. I ja takich miałem, którzy za darmo czytali publikacje, które przygotowywałem do druku. Wskazywali błędy, pokazywali inne możliwości realizacji badań, interpretacji wyników. Pamiętam słowa mądrej prof. Anieli Stysiowej: „panie Bogusiu, do nauki trzeba mieć nie tylko głowę, ale i d...”. Tak, nauka wymaga czasu na szukanie źródeł, przemyślenie rozmaitych koncepcji,

skonfrontowanie własnych idei z pomysłami innych. Jeżeli polska nauka nie będzie kroczyć taką drogą, to prędzej czy później wylądujemy na samym końcu tego marszu cywilizacyjnego.

Przez wiele lat pracowałem na Uniwersytecie Jagiellońskim i było mi dane spotkać rozmaitych uczonych. W większości były to osoby, które talent i lata życia poświęciły swojej pasji badawczej. W moim najbliższym otoczeniu w Instytucie Kultury UJ też takich spotkałem. Jak choćby nieżyjący już prof. Cezary Wodziński, który poświęcił się zgłębianiu problemu zła u Heideggera. W 2010 r. podarował mi swoją książkę, w której napisał taką dedykację: „Bogusiu... tak czy owak Kairos”. Ten Kairos to najmłodszy syn Zeusa, uznawany za patrona nadarzającej się okazji. Bardzo bym sobie życzył, żeby teraz nastał czas dobrej okazji dla polskiej nauki, by wreszcie uwolniła się od nieszczej „punktozy”, by powrócił deliberatywny sposób uprawiania nauki.

Wspomniany uprzednio noblista Daniel Kahneman o wspólnej pracy z Amosem Tverskim napisał tak: „Dużą cześć dnia spędzaliśmy w wspólnej pracy, często połączonej z długimi spacerami. Przez kolejne czternaście lat współpraca naukowa stała się najważniejszym punktem naszego życia. Już nigdy potem praca nie szła nam tak dobrze”.

Takiego sposobu uprawiania nauki życzę moim naukowym koleżankom i kolegom, a politycznym decydom – by do takiej pracy stworzyli ramy organizacyjne i finansowe. Tyle i aż tyle! /©©

Bogusław Nierenberg – profesor emeritus Uniwersytetu Jagiellońskiego



JAN MACIEJEWSKI

W KONTRAPUNKCIE

KULTURALNE DZIECIOBÓJSTWO

Proszę zapytać kogoś wykonującego tzw. kreatywny zawód, czym się aktualnie zajmuje – idę o zakład, że nie powie, co właśnie „tworzy”, a zamiast tego zacznie tłumaczyć, „w jakim projekcie” się właśnie znajduje. I skojarzenie z kłatką, w której zamknięto go na własne życzenie, będzie jak najbardziej na miejscu.

Ten pomysł wraca co jakiś czas jak bumerang. I nie mogę się oprzeć pokusie skojarzenia z marnymi komediami, w których ten, kto dopiero co rzucił odpowiednio zakrzywionym kawałkiem drewna, po chwili obrywa nim w tył głowy. A potem stoi zaskoczony, rozciera bolące miejsce, nie mając pojęcia, co tu się w ogóle wydarzyło; czym sobie zasłużył na ten cios, ani kto mu go zadał. Tego rodzaju gagi obliczone są na niską satysfakcję widza z cudzej głupoty – mało to wysublimowane, przyznaję. Ale jaki pretekst, takie i skojarzenie – a w końcu wszystko zaczęło się od sondy w jednej z telewizji śniadaniowych.

Widzów teje zapytano, czy popierają pomysł wprowadzenia „stref wolnych od dzieci”, a ci w przynajmniej większości odpowiedzieli, że oczywiście, jeszcze jak. Już samo sformułowanie jest bardzo ciekawe – proszę sobie bowiem wyobrazić restauracje czy hotele, które reklamują się tym, że są „wolne” od grubych, łysych, niskich, mówiących w obcym języku czy choćby (o zgrozo!) od psów. Wolnym można być od nałogu, od uprzedzeń,

choroby, toksycznego związku. Czegoś, co samo w sobie, z natury jest złe, przykre i bolesne. Tu akcent nie został położony na to, że wstęp do takich stref miałby mieć tylko dorośli – cała inicjatywa utrzymana jest w tonacji ulgi; od początku, otwartym tekstem jest zdefiniowana jako wyzwalająca od obecności dzieci. Jakby te były zarazkami, hałasem czy przykrym zapachem.

I żeby była jasność – każdą z tych rzeczy mogą one (zdarza im się to nawet dość często) generować czy roznosić. Nawet najbardziej zajadły antynatalista musiałby jednak po rozważnym przemyśleniu sprawy przyznać, że może jednak nie jest to jedyna ich właściwość.

A co do efektu bumerangu – zabawne (na poziomie wspomnianego gagu, ale zawsze) jest to, jak na jednym wdechu, bez zająknięcia, ci sami ludzie, którzy zastanawiają się, czy nie warto byłoby wyprosić dzieci z miejsc publicznych, przechodzą do rozrywania szat nad widmem katastrofy demograficznej. Jakby to właśnie takie pomysły – nie tyle nawet ich wprowadzenie, ile w ogóle poddawanie pod dyskusję – nie były elementem kultury, o której trudno powiedzieć, że zachęca do posiadania potomstwa. Podobnie jak seryjnie ukazujące się w pewnym portalu horyzontalnym teksty matek, które żałują, że urodziły. Jak to ich życie było kiedyś usłane różami, z których teraz zostały już tylko kolce. Jak chętnie cofnęłyby czas i uniknęły tego rozwrzeszczanego, śmierdzącego i pochłaniającego masę wydatków problemu. Państwo może przyznać nie osiemset, lecz osiem tysięcy złotych miesięcznie na

każde dziecko, a to i tak będzie za mało w stosunku do atmosfery udręki, jaką co poniektórzy starają się otoczyć macierzyństwo.

Ale nasza cywilizacja wykonała „zwrot antydziecięcy” już dawno temu; „strefy” są tylko jedną z jego konsekwencji. Najprostszy schemat osiągania psychicznej dojrzałości polega na zintegrowaniu ze sobą dwóch sfer – dorosłej i dziecięcej. Tego, co odpowiedzialne, z tym, co spontaniczne. Dostrzegania konsekwencji z otwartością na niespodziewane, zaskakujące. Opracowywania planu z tym, co w każdej chwili może go pokrzyżować, a raczej – ożywić, pchnąć na nieznaną tory. Proszę zapytać kogoś wykonującego tzw. kreatywny zawód, czym się aktualnie zajmuje – idę o zakład, że nie powie, co właśnie „tworzy”, a zamiast tego zacznie długo i zawile tłumaczyć, „w jakim projekcie” się właśnie znajduje. I skojarzenie z kłatką, w której zamknięto go na własne życzenie, będzie jak najbardziej na miejscu. Każdy projekt jest strefą wolną od wewnętrznego dziecka. Od tego wszystkiego, co mogłoby wydłużyć czas jego realizacji, wywołać odstępstwo od harmonogramu realizacji zadania i jednocześnie tchnąć weń życie, sprawić, że realizacja stałaby się o niebo ciekawsza od pierwotnego pomysłu.

Drugim objawem kulturalnego dzieciobójstwa jest retromania. Mielenie w nieskończoność chwytów i schematów, które sprawdziły się w przeszłości. Za racjonalizację i kompilację odpowiada w końcu „wewnętrzny dorosły”. Za to, co zaskakujące i wcześniej nieznanie – żyjące w nas dziecko. A tak się składa, że odmówiono mu prawa wstępu. /©©



TOMASZ P. TERLIKOWSKI

KRONIKA PRZEPOWIEDZIANEJ
KATASTROFY

OD NADUŻYĆ DO UZDROWIENIA KOŚCIOŁA

To, co powiedział prymas Irlandii, polscy katolicy, w tym wszyscy hierarchowie, powinni sobie głęboko wbić do głowy i sumień.

Abp Dermot Farrell, bo o nim mowa, odniósł się do kolejnego raportu, który ujawnił skalę przestępstw seksualnych w szkołach dziennych i z internatem prowadzonych przez zakony. Raport ten opublikowany na początku września informował, że w 308 szkołach prowadzonych przez zgromadzenia zakonne odnotowano 2395 zarzutów molestowania seksualnego. Zarzuty te odnosiły się do 884 domniemych sprawców molestowania, z których około połowy dziś już nie żyje. Większość przypadków molestowania miała miejsce między początkiem lat 60. i 90. XX wieku, przy czym najwięcej zgłoszeń odnotowano na początku i w połowie lat 70.

Arcybiskup podkreślił, że dramatycznych świadectw skrzywdzonych nie wolno lekceważyć ani tym bardziej odrzucać. A pokusa taka, by w straszliwych historiach ludzi widzieć atak na Kościół, i w związku z tym im zaprzeczać, wciąż u wielu wierzących istnieje. „Niezbędne jest, abyśmy doszli do rozpoznania dynamiki zaprzeczenia i zajęli się nią. Nie tylko

wezwanie Ewangelii, ale podstawowa ludzka sprawiedliwość wymaga, abyśmy nie odrzucali świadectwa tych, którzy doświadczyli nadużyć, ale uznali ich ciągły ból i cierpienie i zaczęli godzić się z faktem, że ta ciemność ma głębokie korzenie w nas samych” – powiedział hierarcha.

W tym kazaniu, wygłoszonym w Dublinie, są jeszcze inne, może nawet ważniejsze słowa. Prymas Irlandii zwraca uwagę na to, jak niebezpieczne jest zakrywanie przestępstw i zła. „Kiedy ta ciemność zostaje zamaskowana zewnętrznymi przejawami pobożności i zewnętrznymi pozorami służby, jej destrukcyjny potencjał ulega wzmocnieniu. Raport za raportem, ofiara za ofiarą świadczą o horrorze uwolnionym przez tę manifestację zła” – zaznaczył.

Mierzenie się z tym złem, jego analiza, ale też przewyciężanie pozostaje zaś jednym z fundamentalnych kryteriów autentyczności wiary. „Powaga, z jaką my – wszyscy w Kościele, wszyscy ochrzczeni – podchodzimy do kryzysu nadużyć, jest prawdziwą miarą głębi naszej wiary i naszego zaangażowania na rzecz prawdziwej sprawiedliwości i odnowy w naszym Kościele” – zaznaczył arcybiskup. „Dopóki naprawdę nie przyznamy się do tego, co się wydarzyło, konieczna zmiana serca pozostanie na powierzchni – a powierzchowna »zmiana serca«

nie jest żadną zmianą serca. W Kościele jesteśmy wezwani do odnowienia naszego zobowiązania, aby uczynić nasz Kościół, nasze parafie, nasze szkoły i wszystkie nasze działania bezpiecznymi dla dzieci i bezbronnych dorosłych, a także do przyjęcia struktur i odpowiedzialności, których to wymaga” – powiedział Farrell.

To nawrócenie jest konieczne nie tylko ze względu na ludzką sprawiedliwość, nie tylko ze względu na wierność Ewangelii, ale także dlatego, że bez niej nie będzie – na co zwrócił uwagę prymas Irlandii – „autentycznej, trwałej odnowy i reformy” w Kościele katolickim. I o tym też warto pamiętać.

Całe kazanie arcybiskupa dedykuję zaś wszystkim polskim katolikom. My jesteśmy na początku drogi, którą Kościół w Irlandii idzie od dziesięcioleci. Jeszcze przed nami ujawnienie całej skali przestępstw i przemocy, my jeszcze wciąż niewiele wiemy o tym, co działo się w parafiach, na obozach ministranckich i liturgicznych, w kościelnych ośrodkach pomocy. Minimalna jest nasza wiedza także na temat tego, jak zachowywali się polscy biskupi, w tym ci najwięksi, wobec zgłaszanych im nadużyć. Droga przed nami jest jeszcze daleka, wyparcie faktów jest jeszcze mocniejsze, i dlatego tym uważniej trzeba wsłuchiwać się w słowa abp. Farrella. /©©

REKLAMA 0963596/A/DR02P



**NATIONAL
GEOGRAPHIC
POLSKA**



**WEŹ UDZIAŁ
W KONKURSIE!**



fot: Tomasz Szpila

PROMOCJA



Sponsorzy:



Nadawca programu Europa z powietrza

SIMON WINCHESTER

Padają opinie, że kopiując komponenty broni, rusznikarz nie może dać wyrazu swojemu kunsztowi, więc równie dobrze można by powierzyć to zajęcie niewykwalifikowanej sile roboczej.

0,02 MILIMETRA,



CZYLI SIŁA PRECYZJI

Data 24 sierpnia 1814 roku na stałe zapisała się w annałach historii. Bitwa pod Bładensburgiem, poprzedzająca spalenie (przez Brytyjczyków - red.) Waszyngtonu i Białego Domu, stała się bolesnym symbolem. Był to zaiste jeden z największych pogromów w historii Stanów Zjednoczonych, wydarzenie wstydlive i żałosne. Przedstawiona tu relacja wiernie odzwierciedla wydarzenia tamtego dnia: linia obrony całkowicie się załamała, a żołnierze w panice uciekali przed nadciągającym przeciwnikiem.

Weterani tamtych wydarzeń przez wiele kolejnych lat debatowali nad licznymi powodami porażki. Nieudolne dowództwo, niewłaściwe przygotowanie, niewystarczające siły - podczas dyskusji przywoływano najbardziej typowe tłumaczenia. Ale największym problemem armii amerykańskiej (niemającej zbyt wielu okazji do walki od czasu wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych), były niesławne, boleśnie zawodne muszkiety wręczane piechurom. W dodatku, jeśli doszło do uszkodzenia, naprawa sprzętu była piekielnie trudnym wyzwaniem.

Bez zamienników

W sytuacji kiedy jakaś część karabinu zawiodła, kowal musiał ręcznie wykuć jej zamiennik, co w połączeniu z nieuchronnym ciągiem nawarstwiających się usterek, mogło zająć nawet kilka dni. Oznaczało to, że żołnierz ruszywszy do bitwy bez działającej broni miał trzy wyjścia: odebrać muszkiet któremuś z poległych, postarać się coś ugrać z tym, co miał w rękę lub postąpić jak młodzieniec z pułku Sterretta i dać nogę.

Problem z dostępnością broni miał dwojaką naturę. W armii amerykańskiej powszechnie używano wówczas gładkolufowego karabinu skałkowego bazującego na francuskim modelu Charleville. Stany Zjednoczone, od niedawna cieszące się niepodległością, zaimportowały tę broń bezpośrednio z Francji; następnie uzyskano zgodę na jej masową produkcję w nowej rządowej fabryce w Springfield w stanie Massachusetts. Generalnie oba modele działały, choć trzeba zaznaczyć, że wszystkie karabiny skałkowe miały problem z odpaleniem ładunku, nie wspominając o prostych usterekach typowych dla broni wykonywanej ręcznie, a wynikających z bezustannej eksploatacji: przegrzewały się, w lufach odkładał się osad prochowy, a każda część metalowa mogła pęknąć, urwać się, wygiąć, odkręcić lub po prostu się zapodziać.

I w tym tkwiło źródło drugiego problemu - w przypadku uszkodzenia cały karabin trzeba było odesłać do producenta lub oddać w ręce profesjonalnego rusznikarza, który by go przebudował albo zastąpił nowym. Z perspektywy czasu brzmi to niedorzecznie - mówimy bowiem o czasach odległych o nieco ponad 200 lat - ale nie istniała wówczas możliwość, aby zastąpić zepsutą część zmagazynowanym zamiennikiem. Nikomu nie

przyszło do myśli, żeby zbudować karabin z komponentów wykonanych na tyle precyzyjnie, że niczym się między sobą nie różniły. Gdyby ktoś wdrożył takie rozwiązanie, uszkodzony element można by łatwo podmienić z innym, gdyż dzięki produkcji precyzyjnej byłyby swoimi zamiennikami. W trakcie bitwy pękł ci spust? Nie ma problemu, wycofaj się na tyły, znajdź stanowisko rusznikarza i z puszką z napisem „spusty” wyciągnij potrzebną część, zamontuj ją, zabezpiecz i już kilka minut później możesz wracać na pierwszą linię z działającym karabinem.

Wyzwanie standaryzacji

Tylko, że nikt jakoś nie wpadł na takie rozwiązanie... Ale czy na pewno? Trzydzieści lat przed upokarzającą porażką pod Bładensburgiem opracowano nowy proces produkcyjny. Gdyby w 1814 roku był on dostępny w Stanach Zjednoczonych, istniałaby szansa na uniknięcie klęski, spowodowanej między innymi wadliwą bronią. Idei nowego podejścia do kwestii produkcji broni, której implementacja miała szansę uchronić stolicę przed puszczeniem z dymem, nie narodziła się jednak w samym Waszyngtonie, ani w żadnej z dwóch amerykańskich zbrojowni (w Springfield oraz w Harpes Ferry w stanie Virginia) czy nawet w dowolnej z nowo powstałych fabryk broni, które w trakcie wojny o niepodległość i niedługo po niej wyra-



ZASZCZYT WYNALEZIENIA SYSTEMU, KTÓRY WPROWADZONY NA CZAS I W POPRAWNY SPOSÓB, MÓGLBY PRZYCZYNIĆ SIĘ DO ODPOWIEDNIEGO UZBROJENIA ARMII AMERYKAŃSKIEJ, PRZYPADŁ DWÓM FRANCUZOM. DZIŚ ŚWIAT ZDAŻYŁ JUŻ NIEMAL CAŁKOWICIE O NICH ZAPOMNIEĆ

stały jak grzyby po deszczu. Musimy pokonać niemal pięć tysięcy kilometrów i odwiedzić Paryż. (...)

Zaszczyc wynalezienia systemu, który wprowadzony na czas i w poprawny sposób, mógłby przyczynić się do odpowiedniego uzbrojenia armii amerykańskiej, przypadł dwóm Francuzom. Dziś świat zdażył już niemal całkowicie o nich zapomnieć. Pierwszym, mniej znanym - pomimo znacznie bardziej rozpoznawalnego nazwiska - był Jean-Baptiste Vaquette de Gribeauval, dysponujący licznymi koneksjami szlachcic specjalizujący się w projektowaniu armat na potrzeby francu-

skich oddziałów artyleryjskich. Powiadają, że w 1776 roku opracował schemat wiercenia luf przy użyciu techniki niemal identycznej z techniką Johna Wilkinsona, a polegającej na wprowadzeniu obracającego się wiertła w kawał żelaza wielkości i kształtu armaty. Co prawda, Wilkinson dwa lata wcześniej, w 1774 roku, opatentował swoje rozwiązanie, ale nie zmienia to faktu, że system francuski znany przez kolejne trzydzieści lat jako systeme Gribeauval na długo zmonopolizował produkcję francuskich armat. Armia francuska uzyskała dostęp do szerokiego spektrum wydajnych i lekkich elementów uzbrojenia, choć dla każdego było jasne, że sukces miał więcej niż jednego ojca. Aby upewnić się, czy kule armatnie zmieszczą się w jego lufach, Gribeauval zastosował przyrząd pomiarowy zwany sprawdzianem. Trudno jednak mówić tutaj o rewolucji, jako że analogiczne rozwiązania stosowano od dobrych pięciu wieków.

Za wprowadzenie modelu części zamiennych w produkcji broni odpowiada w przeważającej mierze drugi z panów, Honoré Blanc. Jego dokonania, w odróżnieniu od Gribeauvala, nikt nie podważa. Nie był żołnierzem, lecz rusznikarzem, który w trakcie nauki zawodu poznał od podszewki system Gribeauvala. Już na samym początku swojej kariery uznał, że taką samą standaryzację procesu produkcyjnego można zastosować - z korzyścią dla żołnierza - przy wytwarzaniu karabinów skałkowych.

Sęk w tym, że między jednym a drugim rodzajem broni istniała spora przepaść. Działo było wielkie, ciężkie i prymitywne w obsłudze: wystarczyło, żeby artylerzysta przystawił lontownicę z podpalonym lontem do zapалу i działo odpalało. Z tego względu wszystkie części łatwo poddawały się standaryzacji. Za to w przypadku karabinu skałkowego zamek (część muszkietu odpowiedzialna za przeniesienie iskry na proch, który podpałał główny ładunek prochowy i w ten sposób kula była wypychana z lufy) miał stosunkowo delikatną i złożoną konstrukcję. Tworzyły go elementy o nietypowych kształtach, podatne na uszkodzenia. Dla osób niewtajemniczonych nazwy komponentów karabinu skałkowego brzmią jak słowa z innej planety: na sam zamek składają się kurek, dźwignia spustowa, krzesiwo, panewka, niezliczona liczba sprężyn, śrubek, bolców, płytek oraz odpowiedzialny za skrzesanie iskry (po uderzeniu we wspomniane wcześniej metalowe krzesiwo) kawałek krzemienia. Standaryzacja zamka tak, żeby poszczególne części składowe były we wszystkich karabinach identyczne, stanowiła nie lada wyzwanie.

Opory większości

Decydującym czynnikiem nie było jednak morale żołnierzy ani wpływ broni na przebieg bitwy, a koszty. W połowie lat 80. XVIII wieku rząd francuski oznajmił, że krajowi rusznikarze za

W armii amerykańskiej powszechnie używano wówczas **gładkolufowego karabinu skałkowego bazującego na francuskim modelu Charleville**. Stany Zjednoczone, od niedawna cieszące się niepodległością, zaimportowały tę broń bezpośrednio z Francji; następnie uzyskano zgodę na jej masową produkcję w nowej rządowej zbrojowni w Springfield w stanie Massachusetts



CANTONAL MUSEUM OF ARCHEOLOGY AND HISTORY

dużo sobie liczą za swoje usługi i zażądał usprawnienia procesów produkcyjnych lub obniżki cen. Jak można było się spodziewać, rusznikarze poczuli się do żywego dotknięci zuchwałą sugestią i bezzwłocznie przedsięwzięli kroki, aby sprzedać swoje wyroby zbrojowniom i wytwórcom broni po drugiej stronie Atlantyku. Wywołało to nerwową reakcję francuskiego rządu, który zaczął się obawiać niedoborów uzbrojenia w kraju.

I w tym momencie historii Honoré Blanc, cywil, podjął pracę wojskowego kontrolera jakości. Znajomi rusznikarze z przerażeniem przyjęli fakt, że kolega po fachu zbratał się z wrogiem – to jakby kłusownik objął stanowisko leśniczego. Blanc puścił tę krytykę mimo uszu i zabrał się do pracy. Motywowany troską o dobro żołnierzy na polu bitwy, planował zrobić co w jego mocy, aby nie dopuścić do zmniejszenia nakładów na uzbrojenie. Postanowił skopiować system standaryzacji de Gribeauvala i sprawić, że wszystkie elementy zamka skałkowego będą „wiernymi, idealnymi kopiami perfekcyjnie wykonanego wzorca”.

Wzorzec przygotował własnoręcznie, z najwyższą starannością i ogromną precyzją, próbując jak najdokładniej oddać wymiary projektu przy zachowaniu odpowiedniej tolerancji. Z dzisiejszej perspektywy możemy określić, że była ona na poziomie 0,02 milimetra. Posługiwał się przy tym wiedzą tajemną ancien regime, czyli ówczesnymi jednostkami miary – jak *pointe* (punkt), *ligne* (linia) czy *pouce* (cal). Następnie wykonał zestaw szablonów i mierników, które miały zagwarantować, że wszystkie wyprodukowane zamki niczym nie różnią się od pozbawionego wad wzorca (w czym miały pomóc pilniki oraz inne dostępne w miarę możliwości narzędzia skrawające). Zamki wykonane (na tym etapie jeszcze) ręcznie przez zaufanych rusznikarzy, niczym nie różniły się od oryginału. To miało skutkować idealnym dopasowaniem elementów, jak również gotowego zamka z pozostałymi komponentami karabinu.

Jednak mało kto był gotów podjąć pracę na nowych zasadach. Większość ludzi miała opory. Padały opinie, że kopiując komponenty broni, rusznikarz nie może dać wyrazu swojemu kunsztowi, więc równie dobrze można by powierzyć to zajęcie niewykwalifikowanej sile roboczej. Argumentacja francuskich kowali nie różniła się zbyt od narzekania angielskich luddystów: i jedni, i drudzy twierdzili, że wykorzystanie technologii precyzyjnych pozbawia ich pracy. Podobne komentarze wielokrotnie padały w kolejnych latach, kiedy inżynieria precyzyjna rozlewała się po coraz to dalszych obszarach Europy, obu Ameryk i świata. Kiedy precyzja zaczęła zyskiwać status międzynarodowego fenomenu – ze wszystkimi tego konsekwencjami – wezwania do buntu głoszone w środkowej Anglii pół wieku wcześniej zaczęły coraz głośniejsz rozbrzmiewać wśród mieszkańców północnej Francji.

Wrogość wobec Honoré Blanca pogłębiła się do tego stopnia, że rząd musiał zaproponować mu ochronę i odizolować go wraz z niewielką kompanią oddanych rzemieślników w lochach zamku w Vincennes położonego na wschód od Paryża. W tamtych czasach budowla pełniła funkcję więzienia; jego mimowolnymi lokatorami byli chociażby Denis Diderot czy markiz de

Sade. Przez trzydzieści lat od wybuchu rewolucji zamek przeobraził się w jeden z największych składów broni we Francji i to właśnie tam, w atmosferze względnego spokoju, Blanc i jego zespół wytwarzali swoje – w domyśle identyczne – zamki. W tym celu Blanc opracował wszystkie potrzebne narzędzia oraz szablony. Według słów jednego z uczestników tamtych wydarzeń, w celu wzmocnienia metalowych elementów na kilka tygodni zakopywano je w okazałych stertach nawozu z zamkowych stajni. Notabene zamek w Vincennes przetrwał do naszych czasów i stanowi atrakcję turystyczną

Sposób na piątkowe popołudnie

W lipcu 1785 roku Blanc był gotów zademonstrować postępy prac. Rozesłał zaproszenia do paryskich bogaczy, wierzuski wojskowych, jak również skonfliktowanych z nim kolegów po fachu. Na prezentację przybyło wielu oficjeli, ale tylko garstka rusznikarzy, z których większość nadal zgrzytała zębami na myśl o Blancu. Najważniejsze było jednak, że pod bramą ufortyfikowanego donżonu zjawił się gość najwyższego kalibru: minister pełnomocny Stanów Zjednoczonych Thomas Jefferson.

Jefferson przybył do Francji rok wcześniej jako oficjalny wysłannik nowego amerykańskiego rządu. W wyprawie towarzyszyli mu Benjamin Franklin i John Adams, którzy czystym zbiegiem okoliczności opuścili Paryż nieco wcześniej (Adams udał się do Londynu, a Franklin do Waszyngtonu), tak że Jefferson, człowiek obdarzony ogromną ciekawością świata, a zarazem rozlicznymi talentami, został całkiem sam w kraju toczonym przedrewolucyjną gorączką. Prezentacja innowacji naukowych z

potencjalnym zastosowaniem dla raczkującego przemysłu zbrojeniowego po drugiej stronie oceanu – czy można sobie wyobrazić lepszy sposób na spędzenie gorącego piątkowego popołudnia? Akurat 8 lipca 1785 roku żar lał się z nieba, w zamkowych lochach zaś panował przyjemny chłodek.

Honoré Blanc rozłożył przed sobą pięćdziesiąt zamków błyszczących w świetle wpadającym do pomieszczenia przez wąskie okienka. Kiedy goście zajęli miejsca na podwyższeniu i wbili spojrzenia w Blanca, ten wybrał na chybił trafił dwadzieścia pięć zamków i błyskawicznie je rozmontował, a komponenty wrzucił na osobne tacki: dwadzieścia pięć sprężyn głównych tu, dwadzieścia pięć blach zamka tam, dwadzieścia pięć mostków na kolejną tackę i dwadzieścia pięć panewek jeszcze na inną. Następnie potrząsał tackami, starając się jak najdokładniej wymieszać części, po czym – całkowicie przekonany o skuteczności swojej metody – ze spokojem i pewnością siebie zmontował z luźnych komponentów dwadzieścia pięć nowych zamków do muszkietu.

Wszystkie powstały z komponentów, których dotychczas ze sobą nie łączono – i nie miało to najmniejszego znaczenia. Części idealnie do siebie pasowały, ponieważ wykonano je z ogromną precyzją, pilnie

kopiując szczegóły konstrukcji zamka-wzorca, dzięki czemu odpowiadające sobie elementy niczym się od siebie nie różniły. Innymi słowy, były swoimi zamiennikami.

Prezentacja wywarła ogromne wrażenie na decydentach. Armia zapewniła Blancowi dostęp do oficjalnego wojskowego warsztatu, gdzie rozpoczął produkcję niedrogich części do zamków skałkowych. Przez cztery lata wszystko układało się po jego myśli, a profity spływały do kieszeni. Tak było do 1789 roku, kiedy skumulowały się trzy nieszczęścia: wybuchła rewolucja francuska, zmarł Griveauval i rozpętał się Wielki Terror. Podczas zamieszek zamek został zaatakowany, a warsztat Blanca splądrowany. Dotychczasowi sponsorzy nie mogli mu już dłużej zapewnić ochrony. Pośród sankiulotów zaczął w szybkim tempie narastać opór – z czasem fanatyczny – skierowany przeciwko mechanizacji, rozwiązaniom poprawiającym wydajność pracy, na czym korzystała klasa średnia, oraz technikom produkcji szkodzącym uczciwym rzemieślnikom i rękodzielnikom. Na przełomie wieków idea wytwarzania części zamiennych była we Francji pieśnią przeszłości – a nie brakuje głosów, że właśnie dzięki ocaleniu rękodziela i niechęci do tego, co nowoczesne, Francja zyskała reputację romantycznej oazy wypełnionej zachwycającymi wspomnieniami z przeszłości.

Sugestia Jeffersona

W Ameryce sprawy potoczyły się zgoła inaczej, a to za sprawą Thomasa Jeffersona. Dostrzegł on potencjał wynalazku, z którym przyszło mu się zetknąć. Pierwszy raz opisał wspomnianą już prezentację 30 sierpnia w obszernym liście do Johna Jaya, ówczesnego ministra spraw zagranicznych. (...)

Nie ulega wątpliwości, że Jefferson był pod tak dużym wrażeniem, że aż kilkakrotnie opisał system Blanca w listach adresowanych do przyjaciół i kolegów z Waszyngtonu i Virginii, za każdym razem wyrażając przekonanie, że amerykańscy rusznikarze powinni zaadaptować francuskie rozwiązanie. W końcu jego przesłanie przebiło się do świadomości wytwórców, zwłaszcza tych skupionych w Nowej Anglii, która słynęła jako centrum rusznikarstwa. Podczas gdy w Europie górę wzięło sceptycyzm, Ameryka udowodniła, że myśli kategoriami Nowego Świata, a nawet jeśli pojawiły się wątpliwości, rząd Stanów Zjednoczonych prędko je rozwił, zamawiając ogromną liczbę nowych muszkietów. Było tylko jedno zastrzeżenie: musiały korzystać z systemu części zamiennych, tak jak sugerował Jefferson.

O realizację pierwszego kontraktu na produkcję muszkietów ubiegały się dwie prywatne firmy rusznikarskie: według jednego ze źródeł chodziło o dziesięć tysięcy sztuk broni, a według innych nawet o piętnaście tysięcy; zwycięzca miał z góry otrzymać wynagrodzenie w zawrotnej wysokości pięciu tysięcy dolarów. Ostatecznie kontrakt przyznano Eliemu Whitney'owi ze stanu Massachusetts.

/©©

Fragm. książki Simona Winchestera „Siła precyzji. Jak inżynierowie konstruowali współczesny świat” w przekładzie Grzegorza Ciecieląga, która ukazała się nakładem wydawnictwa **bo.wiem**. Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji



BOŻENA SZAYNOK

Sześć dekad temu Sobór Watykański II dokonał kopernikańskiego przewrotu w katolickim myśleniu o Żydach. To fascynująca historia odchodzenia od tego, co w Kościele wydawało się oczywiste i na zawsze.

OSTRĄ JAK BRZYTWĄ GRANIA



W głosowaniu uczestników Soboru Watykańskiego II (1962–1965) nad poszczególnymi zapisami deklaracji „Nostra Aetate” za zapisaniem „więzi Kościoła z Żydami” było 1937 (przeciw 153), a za odrzuceniem zbiorowej odpowiedzialności Żydów za śmierć Jezusa – 1875 (przeciw 188)

Dokument, który zmienił kościelne nauczanie, przyjęto w 1965 r., ale dramatyczne spory, które wpłynęły na jego kształt, miały swoją kulminację rok wcześniej. 28 października 1965 r., na ostatniej sesji, Sobór Watykański II przyjął „Deklarację o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich”, nazwaną od pierwszych słów „Nostra Aetate” (W naszej epoce). Punkt czwarty, na nieco ponad stronie, omawiał postawę wobec Żydów. Rzeczywistość przed soborem, dyskusje w Rzymie i końcowa wersja żydowskiego rozdziału to fascynujący zapis przemiany myślenia. Jedną z najważniejszych debat na ten temat toczyła się we wrześniu 1964 r. Łączyła przeszłość, świadomość, że nie może ona zostać w dotychczasowej formie, i wykuwanie nowego. Była pomostem między tym, co było, a koniecznością zmiany.

Droga nie była prosta, „Niewiele zagadnień wywołało równie ostre kontrowersje” i „przeszło równie trudną drogę od powstania w wersji roboczej do zatwierdzenia jako deklaracji »Nostra Aetate«” – pisał jezuita ojciec J. O'Malley.

Nie przeszkadzać Bogu miłosierdziem?

Zacznijmy zatem od początku, czyli przedsoborowego obrazu Żydów w Kościele katolickim. Przekaz był prosty, osadzony w zapisach Pisma św.: Żydzi zabili Jezusa, zostali za to ukarani i odrzuceni, przymierze, które Bóg z nimi zawarł, stało się nieważne, ich miejsce zajął Kościół.

Trudne kwestie teologiczne oswajały praktyki religijne. W pieśniach, nabożeństwach, komentarzach do czytań zapisanych w używanych kiedyś powszechnie modlitewnikach, katechizmach, kazaniach można było przeczytać, usłyszeć, wyśpiewać, że Żydzi są „zajadli”, „zawzięci”, „nienawistni”, „niemiłosierni”, „okrutniejsi niż kaci”,

„niewdzięczni”, „zaślepieni”, „pyszni”, pełni złości, są odpowiedzialni za śmierć Jezusa, wydają na niego „niecny wyrok”, niesprawiedliwie oskarżają, przybijają do krzyża. Gorzkie żale, nabożeństwo wielkopostne, co roku utrwały ten obraz śpiewem o Żydzie niepokornym, który „Bije, popycha”, „Za włosy targa”, Jezus zostaje „Zelzywie od Żydów ukrzyżowany”. „Naród Bogobójczy” ponosi karę „za swą zbrodnię”, Izrael jest już tylko „niegdyś szczególnie umiłowanym”. W Wielki Piątek modlono się za wiarołomnych Żydów. Artefakty w niektórych kościołach informowały o mordzie rytualnym, profanacji hostii czy nawoływały, aby Bóg „zawsze sprawiedliwy” wyniszczył „do szczytu ten naród złośliwy”.

Taki obraz sąsiadował z przykazaniem miłości wobec wszystkich ludzi, potępieniem nienawiści i antysemityzmu. Zróżnicowane treści budowały jednak osobną postawę wobec Żydów, przekonanie, że „czegoś [im] brak”, „ukraść im to nie grzech”, podejrzenie, jak pisał ks. Kamykowski, że „Skoro pan Bóg jest wciąż na nich zagniewany i nieustannie ich poniża, to może nie wypada w to ingerować niewczesnym miłosierdziem”. Zagłada 6 mln Żydów kazała zapytać: jeśli ponoszą karę za śmierć i odrzucenie Jezusa, to „czy nasiłci byli narzędziem woli Boga?” – pisze J. Connelly.

Na zachodzie Europy grupa chrześcijan i Żydów rozpoczęła jednak nowe poszukiwania teologiczne, wśród tych pierwszych byli konwertyci żydowscy i protestanci. Początki nie były łatwe. Ks. Karl Thieme mówił o przeobrażeniu wobec „rozciągającego się przed nim niezbadanego teologicznego obszaru”, swoją pracę przyrównał do zacytowanego w tytule tego tekstu „chodzenia »ostrą jak brzytwa granią«, z której mógł spaść, staczając się albo z powrotem w antyjudajizm, albo w herezję”. Poruszano się przecież w tym samym obszarze, który pozwalał na przyjęcie wcześniejszego myślenia.

Punktem wyjścia było odczytanie na nowo Listu św. Pawła do Rzymian, a rezultatem długich i trudnych dyskusji stał się pierwszy projekt dokumentu, którym miał zająć się Sobór. Wprowadzenie go pod obrady bi-

skupów miało wielkie znaczenie, było osobistą decyzją papieża, który przekazał ją kard. Augustinowi Bei kierującemu soborowym Sekretariatem ds. Jedności Chrześcijan. Był to kolejny krok, po zmianie niektórych modlitw i spotkaniach z Żydami, pokazujący przyjazną wobec nich postawę Jana XXIII i jego gotowość na zmiany.

Część hierarchów nie rozumiała lub nie dostrzegła potrzeby zajęcia się Żydami, nie wspomina się o nich w większości nadesłanych propozycji tematów, które omawiał Sobór. Powojenne debaty, decyzja papieża, praca kard. Bei tylko częściowo „wychodziły” na zewnątrz. Nawet w Sekretariacie można było poczuć – pisze Connelly – „że weterani żydowsko-chrześcijańskiego dialogu po prostu się skręcają, widząc, że nowoprzybyli mimo dobrych chęci wpadają w koleiny antyjudajistycznych sposobów myślenia”.

Trudnością był także konflikt arabsko-izraelski. Watykańska dyplomacja chciała zachować neutralność, a osobnego dokumentu o Żydach obawiali się biskupi z Bliskiego Wschodu, mimo zapewnień o jedynie religijnej motywacji jego narodzin.

Nasz dług wdzięczności

Sobór Watykański II rozpoczął się 11 października 1962 r. Uczestniczyło w nim ok. 3 tys. katolickich hierarchów z całego świata. Po śmierci Jana XXIII w czerwcu 1963 r. jego następca Paweł VI zdecydował o kontynuacji obrad. Na I sesji (łącznie odbyły się cztery) polityka spowodowała, że nie zajęto się przygotowanym projektem. Biskupi także nie szukali dodatkowych tematów, przytłoczeni mnogością dokumentów, ich czas zajmowały burzliwe dyskusje, które miały zmienić codzienność Kościoła.

Rok później, w listopadzie 1963 r., na II sesji, Ojcowie Soboru otrzymali projekt przygotowany przez Sekre-

tariat kard. Bei „O stosunku katolików do niechrześcijan, a zwłaszcza Żydów”. Była to część dekretu „O ekumenizmie”. Zapisane w nim tematy pokazują, w jakim kierunku miały iść zmiany. Spójrzmy na nie, pamiętając przedsoborowy obraz. Oto pojawia się „więź” Kościoła z Żydami, miłość do nich Chrystusa, przekonanie, że „ze względu na Ojców” są najmiłsi Bogu. „Niesprawiedliwość” jest twierdzenie, że to naród „przeklęty” lub „bogobójców” („Chociaż znaczna” jego część „pozostaje tymczasem z dala od Chrystusa”), Mękę Jezusa spowodowały „grzechy wszystkich ludzi”, a Jego śmierci nie można przypisywać „całemu, żyjącemu wówczas ludowi, a tym bardziej (...) dzisiejszemu”.

W relacjach z Żydami proponowano „wzajemne poznanie i szacunek”, studia, „braterskie rozmowy”. Kapłanom zwracano uwagę na treści, które mogą powodować „nienawiść lub pogardę dla Żydów”. Wskazywano żydowską narodowość Jezusa, Maryi, apostołów. „Głębokie oplakiwanie”, potępienie prześladowania przeciwko Żydom w przeszłości i obecnie, wpisano w odrzucenie „krzywdy wyrządzonej ludziom gdziekolwiek”. Dokument zapraszał do nowego spojrzenia, jego ostateczną wersję przyrównano kiedyś do „kulkowego łożyska, które pozwala na otwarcie masywnych drzwi”, choć na razie dopiero je uchylano.

Kard. Bea zdawał sobie sprawę z „trudności tematyki”, starał się więc być przewodnikiem biskupów po dokumencie. Deklarował, że dotyczy on „zagadnień czysto religijnych” („nie chodzi o uznanie państwa Izrael”). Chciano przypomnieć, co Kościół, „przez tajemnicze zrzucenie” Boga, otrzymał od narodu wybranego. Wskazywał, że przekaz kaznodziejski „zwłaszcza o Męce Pańskiej” nie zawsze był odpowiedni wobec wyjątkowej więzi z Żydami i „naszego długu wdzięczności”.

Inne niż dotąd spojrzenie na winę za śmierć Jezusa także wymagało wyjaśnień. Dawne przekonania nagle nie zniknęły. Kard. Bea pokazywał jednak inny kierunek myślenia. Przywołując słowa Jezusa na krzyżu i św. Piotra, wskazywał na nieświadomość sprawców, którzy byli mniejszością w narodzie. Proponował „naśladowanie łagodnej miłości Chrystusa i apostołów”. Pokazywał, że Kościół ma lekcję do odrobienia. „Wierni katolicy” ulegali nazistowskiej propagandzie, zaprzeczając jednak, aby jej źródłem były „nauki Kościoła”.

Słowa kard. Bei nie przekonały wszystkich. W dyskusji, ograniczonej w tym momencie brakiem czasu i debatą o ekumenizmie, część biskupów w dalszym ciągu nie dostrzegała potrzeby zajmowania się Żydami.

Czy w pełni pojęli boskość Chrystusa

Sekretariat zaczął pracować nad kolejną wersją dokumentu, brał pod uwagę głosy wypowiedziane w sali i nadesłane w formie pisemnej. W tym miejscu pojawili się biskupi z Polski, których w tej tematyce reprezentował ordynariusz z Gdańska bp Edmund Nowicki. Jego propozycje dotyczyły zmiany tytułu, sugerował ograniczenie treści do Żydów albo wspomnienie „w sposób bardziej stosowny” o wyznawcach religii niechrześcijańskich. Napominanie kapłanów nie wydawało mu się „konieczne”, uważał, że będzie źle przyjęte, także jako „wyrzut wobec przeszłości”, bo duchowni nie są „szafarzami nienawiści lub pogardy”. Wspominał pomoc, której udzielali Żydom w czasie wojny, z narażeniem własnego życia. Przekonywał, że „podmiotem napomnienia” powinni być wszyscy ludzie.

W przerwie między sesjami temperatura wokół dokumentu wzrosła, jego przeciwnicy wykreślili m.in. potępienie idei bogobójstwa, żydowską narodowość Jezusa i innych. Kard. Bea zażegnał kryzys i latem 1964 r., za zgodą papieża, udostępniono biskupom kolejną wersję, „O Żydach i o niechrześcijanach”. Nowy schemat powtórzył znane nam już kwestie. Wprowadzono do niego cytaty z Listu do Rzymian o Żydach, „do których należy przybrać synostwo”, wyrażano „chrześcijańską nadzieję” na ich „zjednoczenie” z Kościołem. „Prześladowania” zamieniono na „obelgi”, a kwestię winy ograniczono do jednego zdania. W tej wersji wszyscy mieli dbać, aby Żydów nie przedstawiać „jako odrzuconych” i „baczyć, aby [tym] współczesnie żyjącym nie przypisywano tego, czego dopuszczono się w trakcie Męki Chrystusa”.

Z takim projektem wkraczano na kolejną sesję Soboru, jesienią 1964 r. Zanim doszło do dyskusji, głos zabrał kard. Bea i przeciwników dokumentu uprzedził, że nie ma możliwości usunięcia tej tematyki z soborowej agendy.

Pamiętając, co chciano zmienić, najwięcej czasu kardynał poświęcił kwestii bogobójstwa. Odpowiedź na pyta-

nie, czy Męka Jezusa to „wina narodu żydowskiego jako takiego”, została powiązana z antysemityzmem. Nie zgadzał się z „wieloma Żydami”, że to przekonanie jest jego „głównym korzeniem”, zdaniem hierarchy jest „wiele powodów (...), które nie należą do porządku religijnego”, ale postrzeganie Żydów jako bogobójców, odrzuconych i przeklętych przez Boga, nie było jego zdaniem obojętne dla chrześcijan, pozwalało na pogardę i prześladowania. Dlatego Żydzi oczekują, mówił kardynał, oświadczenia Soboru w tej sprawie. Pytał, czy jest to możliwe.

Sam proponował nowy sposób myślenia, zapewniając o zgodności z doktryną. Zastanawiał się, czy przywódca Sanhedrynu „w pełni pojęli Boskość Chrystusa”, a zatem czy „są formalnie bogobójcami?”. Kardynał powtórzył wcześniejsze argumenty: nieświadomość, brak wpływu na wydarzenia większości wówczas żyjących Żydów, proponował naśladowanie Chrystusa w miłości i pamięć o „dobrodziejstwach”.

Niech oni także kochają chrześcijan

Słowa o próbowaniu „wielu formuł, również dlatego by zadośćuczynić (...) zastrzeżeniom Ojców”, pokazywa, jak trudny wciąż był obszar, po którym się poruszano. Przemówienie przyjęło aplauzem, nie oznaczało to jednak jedności, co ilustrują dalsze losy dokumentu. Na razie wrześniowa debata pokazała, że większość biskupów, z tych zabierających głos, weszła w przestrzeń nowego myślenia, m.in. podkreślano więzi religijne, rozstawano się z obrazem Żydów potępionych przez Boga, w kwestii nawracania proponowano większe „stonowanie”. Żydom nazywano „braćmi”, wspomniano zaniedbania wobec nich, ich głos brano pod uwagę.

Wypowiedzi na temat bogobójstwa także oddaliły się od refleksji przedsoborowej: „Śmierć Chrystusa nie może być przypisywana całemu narodowi”, zamiast oskarżać Żydów, „powinniśmy uznać, że wszyscy »zblądziliśmy jak owce«, brak winy za śmierć Jezusa odnosi się także do tych żyjących w Jego czasach, »bogobójstwo» nie zostanie »nigdy więcej użyte wobec Żydów».

Były też jednak głosy, że choć „nie możemy przypisywać Żydom bogobójstwa”, „nikt nie może zabić Boga”, to „mamy prawo oczekiwać”, „aby przyznali, że niesprawiedliwie skazali Chrystusa na śmierć”. Jeden z biskupów krytycznie wypowiadał się o Talmudzie, udziale Żydów w masonerii, chciał zapisu, aby także oni „kochali chrześcijan”. Hierarchowie z Bliskiego Wschodu wciąż proponowali odrzucenie dokumentu z obawy o swoich wiernych, „z powodu wrogości świata arabskiego wobec takiego oświadczenia”.

Jakie miejsce w tej dyskusji zajął bp Nowicki? W imieniu polskich Ojców Soboru zgłosił kilka propozycji, m.in. chciał powrotu słowa „prześladowanie”, jego zdaniem mocniejszego aniżeli „obelgi”, za bardziej trafny od istniejącego uważał tytuł „O Żydach i o innych niechrześcijanach”, sugerował dopisanie innych apostołów do akapitu mówiącego o ich żydowskiej narodowości, proponował „zredukowanie” zalecenia, „aby nie przedstawiać narodu żydowskiego jako narodu potępionego”, w taki sposób, aby „odzwierciedlono pozytywne polecenia duszpasterskie”. Mówił o okrucieństwach doświadczonych przez Żydów „w naszych czasach” i o zbliżeniu do tej społeczności. A w kwestii „bogobójstwa” opowiedział się za wykreśleniem zapisów, uzasadniając, że „inaczej niż w poprzedniej wersji – uczy jedynie o Żydach naszych czasów”, dlatego może wywołać „zamieszanie” i „sceptycyzm”. Chciał także dopisać słów o „chrześcijańskiej nadziei zjednoczenia” z niechrześcijanami.

Pojedynek na cytaty

Efektem wrześniowej dyskusji było przygotowanie kolejnego projektu („Deklaracja o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich”), który rozstał się z dekretem o ekumenizmie. W listopadzie przekazano go biskupom. Wprowadzono zmiany, m.in. dopisano, aby Żydów nie przedstawiać jako „przeklętych lub winnych bogobójstwa”, którego nie można przypisywać także tym wówczas żyjącym.

Sekretariat szczegółowo wyjaśniał powody poprawek, ale nie przekonał części biskupów. Co prawda we wcześniejszym głosowaniu, 20 września 1964 r., za przyjęciem także rozdziału o Żydach była większość

(1770), ale 240 biskupów zgłosiło kolejne uwagi do całości projektu, czyli przesuwano go na kolejną sesję. Liczba poprawek dotyczących Żydów i ich charakter pokazuje, że stare myślenie wciąż było obecne, mimo dotychczasowej pracy nad dokumentem. Emocje wokół niego i krytyka wychodziły także poza salę obrad.

14 września 1965 r. rozpoczęła się ostatnia sesja, nierozstrzygnięte dotąd kwestie musiały znaleźć swoje rozwiązanie. 30 września 1965 r. biskupi otrzymali kolejny schemat „Deklaracji” z informacją Sekretariatu o zgłoszonych uwagach i wprowadzonych zmianach. Niektóre z nich pokazują, że część Ojców Soboru nie przyjmowała dotychczasowych wyjaśnień kard. Bei. Domagano się np. „pełnej prawdy o Żydach”, ponieważ Pismo św. mówi o nich „nie tylko rzeczy pozytywne, lecz i negatywne”, pytano o „karę” poniesioną za „odrzućcie Ewangelii”, proponowano, aby z Listu św. Pawła nie usuwać określenia ich jako „nieprzyjaciół”, uznawano odpowiedzialność Żydów za ukrzyżowanie, nową postawę wobec odrzucenia Żydów i bogobójstwa oceniano jako „naukę niepewną, niebezpieczną, sprzeczną z Ewangelią”. 34 ojców Soboru chcieli poprawienia tekstu tak, aby wyrażał, że „nie możemy całkowicie zaprzeczyć czasowemu odrzuceniu narodu żydowskiego ani zupełnie uwolnić go od winy bogobójstwa”.

Wyjaśnienia Sekretariatu rozwijały wcześniejsze wypowiedzi kard. Bei. Jeśli wyczytał się w uwagi i odpowiedzi, widać swoisty pojedynek na cytaty z Pisma św., np. zgadzano się, że List do Rzymian nazywa Żydów „nieprzyjaciółmi”, ale wyjaśniano, że „odnosi się to do czasu Apostołów”, a nie „do późniejszych pokoleń”, w przeciwieństwie do stwierdzenia, że „są bardzo drogimi ze względu na ojców”, które „jest aktualne dla wszystkich wieków”. Z ostatecznej wersji znikną bogobójstwo, które zdaniem Sekretariatu powinno „być zupełnie wykreślone ze słownika chrześcijańskiego”.

Przed głosowaniem kard. Bea po raz ostatni wyjaśnił zapis dotyczący „odpowiedzialności Żydów” za mękę Jezusa, który miał wejść w nauczanie Kościoła. Zapewniał biskupów, że „w pełni zachowuje [on] i wykląda prawdę ewangeliczną”, a „równocześnie wyklucza niesprawiedliwe stwierdzenia i oskarżenia skierowane bez różnicy przeciw wszystkim Żydom wówczas żyjącym i (...) naszych czasów”, że „są winni” i „zostali przez Boga odrzućci i przeklęci”. Wyjaśniał także, dlaczego z deklaracji zniknęło stwierdzenie „winny bogobójstwa”. Ojcowie Soboru usłyszeli, że „trudności i kontrowersje dotyczące tego, czy schemat jest sprzeczny z Ewangelią, de facto przede wszystkim powstały z użycia tego słowa”. Wspominał, że „niektórzy przypisują [mu] (...) wielką wagę psychologiczną”, dlatego wyrażono je w inny sposób. Kard. Bea „usiłnie prosił”, aby poprawka została przyjęta.

I tak doszliśmy do ostatniego momentu, czyli głosowania nad poszczególnymi częściami dokumentu (w nawiasach głosy za i przeciwko): zapisaniem „więzi Kościoła z Żydami” (1937 do 153), odrzuceniem zbiorowej odpowiedzialności Żydów za śmierć Jezusa (1875 do 188), przedstawianiu ich jako przeklętych przez Boga (1821 do 245) i antysemityzmu (1905 do 199). Nowe myślenie zostało przegłosowane. Natomiast deklaracja „Nostra Aetate” jako całość została przyjęta 28 października 1965 r. Jej treść zaakceptowało 2221 Ojców Soboru, przeciwko było 88. Wkrótce, 8 grudnia 1965 r., Sobór zakończył obrady.

Historia żydowskiego dokumentu jest opowieścią o możliwościach zmiany także naszego myślenia. Dziś są oczywistością są wspólne modlitwy duchownych katolickich i żydowskich czy dni judaizmu w Kościele, ale zawsze warto pamiętać o tych, którzy kiedyś mieli odwagę i determinację, aby spróbować otwierać „masywne drzwi” i wybrać się na wędrowkę „ostrą jak brzytwa grania”.

/©©

Dr hab. Bożena Szaynok – profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, historyk specjalizująca się w dziejach najnowszych, historii Żydów w Polsce i stosunków polsko-izraelskich; w czasach PRL działaczka opozycji demokratycznej

Korzystalam m.in. z: prasy katolickiej, modlitewników, katechizmów, śpiewnika J. Siedleckiego, archiwów kościelnych, „Acta Synodalia Sacrosancti Concilii Oecumenici Vaticani II”, „Council day Book Vatican II”, „Christianitas”, „Commentary on the Documents of Vatican II”, v. III, New York 1969, J. Connely, „Od wrogości do braterstwa. Rewolucja w katolickim nauczaniu o Żydach w latach 1933–1965”, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2022, J.W. O'Malley, „Co się zdarzyło podczas Soboru Watykańskiego Drugiego”, Kraków 2011, E. Kamykowski, „Obraz Izraela i Żydów w myśli chrześcijańskiej”, Kraków 2022, R.M. Wiltgen, SVD, „Ren wpada do Tybru. Historia Soboru Watykańskiego II”, Dębogóra 2011, G. Ignatowski, „Kościół wobec przejawów antysemityzmu”, Łódź 1999, i „Ojcowie Soboru Watykańskiego II wobec Nostra Aetate”, Katowice 2007



MARIUSZ CIEŚLIK

PLUSY UJEMNE

JELEŃ I WIELKA WODA

Fenomen ponownej popularności „Wielkiej wody”, serialu o powodzi z roku 1997, przypomina o kwestii fundamentalnej dla współczesnej kultury. Że mianowicie obrazy rzeczywistości zastępują nam samą rzeczywistość.

Jeleń, przyłapany przez fotografa w lesie, był większy niż w rzeczywistości. Jego zdjęcie zajmowało pięciometrową ścianę. Cóż, ludzie mają różne gusta i nawet jak ktoś ma piękny dom, tak jak w tym przypadku, może wybierać sobie dziwaczne wyposażenie. Zaskakujące było jedno: dom stał na skraju lasu. I w sumie, żeby zobaczyć podobny widok, wystarczyłoby wybrać się tam z lornetką. A jednak właściciel chciał mieć na ścianie fototapetę.

Jeśli chodzi o medialny obraz powodzi, w zasadzie nic mnie nie zaskoczyło. Państwa pewnie też. Wszystkie skrypty, których używano, są dobrze znane. Najpierw było niedowierzenie, potem popolite ruszenie, później do akcji wkroczył dobry car, a po drodze antycarska opozycja zaatakowała bez ładu i składu. Po wszystkim oczywiście następuje nieudana próba rozliczeń, ale medialni klakierzy obozu władzy zakrzyczą resztę. Tak zatem żadnych konstruktywnych wniosków nie będzie, a o problemie przypomnimy sobie przy kolejnej wielkiej wodzie. Nie byłoby więc powodu, żeby zwracać państwu głowę, gdyby nie jeleń. To znaczy Netflix.

Muszę powiedzieć, że początkowo było mi równie trudno w to uwierzyć, co w nieszczęsną fototapetę, ale... Mijają właśnie dwa tygodnie, od kiedy powódź zalała południe Polski i od kiedy serial „Wielka woda”, opowiadający o poprzedniej wielkiej powodzi, tej z roku 1997, znalazł się w czołówce najchętniej oglądanych produkcji polskiego Netfliksa. Cóż w tym zdumiewającego, może zapytać ktoś, kto Netfliksa nie ogląda. Ano to, że serial w reżyserii Jana Holoubka premierę miał dwa lata temu. A w streamingu dwa lata to cała epoka. Od tego czasu widzowie polknęli tysiące nowości, bo tylko one się na tym rynku liczą. Żywoć filmu czy serialu jest w takim serwisie bardzo krótki. Przez kilka tygodni, a w wyjątkowych wypadkach kilka miesięcy, nowość jest oglądana, a później wszyscy o niej zapominają. To dlatego druga, nomen omen, fala popularności „Wielkiej wody” tak zaskakuje.

Akcja serialu rozgrywa się we Wrocławiu. To opowieść o mieście, które w 1997 r. zostało najbardziej zniszczone przez powodziową falę. „Wielka woda” to bodaj najlepsza polska produkcja ostatnich lat. Niemająca sobie równych pod względem inscenizacyjnego rozmachu, do tego wiarygodna dramaturgicznie (rolnicy bronią swoich gospodarstw, jak się okaże kosztem miasta). Zastrzeżenia budzi kabaretowy sposób przedstawienia ówczesnej władzy. Dla przykładu: pewien minister utrudnia walkę z powodzią, bo chce błyszczeć na wyborczym festynie, gdzie ludzie bawią się w rytm disco polo. Bo, to drugie zastrzeżenie, tak właśnie wyobrażają sobie „prostych ludzi” twórcy serialu.

Całości obrazu to jednak nie zmienia, „Wielka woda” to rzecz na światowym poziomie. Zresztą tuż po premierze odniosła wielki sukces i to nie tylko w Polsce. Tydzień temu na tych samych łamach Irena Lasota przypomniała, że serial był w swoim czasie nr 1 w USA. Skądinąd felietonistka „Plusa Minusa” też postanowiła go ponownie obejrzyć, traktując to jako gest solidarności z powodziarzami.

Pewnie taka motywacja też się pojawia, ale nie sądzę, że „Wielka woda” jest dziś oglądana z tego powodu. Wydaje się, że chodzi raczej o kwestię opisaną przez klasyków kulturowej antropologii, pionierów badań nad mediami, takich jak Marshall McLuhan czy Jean Baudrillard. „Medium is a message”, czyli „medium jest przekazem”, powiada pierwszy. Drugi dodaje, że media to przede wszystkim znaki (symulakry), które wydają nam się rzeczywiste.

Człowiek współczesny ma odruch poszukiwania obrazów, które wprowadzą go w rzeczywistość. Innymi słowy: skoro nie może zobaczyć powodzi z bliska, chce zobaczyć ją na ekranie. Przy tym nie widzi wielkiej różnicy między newsami a filmem. Dla większości z nas to część tego samego uniwersum. Uniwersum obrazów, które zastępują rzeczywistość. Jak jeleń na fototapetce w domu na skraju lasu.

/©©



KATARZYNA SADŁO

KATARYNA

WITAMY W PIEKLE

Donald Tusk: „Przygotowujemy wielki plan Odbudowy+. Mosty, drogi, szpitale, szkoły i domy, boiska i przedszkola – wszystko zostanie nie tylko odbudowane, ale będzie lepsze i nowocześniejsze niż przed powodzią”.

Nikt ci nie da tyle, ile rząd obieca w roku poprzedzającym wybory prezydenckie kluczowe dla utrzymania pełni władzy przez kolejne lata, a może nawet kadencje. Po blisko roku od wygranych wyborów ze 100 konkretów obiecanych na pierwsze 100 dni rządów te dowieszone w obiecanej kształcie można policzyć na palcach jednej ręki, nieliczne są dopiero we wczesnej fazie realizacji, wiele już odwołano, a pozostałe są odłożone z dobrym uzasadnieniem, że szkoda na nie czasu, bo albo koalicyjant się nie zgodzi, albo prezydent nie podpisze.

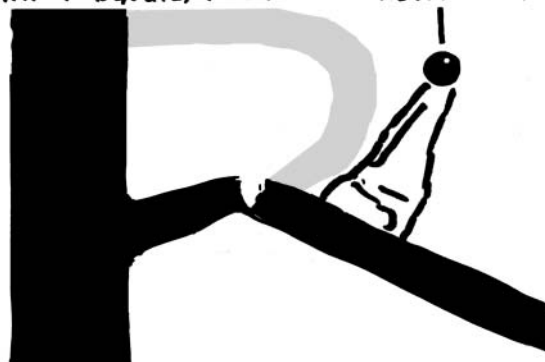
Ja jestem z tych, którzy do przedwyborczych obietnic się nie przywiązywali, ale Tusk powinien już znać ograniczenia i rozumieć, jakim problemem dla rządzących jest złe zarządzanie społecznymi oczekiwaniami. Po zapowiedziach odbudowania wszystkiego, w tym domów, w wersji jeszcze lepszej i nowocześniejszej, niż były, oczekiwania powodziarzy mają prawo być nierealne, skoro nierealne im obiecano. Rozczarowanie i gniew, gdy to się nie spełni, będą już jednak całkiem realne. Jesteśmy społeczeństwem roszczeniowym i premier nie może sobie pozwolić na trudną prawdę, ale takie rozbudzenie nadziei źle się dla władzy skończy.

Nie jestem fanką rządu, lecz nie będę mieć pretensji, jeśli odbudowa potrwa lata, efekt będzie niezadowolający, a państwo nie sfinansuje ludziom wszystkiego. Sami powodziarze i traktująca powódź jako swoją polityczną szansę opozycja nie będą ani tak cierpliwi, ani tak wyrozumiali. Przecież premier obiecał, więc niech weźmie i zrobi.

Minęło ledwie kilkanaście dni od początku powodzi i już widać, kto i jak ją będzie wykorzystywał. Typowe polskie piekło już się nagrzewa. Publicystka Eliza Michalik utyskuje, że Kościół, katolicy i inne osoby deklarujące się jako patrioci w ogóle nie pomagają, czego dowodem jest zapewne brak wystarczającej dokumentacji zdjęciowej na ich profilach w mediach społecznościowych. Antyklerykalizm zawsze żre, więc antykościelna narracja szybko chwyta. W telewizji jakaś pani, której powódź zniszczyła dom, narzeka, że zaferowano jej byle jaki lokal zastępczy, a na przykład Ukraincom „daje się wyremontowane mieszkania”. To też się spodobało, a to dopiero początek grania antyukraińskimi emocjami przy okazji powodzi – potencjał tu widzę ogromny. A przecież jeszcze nawet nie zaczęliśmy rozmawiać o nieuniknionym cięciu innych wydatków, żeby starczyło na odbudowę wszystkiego. Telewizyjne odprawy premiera, który znowu na kogoś „się wściekł”, może uspokajają opinię publiczną, ale kiedyś trzeba będzie jej powiedzieć prawdę. Polityczne piekło dopiero przed nami.

/©©

RYSUJE JANUSZ KAPUSTA
DRAMATYCZNE PRZERWANIE TEGO, CO JEST,
NA RZECZ TEGO. O CZYM NIE WIEMY
JAKIM BĘDZIE, NAZYWAMY REWOLUCJĄ



Zakupiono w NEXTO: 4061362